



GALAKTYKA GUTENBERGA

EDGAR RICE BURROUGHS



Tanar z Pellucidaru

PELLUCIDAR III

EDGAR RICE BURROUGHS

TANAR Z PELLUCIDARU

(Tanar of Pellucidar)

Tłumaczyła: Lucyna Targosz

Pellucidar (tom: 3)



2017

Spis treści

TYTUŁOWA

PROLOG

WSTĘP

1. STELLARA

2. NIESZCZĘŚCIE

3. AMIOCAP

4. LETARI

5. ŁOWCA TANDORÓW

6. WYSPA MIŁOŚCI

7. KORSARIANIE!

8. MOW

9. MIŁOŚĆ I ZDRADA

10. POŚCIG

11. GURA

12. „NIENAWIDZĘ CIĘ”

13. WIĘŹNIOWIE

14. DWA SŁOŃCA

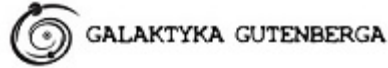
15. OBŁĄKANIE

16. MROK PO DRUGIEJ STRONIE

17. NA MORZE

ZAKOŃCZENIE

PROLOG



Jason Gridley to radioamator, radiomaniak. Gdyby nim nie był, to ta opowieść nigdy by nie powstała. Jason ma dwadzieścia trzy lata i jest obrzydliwie przystojny – zbyt przystojny, żeby być zbzikowanym maniakiem. I prawdę mówiąc wcale na takiego nie wygląda – to zwykły, młody, zdrowy Amerykanin, który wie mnóstwo rzeczy nie tylko o radiu; ale i o lataniu, golfie, tenisie i polo. Lecz to nie jest opowieść o Jasonie – on jest tylko epizodem – ważnym epizodem w moim życiu, dzięki któremu powstała ta opowieść; toteż, po kilku dodatkowych wyjaśnieniach zostawimy Jasona jego lampom, falom i wzmacniaczom, o których on wie wszystko, a ja nic.

Jason jest bogatym sierotą; kiedy ukończył Stanford, zjawił się tutaj i kupił trochę ziemi w Tarzanii – dzięki temu go poznałem.

Kiedy się budował, korzystał z mojego biura i często mnie odwiedzał; a potem ja zaglądałem do jego nowego „laba”, jak to nazywa – to całkiem spore pomieszczenie na tyłach jego domu; cichy i wygodny pokój w cichym, wygodnym domu na farmie w stylu hiszpańsko-amerykańskim. Jeździliśmy też konno po Santa Monica Mountains w chłodnym powietrzu wczesnego poranka.

Jason eksperymentował z jakimś nowym rodzajem odbioru fal radiowych – im mniej o tym powiem, tym będzie lepiej dla mojej reputacji, bo nie mam o tym zielonego pojęcia i nigdy mieć nie będę.

Może jestem za stary, może za tępą, a może mnie to zwyczajnie nie interesuje – i z lubością przypisuję tej ostatniej okoliczności moją straszliwą i trwałą ignorancję

w sprawach związanych z radiem; to po prostu kompletny brak zainteresowania (i moja duma i honor są bez uszczerbku).

Wiem jednak, bo Jason mi to powiedział, że te jego próby wskazują na istnienie zupełnie nowej i zaskakującej... hmm, powiedzmy fali.

Twierdzi, że na ten pomysł wpadł dzięki zakłóceniom – szukał czegoś, co by je usunęło i przy okazji odkrył falę podlegającą nieznanym wcześniej zasadom.

W swoim domu w Tarzanie^[*] zbudował jedną radiostację, a parę mil dalej, na tyłach mojego rancza, drugą. Rozmawialiśmy, korzystając z jakiegoś dziwnego medium, które najwyraźniej przenika inne fale i radiostacje, niewykrywalne i nieszkodliwe – do tego stopnia nieszkodliwe, że nie oddziałuje na normalny odbiornik Jasona, stojący w tym samym pokoju i podłączony do tej samej anteny.

I właśnie dzięki temu, co tak naprawdę interesuje tylko Jasona, powstała ta zdumiewająca opowieść o przygodach Tanara z Pellucidaru.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy z Jasonem w jego pracowni, rozmawiając – jak to często robiliśmy – o najrozmaitszych sprawach i zazwyczaj wracaliśmy do „fali Gridleya”, jak ją nazwaliśmy.

Jason głównie miał na uszach słuchawki, co raczej nie zachęcało do rozmowy. Ale wcale mnie to tak nie irytowało, jak większość gadaniny, której trzeba wysłuchiwać. Lubię milczenie i własne rozmyślanie.

Nagle Jason zdjął słuchawki.

– Co za paskudztwo! – wykrzyknął.

– Co się stało?

– Znowu to samo. Słyszę głosy; ledwo, ledwo, ale to bez wątplenia ludzkie głosy. Mówią w jakimś nieznanym języku. Można oszaleć!

– Może to Mars – zasugerowałem. – Albo Wenus.

Zmarszczył brwi, a potem się nagle uśmiechnął jednym z tych swoich przelotnych uśmieszków.

– Albo Pellucidar.

Wzruszyłem ramionami.

– Wiesz, Admirale – powiedział (nazywa mnie Admiralem, bo na plaży noszę żeglarską czapkę) – kiedy byłem mały, wierzyłem w każde słowo tych twoich zbzikowanych opowieści o Marsie i Pellucidarze. Wewnętrzny świat w głębi Ziemi był dla mnie równie realny jak High Sierras, dolina San Joaquin czy Golden Gate; miałem wrażenie, że lepiej znam bliźniacze miasta Helium niż Los Angeles. Podróż Davida Innesa i Perry’ego w głąb ziemskiej skorupy do Pellucidaru uważałem za możliwą. Tak, szanowny panie, święcie w to wierzyłem, kiedy byłem dzieckiem.

– A teraz masz dwadzieścia trzy lata i wiesz, że to niemożliwe – uśmiechnąłem się.

– Chcesz mi powiedzieć, że to prawda? – roześmiał się.

– Nigdy nikomu nie mówiłem, że to prawda – odparłem. – Pozwalam ludziom myśleć co chcą i zastrzegam sobie prawo do tego samego.

– Przecież doskonale wiesz, że ten metalowy kret Perry’ego nie mógłby się przebić przez pięćset mil ziemskiej skorupy; wiesz, że nie ma wewnętrznego świata zamieszkanego przez dziwaczne gady i ludzi z epoki kamiennej; wiesz, że nie ma cesarza Pellucidaru – Jason zaczął się nakręcać, ale uratowało nas jego poczucie humoru i roześmiał się.

– Chcę wierzyć, że istnieje Dian Piękna – powiedziałem.

– Tak – zgodził się. – Ale żałuję, że zabiłeś Hooję Przebiegłego. Był wspaniałym łotrem.

– Łotrów nigdy nie brakuje – przypomniałem mu.

– Pomagają dziewczynom utrzymać formę i młodzieńczą sylwetkę – oznajmił.

– Niby jak? – spytałem.

– Bo mają gimnastykę uciekając przed nimi.

– Kpisz sobie ze mnie – obruszyłem się – ale nie zapominaj, że jestem tylko prostym historykiem. Jeśli panny uciekają, a łotry je gonią, to muszę tak napisać.

– Ściema! – wykrzyknął.

Jason nałożył słuchawki, a ja wróciłem do przeglądania relacji starożytnego łgarza, który powinien był zbić fortunę na łatwowierności czytelników, ale mu się nie udało. I tak sobie jakiś czas siedzieliśmy.

Potem Jason zdjął słuchawki i odwrócił się ku mnie.

– Złapałem muzykę – powiedział. – Dziwną, niesamowitą muzykę; a potem nagle usłyszałem głośne krzyki i chyba odgłosy uderzeń; potem wrzaski i odgłosy strzałów.

– Jak wiesz, Perry eksperymentował z prochem tam na dole, w Pellucidarze – przypomniałem mu z uśmiechem, ale go nie odwzajemnił: był poważny.

– Z pewnością wiesz, że przez wiele lat utrzymywała się teoria o wewnętrznym świecie – powiedział.

– Tak – potwierdziłem. – Czytałem prace na ten temat.

– Zakładała, że na biegunach istnieją wejścia do wnętrza Ziemi – dodał Jason.

– Przemawia za tym wiele niepodważalnych naukowych faktów – uściśliłem – otwarte polarne morze, cieplejsze wody na dalekiej północy, tropikalna roślinność spływająca ku południu z polarnych okolic, zorze polarne, biegun magnetyczny, opowieści Eskimosów, mówiące, że są potomkami rasy, która przybyła z cieplej krainy na dalekiej północy.

– Chętnie bym poszukał któregoś z tych polarnych wejść – zadumał się Jason, zakładając słuchawki.

Znowu na długo zapadła cisza, przzerwana okrzykiem Jasona. Podsunął mi dodatkowe słuchawki.

– Posłuchaj! – zawołał.

Założyłem słuchawki i usłyszałem coś, czego nigdy wcześniej nie odbieraliśmy na fali Gridleya – szyfr! Nic dziwnego, że Jason Gridley tak się podekscytował – tylko jego odbiornik, jedyne na całej Ziemi, był nastrojony na falę Gridleya.

Szyfr! Cóż mógł oznaczać? Szarpały mną sprzeczne emocje – zerwać słuchawki i omówić z Jasonem to zdumiewające wydarzenie, albo je zostawić i słuchać.

Nie jestem specjalistą od zawłości szyfrów, ale bez trudu wychwyciłem prosty dwuliterowy sygnał, powtarzany trójkami,

z przerwą po każdej trójce:

„D.I., D.I., D.I.”, przerwa; „D.I., D.I., D.I.”, przerwa.

Popatrzyłem na Jasona, odwzajemnił spojrzenie, jakby pytał co to znaczy?

Sygnały zniknęły i Jason nadał własne inicjały – „J.G., J.G., J.G.” – grupując je tak samo, jak tamte. Niemal natychmiast mu przerwano – wyczuwało się podniecenie nadającego.

„D.I., D.I., D.I., Pellucidar” – ogłuszyło nas jak wystrzał.

Siedzieliśmy sparaliżowani zdumieniem, wpatrując się w siebie.

– To głupi kawał! – wykrzyknąłem, a Jason, czytając z mych ust, potrząsnął głową.

– Jakim cudem? – zapytał. – Na Ziemi nie ma innej radiostacji, mogącej nadawać i odbierać na fali Gridleya; czyli nikt nie ma możliwości zrobienia nam takiego kawału.

Nasza tajemnicza radiostacja znowu nadawała:

– Jeśli to odbieracie, powtórzcie mój sygnał – i znowu rozległo się D.I., D.I., D.I.

– To pewnie David Innes – domyślił się Jason.

– Imperator Pellucidaru – dodałem.

Jason wysłał wiadomość „D.I., D.I., D.I.”, a potem „Co to za radiostacja? Kto nadaje?”.

– Tu Imperialne Obserwatorium w Greenwich w Pellucidarze; nadaje Abner Perry. Kim jesteś?

– Tu prywatna eksperymentalna pracownia Jasona Gridleya w Tarzanie w Kalifornii – odpowiedział Jason.

– Chcę się skontaktować z Edgarem Ricem Burroughsem. Znasz go?

– Siedzi obok i słucha razem ze mną.

– Dzięki Bogu, jeżeli to prawda. Ale skąd mam wiedzieć, że to prawda? – zapytał Perry.

Pospiesznie napisałem do Jasona:

– Zapytaj go, czy pamięta pożar w swojej pierwszej wytwórni prochu i że budynek zostałby zniszczony, gdyby nie ugasili ognia, zasypując go prochem?

Jason się uśmiechnął, czytając notkę i nadał ją.

– David brzydko postąpił, gadając o tym – nadeszła odpowiedź – ale teraz wiem, że Burroughs naprawdę tam jest, bo tylko on mógł o tym wiedzieć. Mam dla niego długą wiadomość. Gotowy?

– Tak – odparł Jason.

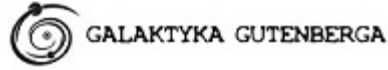
– To odbieraj.

Oto wiadomość, którą Abner Perry przysłał z trzewi Ziemi, z Imperium Pellucidaru.



[*] Tarzana – obecnie dzielnica Los Angeles, powstała na ziemi byłej farmy E.R. Burroughsa (przypis redakcji).

WSTĘP



Minęło już pewnie z piętnaście lat od czasu, kiedy z Davidem Innesem przedarliśmy się przez zewnętrzną powierzchnię ziemskiej skorupy i dotarliśmy do barbarzyńskiego Pellucidaru – ale kiedy nieruchome słońce stale stoi w zenicie, kiedy nie ma zmieniającego się księżyca ani gwiazd, to czasu nie da się zmierzyć i mogło to być sto lat temu albo rok. Któż to wie? No ale ponieważ David wrócił na Ziemię i przywiózł wiele cywilizacyjnych udogodnień, to możemy mierzyć czas, ale ludziom się to nie podoba. Twierdzą, że to im narzuca ograniczenia i restrykcje, których nigdy wcześniej nie znali; nie cierpieli odliczania czasu i ignorowali je, aż David w dobroci swego serca wydał edykt znoszący czas w Pellucidarze.

Dla mnie był to krok wstecz – ale już się z tym pogodziłem i pewnie jestem szczęśliwszy, bo prawdę mówiąc czas jest despotą, co i wy z zewnętrznego świata, niewolnicy słońca, musielibycie przyznać, gdybyście się nad tym zastanowili.

Tu, w Pellucidarze, jemy kiedy jesteśmy głodni, śpimy kiedy się zmęczymy, wyruszamy w podróż kiedy odchodzimy i zjawiamy się u celu kiedy tam dotrzemy; nie wiemy, że Ziemia okrążyła Słońce siedemdziesiąt razy od naszych narodzin, więc nie jesteśmy starzy.

Może i jestem tu piętnaście lat, ale co za różnica. Kiedy się tu zjawiłem, nie miałem pojęcia o radiu – zajmowałem się innymi dziedzinami – ale kiedy David wrócił z zewnętrznego świata, przywiózł wiele naukowych prac i z nich nauczyłem się wszystkiego, co wiem o radiu; pozwoliło mi to zbudować dwie radiostacje – jedną w Greenwich i drugą w stolicy Imperium Pellucidaru.

Choć bardzo się starałem, nigdy mi się nie udało odebrać niczego z zewnętrznego świata i w końcu przestałem próbować, przekonany, że fale radiowe nie przenikają przez ziemską skorupę.

Rzadko korzystamy z naszych radiostacji; w końcu Pellucidar dopiero zaczyna wychodzić z epoki kamiennej, a w tej epoce najwyraźniej radio do niczego nie jest potrzebne. Lecz czasem się tym bawię i kilka razy miałem wrażenie, że słyszę głosy i inne dźwięki, nie pochodzące z Pellucidaru. Były zbyt słabe, żeby traktować je jako coś więcej niż zapowiedź intrygujących możliwości; a jednak tak mnie to zafrapowało, że zacząłem wprowadzać zmiany i dostrajać, aż w końcu stał się cud.

Radość z tego, że mogę z tobą rozmawiać przewyższa jedynie ulgę, że mogę prosić o pomoc. David ma kłopoty. Jest w niewoli na północy (to znaczy my obaj nazywamy to północą, bo Pellucidarczyki nie znają stron świata).

Miałem od niego wieści. W swoim liście opisał zadziwiającą teorię, zgodnie z którą pomoc z zewnętrznej warstwy skorupy byłaby możliwa, jeśli... – ale najpierw opowiem całą historię: o nieszczęściu, jakie spadło na Davida Innesa, o tym, co do tego doprowadziło; wtedy będziesz mógł lepiej ocenić, czy da się przyjść Davidowi z pomocą z zewnątrz.

Cała sprawa zaczęła się od naszych zwycięstw nad Maharami, niegdyś dominującą rasą Pellucidaru. Kiedy z naszymi dobrze wyszkolonymi i zorganizowanymi armiami, uzbrojonymi w broń palną i inny oręż, nieznanymi Maharom i ich goryłowatym najemnikom, Sagothom, pokonaliśmy gadzie monstra i odparliśmy ich oślizłe hordy od granic Imperium, rasa ludzka wewnętrznego świata po raz pierwszy w historii zajęła należne jej miejsce.

Lecz nasze zwycięstwa sprowadziły na nas nieszczęście.

Przez jakiś czas w żadnym z tworzących Imperium Pellucidaru królestw nie było Mahar; ale teraz dochodzą wieści, że się tu i tam pojawiły – niewielkie grupy, żyjące na brzegach morza czy jeziora, z dala od ludzkich siedzib. Nie sprawiały nam kłopotu – ich dawna potęga została złamana; ich

Sagothowie służyli teraz w oddziałach Imperium. Mahary już nam nie mogły zagrozić, ale nie chcieliśmy ich wśród nas. Jadają ludzkie mięso i nie mamy pewności, czy samotni myśliwi nie staną się ich łupem..

Chcieliśmy się ich pozbyć i David wysłał przeciwko nim wojsko – ale z rozkazami, żeby najpierw z nimi negocjować, starać się ich przekonać, żeby dobrowolnie opuścili Imperium, nie wdawali się w kolejną wojnę, mogącą doprowadzić do ich całkowitego wytępienia.

Sagothowie brali udział w tej wyprawie, bo oni jedni w Pellucidarze potrafią rozmawiać w czterowymiarowym, intuicyjnym języku Mahar.

Wyprawa wróciła z żalnymi opowieściami, które obudziły w Davidzie współczucie (jak to zwykle czynią w jego przypadku opowieści o prześladowaniu i nieszczęściu).

Kiedy Mahary wygnano z Imperium, szukały miejsca, gdzie mogłyby żyć w spokoju. Zapewniały nas, że się pogodziły z nieuniknionym i ani nie planują nowej wojny z ludźmi, ani nie zamierzają odzyskać utraconej dominacji.

Osiedliły się na dalekich wybrzeżach wielkiego oceanu, gdzie nie było śladu człowieka i tam żyły w spokoju. Lecz ten pokój nie trwał długo. Przypłynął wielki okręt, przypominający Maharom pierwsze okręty, jakie widzieli – okręty, jakie zbudowaliśmy z Davidem (jedyne, o ile wiemy, jakie kiedykolwiek pływały po milczących morzach Pellucidaru).

Zdziwiliśmy się, rzecz jasna, że w wewnętrznym świecie istniała rasa tak zaawansowana, że potrafiła budować statki. Ale czekała nas kolejna niespodzianka. Mahary twierdziły, że tamci ludzie mieli broń palną; że dzięki statkom i tej broni byli równie potężni jak my, ale o wiele od nas groźniejsi i brutalniejsi – bo zabijali dla samej radości zabijania.

Kiedy pierwszy statek odpłynął, Mahary sądziły, że pozwolą im żyć w spokoju, ale szybko straciły na to nadzieję. Pierwszy statek powrócił, a z nim przypłynęło wiele innych, wiozących tysiące żądnych krwi nieprzyjaciół; wielkie gady były prawie albo zupełnie bezbronne wobec ich oręża.

Mahary, uciekając przed tamtymi ludźmi, porzuciły swoje nowe domy i przeniosły się bliżej granic Imperium – lecz ich wrogowie dalej je prześladowali. Ścigali je, a kiedy znowu je znaleźli, Mahary ponownie musiały się cofać przed zażartymi atakami.

Na koniec schroniły się w granicach Imperium i ledwo powróciła wyprawa, jaką David do nich wysłał, uzyskaliśmy dowód, że mówiły prawdę – z naszej najdalej na północ wysuniętej granicy dotarły wieści o napaści dziwnych białych barbarzyńców.

Rozpacзлиwa wiadomość nadeszła od Goorka, króla Thurii, której odległa granica sięga poza Krainę Straszliwego Cienia. Napastnicy zaskoczyli jego myśliwych i prawie wszystkich zabili albo porwali. Wtedy wysłał przeciwko nim wojowników, ale i ich spotkał podobny los, bo przeciwnik przewyższał ich liczebnie. Wysłał więc gońca do Davida, błagając cesarza o pomoc.

Dopiero co zjawił się pierwszy goniec, a już pojawił się kolejny, przynosząc wieści o zdobyciu i złupieniu głównego miasta królestwa Thurii; potem zjawił się trzeci – od wodza najeźdźców, żądającego, żeby David złożył mu hołd, bo inaczej zniszczy jego kraj i zabije więźniów-zakładników.

David w odpowiedzi wysłał Tanara, syna Ghaka, z żądaniem uwolnienia wszystkich więźniów i wycofania się najeźdźców.

Natychmiast wysłano gońców do najbliższych królestw Imperium i zanim Tanar dotarł do Krainy Straszliwego Cienia, dziesięć tysięcy wojowników maszerowało tym samym szlakiem, żeby wyegzekwować żądania cesarza i przepędzić barbarzyńców z Pellucidaru.

Kiedy David zbliżał się do Krainy Straszliwego Cienia, leżącej pod tajemniczym satelitą Pellucidaru, zauważono w oddali wielką kolumnę dymu. Nie było sensu popędzać niestrudzonych wojowników, bo wszyscy, którzy ją ujrzeli, domyślili się, że najeźdźcy zajęli kolejne miasto i podpaliли je.

Wtedy pojawili się uciekinierzy – wyłącznie kobiety i dzieci, a za nimi wąska linia wojowników, usiłujących powstrzymać

śniadych brodatych obcych, zbrojnych w dziwaczną broń, przypominającą dawne arkebuzy z dzwonowatymi wylotami luf – wielki nieporęczny oręż, plujący dymem i ogniem, kamieniami i kawałkami metalu.

Pellucidarczycy mogli stawić opór barbarzyńcom (dziesięciokrotnie od nich liczniejszym) dzięki temu, że wraz z Davidem nauczyli ich posługiwać się nowocześniejszą bronią palną i wytwarzać ją. Chyba z połowa wojowników Thurii miała taką broń i to dlatego zapobiegli pogromowi, a może i całkowitej zagładzie.

Kiedy pierwsi uciekinierzy dostrzegli i rozpoznali wojska, idące im na ratunek, rozległy się gromkie okrzyki radości.

Goork i jego ludzie (podobnie jak kilka innych odległych królestw) nie mogli się zdecydować na całkowitą lojalność wobec Imperium, ale uważam, że ten pokaz korzyści z Federacji na zawsze rozwiął ich wątpliwości i mieszkańcy Krainy Straszliwego Cienia wraz z królem stali się najwierniejszymi poddanymi Davida.

Pojawienie się dziesięciu tysięcy dobrze uzbrojonych wojowników zrobiło wrażenie na napastnikach. Zatrzymali się; szliśmy na nich, więc się cofnęli, lecz po twardej walce.

David dowiedział się od Goorka, że Tanar został zakładnikiem i że król bez skutku próbował negocjować z wrogiem wymianę Tanara i innych Pellucidarczyków za jeńców, których pojмалиśmy.

Nasze wojska odepchnęły najeźdźców daleko poza granice Imperium, na brzegi odległego morza; zdołali z trudem, tracąc wielu ludzi, dostać się na statki równie archaicznie wyglądające jak ich arkebuzy.

Te okręty miały przesadnie wysokie dzioby i rufy; na dziobach, jedne na drugich, wznosiły się zadaszone pokłady wysokie na kilka piętér. Wszystko ponad linią wody pokrywały wyrzeźbione skomplikowane wzory; na dziobie każdego okrętu umieszczono pomalowany krzykliwymi barwami galion – zwykle naturalnej wielkości heros, naga kobieta lub syrena.

Napastnicy byli równie dziwaczni i kolorowi: głowy obwiązane barwnym płótnem, szerokie jaskrawe szarfy i buciska z cholewami (o ile nie byli półnaczy i bosi). Oprócz arkebuzów byli zbrojni w zatknięte za pas wielkie pistolety i noże; u biodra nosili kordy. Z tymi swoimi sumiastymi wąsami i zaciętymi twarzami wyglądali równie groźnie co i malowniczo.

Od jeńców, których wziął w potyczce na wybrzeżu, David dowiedział się, że Tanar żyje i że wódz napastników postanowił go ze sobą zabrać, w nadziei, iż Tanar zdradzi mu tajemnice naszej lepszej broni i prochu – bo muszę się pochwalić, że pomimo początkowych niepowodzeń udało mi się uzyskać proch, który się nie tylko pali, ale i wybucha z całkiem sporą siłą. Teraz dopracowuję bezgłośny, bezdymny proch, ale muszę uczciwie przyznać, że pierwsze próby nie były do końca takie, jak oczekiwałem, detonacja pierwszej partii omal nie rozerwała mi bębenków i tak zadymiła oczy, że się wystraszyłem, iż oślepnę.

Kiedy David zobaczył wrogie okręty odpływające z Tanarem ogromnie się zmartwił (Tanar zawsze był ulubieńcem cesarza i jego uroczej cesarzowej Dian Pięknej). Był dla nich jak syn.

Na tym morzu nie mieliśmy statków i David nie mógł ruszyć za nimi z wojskiem; niemniej, będąc sobą, nie mógł zostawić syna najlepszego przyjaciela w rękach wroga nie wyczerpawszy wszystkich dostępnych środków, żeby go uratować.

David nie tylko pojmał jeńców, ale i zdobył jedną z niewielkich łodzi, którymi napastnicy dopłynęli do brzegu – i to mu podsunęło szaleńczy pomysł.

Łódź mierzyła jakieś szesnaście stóp długości i miała tak wiosła jak i żagiel. Była szeroka i wyglądała na solidną i zdatną do żeglugi, chociaż trochę za małą, żeby stawić czoło niebezpieczeństwu nieznanego morza, pełnego – jak wszystkie wody Pellucidaru – wielkich potworów, porywczych i wiecznie głodnych.

David, stojąc na brzegu i patrząc za malejącymi okrętami, podjął decyzję. Otaczali go kapitanowie i królowie Połączonych

Monarchii Pellucidaru, a za nimi dziesięć tysięcy zbrojnych wojowników. Z boku znajdowali się posępni jeńcy, patrzący zazdrośnie i bezradnie za odpływającymi towarzyszami.

David odwrócił się ku swoim ludziom.

– Te odpływające okręty zabrały Tanara, syna Ghaka oraz wielu innych młodych Pellucidarczyków. Nie można się spodziewać, by wróg kiedykolwiek oddał nam towarzyszy, za to łatwo sobie wyobrazić, jak ich potraktują ci krwiożerczy barbarzyńcy. Nie możemy ich zostawić, skoro stoi przed nami otworem droga pościgu. Oto ona – wskazał rozległy ocean. – A to środek do przebycia jej – wskazał niewielką łódź.

– Zabierze ledwie dwudziestu ludzi! – zawołał ktoś stojący w pobliżu imperatora.

– Musi zabrać tylko trzech – odparł David – bo popłyną odbijać nie siłą a sposobem. A może i tylko po to, żeby zlokalizować twierdzę wroga, żebyśmy mogli wrócić z siłami pozwalającymi ją zdobyć.

– Popłynę – oznajmił imperator. – Kto będzie mi towarzyszyć?

Natychmiast wszyscy w zasięgu jego głosu – wyjąwszy więźniów – unieśli broń nad głowę i zgłosili się. David się uśmiechnął.

– Wiedziałem – powiedział – ale nie mogę zabrać wszystkich. Potrzebuję tylko jednego i będzie to Ja z Anoroc, najlepszy żeglarz Pellucidaru.

Rozległ się głośny okrzyk, bo Ja, król Anoroc oraz pierwszy oficer marynarki Pellucidaru, jest bardzo popularny w imperium; i chociaż wszyscy byli rozczarowani, że to nie ich wybrano, to docenili mądry wybór Davida.

– Dwóch to za mało, żeby liczyć na sukces – upierał się Ghak. – I mnie, ojcu Tanara, powinno być wolno płynąć z tobą.

– Nic by nam nie dało stłoczenie w małej łodzi liczniejszej gromady – odparł David. – Po co więc ryzykować dodatkowym życiem? Jeśli dwudziestu mogłoby przetrwać czyhające na nas nieznanne niebezpieczeństwa, to uda się to i dwóm. Poza tym będziemy mogli zabrać większe zapasy jedzenia i wody

na podróż przez morze o nieznannej rozległości, okresy flauty i długie poszukiwania.

– Ale dwóch nie poradzi sobie z łodzią – wtrącił inny. – No i Ghak ma rację: ojciec Tanara powinien być wśród jego wybawców.

– Ghak jest potrzebny imperium – odparł David. – Musi pozostać, żeby dowodzić wojskiem dla imperatorowej póki nie wróce; lecz będzie i trzeci, co z nami popłynie.

– Kto? – zapytał Ghak.

– Jeden z jeńców – wyjaśnił David. – Łatwo znajdziemy kogoś, kto za uwolnienie zechce doprowadzić nas do krainy wroga.

I rzeczywiście nie było to trudne – każdy więzień zgłosił się na ochotnika, kiedy usłyszeli tę propozycję.

David wybrał młodego chłopaka o imieniu Fitt, o bardziej otwartej i uczciwej twarzy niż jego towarzysze.

Potem załadowano zapasy. Pęcherze napełniono świeżą wodą; w inne włożono sporo kukurydzy, suszonej ryby i takiegoż mięsa oraz warzyw i owoców. Wszystko to umieszczono w łodzi, aż się wydawało, że więcej już nie uniesie. Te zapasy wystarczyłyby na roczną podróż na zewnętrznej skorupie, gdzie zawsze trzeba uwzględnić czas.

Jeniec Fitt, który miał towarzyszyć Davidowi i Ja, zapewniał Davida, że jedna czwarta tych zapasów zupełnie by wystarczyła i że po drodze będą miejsca, w których będą mogli uzupełnić zapasy wody, gdzie jest mnóstwo zwierzyny oraz warzyw, orzechów i owoców – lecz David nie zgodził się na uszczuplenie załadowanych zapasów.

Zanim odpłynęli, David rozmówił się z Ghakiem.

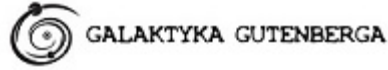
– Widziałeś rozmiary i uzbrojenie wrogich okrętów, Ghaku. Nakazuję, żebyś natychmiast zbudował flotę, mogącą pokonać te wielkie wrogie okręty. A kiedy będzie trwała jej budowa (musi się to dziać na tym wybrzeżu), to wyślij wyprawy na poszukiwanie drogi wodnej z tego oceanu do naszego. Jeśli ją znajdziesz, to będziemy mogli wykorzystać nasze okręty, a stocznie Anoroc przyspieszą budowę większej floty. Kiedy zbierzesz i obsadysz ludźmi pięćdziesiąt statków, rusz nam

na pomoc jeżeli do tej pory nie wrócimy. Nie zabijaj tych więźniów, dbaj o nich, bo tylko oni mogą nas doprowadzić do swojej krainy.

Potem David I, imperator Pellucidaru i Ja, król Anoroc oraz jeniec Fitt weszli na pokład niewielkiej łodzi. Przyjazne dłonie zepchnęły ich na długie, oleiste fale pellucidariańskiego morza; dziesięć tysięcy gardeł życzyło im bezpiecznej podróży, dziesięć tysięcy par oczu patrzyło póki nie zniknęli w mglistym bezkresie wyginającego się ku górze pellucidariańskiego morza.

David wyruszył na bezowocną choć chwalebłą wyprawę, a w dalekiej stolicy imperium Dian Piękna będzie płakać.

1. STELLARA



Wielki okręt dygotał przy odrzutach dział i od ognia muszkietów. Huk strzałów na pokładach siostrzanych okrętów i na jego własnym pokładzie był ogłuszający. Powietrze pod pokładem było przesycone gryzącym dymem spalonego prochu. Tanar z Pellucidaru, przykuty na dole jak inni więźniowie, słyszał strzały i czuł dym. Słyszał grzechot łańcucha kotwicy; czuł przeciążenie masztu, do którego były przymocowane jego kajdany, potem zmieniły się ruchy kadłuba i wiedział, że okręt odpływa.

Strzelanina ucichła, regularne kołysanie się okrętu świadczyło, że płynie. W ładowni było tak ciemno, że Tanar nic nie widział. Więźniowie czasem rozmawiali; lecz myśli mieli niewesołe, toteż przeważnie milczeli – czekali. Na co?

Zgłodnieli, chciało im się pić. Wiedzieli, że okręt jest daleko od brzegu. Nie znali czasu. Wiedzieli jedynie, że są głodni i spragnieni i że okręt powinien już być na pełnym morzu – daleko na nieznanym wodach, kierując się ku nieznanemu portowi.

Otwarto luk i zeszli ludzie z jedzeniem i wodą – skromne, ubogie pożywienie i woda o paskudnym zapachu i jeszcze gorszym smaku; no ale była woda, a im się chciało pić.

– Gdzie ten, co go zwą Tanar? – zapytał jeden z załogantów.

– Ja jestem Tanar – odparł syn Ghaka.

– Masz wyjść na pokład – wyjaśnił mężczyzna i wielkim kluczem otworzył masywne, ręcznej roboty okowy, przykuwające Tanara do masztu. – Za mną!

Jasny blask wiecznego dnia Pellucidaru oślepił Sarianina, kiedy ten wyszedł na pokład z ciemnej ładowni, w której

go trzymano; dopiero po minucie jego oczy przyzwyczałyby się do światła, lecz strażnik brutalnie go popychał i Tanar, zanim odzyskał ostrość wzroku, zaczął się chwiejnie wdrapywać po wysokich schodach, prowadzących na wysoki pokład na dziobie.

Dotarł na najwyższy pokład, gdzie zobaczył hersztów hordy Korsarian; towarzyszyły im dwie kobiety. Jedna starsza i niezbyt urodziwa, druga młoda i piękna. Tanar nie poświęcił im uwagi; przyglądał się wyłącznie mężczyznom – to z nimi mógł walczyć, ich mógł zabijać: tylko tak mógł postąpić z wrogami Tanar Sarianin; a będąc sobą nie mógł walczyć z kobietami, nawet kobietami wroga – mógł je wyłącznie zignorować i to właśnie zrobił.

Zaprowadzono go przed potężnego jegomościa, któremu sumiaste wąsy niemal zakrywały twarz – wielkiego, zuchowatego chłopca, z głową obwiązaną purpurową szarfą. Na nagim torsie miał otwartą kurtę bez rękawów, przepasaną jaskrawą szarfą, za którą zatknął dwa pistolety i dwa długie noże; u boku wisiał mu kord o rękojeści bogato zdobionej perłami i półszlachetnymi kamieniami. To był Cid, dowódca Korsarian – krzepki, zuchowaty zabijaka; tylko ktoś taki jak on mógł utrzymać swoją pozycję wśród nieokrzesanych i kłótliwych Korsarian.

Na wysokim pokładzie jego statku otaczała go gromada podobnych mu muskularnych zbirów; zaś daleko w dole, na śródokręciu, odpoczywała rzesza pomniejszych rzezimieszków, prostych marynarzy, ocalałych z zażartej bitwy. W większości byli to nieokrzesani brutale, ubrani jedynie w spodenki no i przystrojeni w nieodłączne jaskrawe szarfy, opasujące głowę i tułów – paskudna choć malownicza zbieranina.

U boku Cida stał młodszy mężczyzna, z pewnością mogący się ubiegać o najpaskudniejsze oblicze pod każdym słońcem: twarz, która wystawiłaby na próbę nawet matczyną miłość, przecinała ohydna blizna, biegnąca od lewego oka do punktu poniżej prawego kącika ust, rozszczepiając nos głęboką, czerwoną

szramą. Lewe oko nie miało powieki i nieustannie patrzyło w górę i przed siebie, jak to ślepe oko. Prawa część górnej wargi była permanentnie skurczona w sardonicznym uśmiešku, ukazującym pojedynczy, przypominający kiel ząb. O nie, Bohar Krwawy nie był piękny.

Tanara brutalnie zawleczono przed Cida i Krwawego.

– To ciebie zwą Tanar?! – ryknął Cid.

Tanar przytaknął.

– I jesteś synem króla! – zarechotał gromko. – Dzięki eskadrom statkom mógłbym zniszczyć królestwo twojego ojca, a z niego, tak jak z jego syna, zrobić niewolnika.

– Możesz sobie mieć wiele eskadr statków – odparł Tanar – ale jakoś nie widzę, żeby któryś niszczył królestwo Sari. Wojskami, które przepędziły je na ocean, dowodził mój ojciec, pod Imperatorem.

Cid spojrzał wilkiem.

– Za mniejsze przewinienia kazałem ludziom iść po desce – burknął.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – powiedział Tanar.

– A powinieneś – warknął Cid. – Wtedy, na brodzie morskiego boga, wyrażałbyś się uprzejmiej. Hej!!!! – wrzasnął do jednego z oficerów. – Przyprowadźcie więźnia i wysuńcie deskę. Pokażemy temu królewskiemu synowi, kim jest Cid i że teraz jest wśród prawdziwych mężczyzn.

– Po co sprowadzać drugiego? – zapytał Bohar Krwawy. – Ten chłopcaś może się przespacerować i jednocześnie dostać nauczkę.

– Ale by z niej nie skorzystał – odparł Cid.

– Od kiedyż to Cid stał się niańką wroga? – zaciekawiał się z wrednym uśmieżkiem Bohar.

Cid bez słowa się odwrócił i walnął Bohara w szczękę, a kiedy tamten upadł, wódz dobył z za pasa wielki pistolet i stanął nad Krwawym, celując mu w głowę.

– Może to naprostuje twoją powykrzywianą gębę i wleje trochę rozumu do pustego łba! – zagrzmiął Cid.

Bohar leżał na plecach, łypiąc gniewnie na dowódcę.

- Kto jest twoim szefem? – zapytał Cid.
- Ty – warknął Bohar.
- To wstawaj i nie pyskuj – rozkazał Cid.

Bohar wstał i popatrzył gniewnie na Tanara. Miało się wrażenie, że w jedynym zdrowym oku zgromadziły się cała nienawiść, wściekłość i jad zdeprawowanego serca i skupiły się na Sarianinie, pośrednim powodzie jego upokorzenia; od tej chwili Tanar wiedział, że Bohar Krwawy go darzył osobistą nienawiścią, całkiem różną od zwykłej antypatii, jaką mógłby czuć do obcego i wroga.

Na niższym pokładzie załoganci gorliwie wysuwali za barierkę sterburty długą deskę, mocując jej koniec mocnymi linami do knag.

Inni wywlekali z otwartego luku związanego więźnia z królestwa Thurii, pojmanego we wcześniejszych walkach w Krainie Straszliwego Cienia. Wojownik wysoko trzymał głowę i nie okazywał lęku w obecności swoich nieokrzesanych porywaczy. Tanar, patrzący na niego z górnego pokładu, był dumny z tego mieszkańca imperium. Cid też patrzył.

- Trzeba poskromić bandę – oznajmił.

Młodsza z dwóch kobiet – obie podeszły na skraj pokładu i patrzyły na scenę na śródokręciu – powiedziała do Cida:

- Oni wszyscy są dzielnymi ludźmi. Szkoda bez potrzeby zabijać któregoś z nich.

- Biedaczko! – wykrzyknął Cid. – Co ty wiesz o takich sprawach? To przemówiła krew twojej matki. Na brody bogów, wolałbym, żebyś miała w żyłach więcej ojcowskiej krwi!

- Krew mojej matki to mężna krew – odparła dziewczyna. – Nie obawia się stanąć samotnie przed tymi ludźmi. Krew ojca nie ośmiela się ujawniać swoich zalet oczom ludzi, bo się obawia śmieszności. Przechwałkami o odwadze zakrywa tchórzostwo.

Cid zaklął.

- Wykorzystujesz nasze związki, Stellaro – powiedział, – ale nie zapominaj, że jest granica, której nawet ty nie możesz przekroczyć wobec mnie, bo nie toleruję zniewag.

Dziewczyna się zaśmiała.

– Zachowaj tę gadkę dla tych, co się ciebie boją.

Podczas tej rozmowy stojący w pobliżu Tanar miał okazję bliżej się przyjrzeć dziewczynie; skłoniły go do tego jej uwagi i spokojna odwaga w zachowaniu. Po raz pierwszy dostrzegł, że jej włosy w ciepłym blasku słońca przypominały złoto i zrobiło to na nim wrażenie, bo wszystkie kobiety w jego krainie były ciemnowłose. Uznał, że to bardzo ładne; a kiedy dokładniej się przyjrzał jej rysom, uświadomił sobie, że i one były urocze – słoneczny, złocisty urok, odzwierciedlający zalety serca i charakteru. Była w niej kobieca łagodność, której niekiedy brakowało krzepkim, samodzielnym, prymitywnym kobietom z jego rasy. W żadnym razie nie była to słabość, o czym świadczył brak lęku przed Cidem i blask odwagi w męźnych oczach. I to inteligentnych oczach – męźnych, inteligentnych i pięknych.

Lecz zainteresowanie Tanara zniknęło; odrzuciła go myśl, że ta kobieta należy do tego nieokrzesanego zbira, rządzącego żelazną dłońią wąsatymi typami z wielkiej floty – bo wzmianka Cida o ich związkach upewniła Sarianina, że kobieta jest jego partnerką.

Teraz wszyscy skupili uwagę na aktorach rozgrywającej się poniżej tragedii. Marynarze związali więźniowi nadgarstki za plecami i zasłonili mu oczy.

– Patrz na to, królewski synu – nakazał Tanarowi Cid, – a dowiesz się, co to znaczy iść po desce.

– Patrzę – powiedział Tanar – i widzę, że trzeba wielu twoich ludzi, żeby zmusić jednego z moich do zrobienia tego czegoś, co by to nie było.

Dziewczyna się roześmiała, Cid jeszcze bardziej się zachmurzył, a Bohar posłał Tanarowi jadowite spojrzenie.

Teraz marynarze z dobytymi nożami i ostrymi pikami ustawili się po obu stronach deski, a inni podnieśli więźnia i postawili go na sterczącym nad pokład jej końcu, tak, że był zwrócony twarzą ku morzu, rozcinanemu grzbietami olbrzymich potworów z głębin, towarzyszących statkowi –

olbrzymich gadów, które dawno temu wymarły na zewnętrznej skorupie.

Dźgali bezbronnego człowieka nożami i pikami, zmuszając, żeby szedł po wąskiej desce przy wtórze przekleństw i wulgarnych dowcipasów i ochrypłego rechotu.

Thurianin, dumnie wyprostowany, kroczył bez lęku ku swojemu przeznaczeniu. Nie jęczał, a kiedy dotarł na koniec deski i jego stopa natrafiła na pustkę, nie krzyknął. Na moment cofnął stopę, zawahał się, a potem w milczeniu skoczył, wykonał obrót i wszedł głową w morze.

Tanar odwrócił wzrok i tak się przydarzyło, że spojrzał ku dziewczynie. Ku swojemu zdumieniu przekonał się, że i ona nie chciała patrzeć na tę ostatnią chwilę i na zwróconej ku niemu twarzy zobaczył cierpienie. Czyżby ta kobieta z brutalnej rasy Cida czuła współczucie i żal wobec udręki więźnia? Tanar w to wątpił. Raczej zaszkodziło jej coś, co tego dnia zjadła.

– Teraz widziałeś człowieka krocącego po desce i wiesz, co ci mogę zrobić, jeżeli zechcę! – zawołał Cid.

Tanar wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że będę równie obojętny wobec tego, co mnie czeka, jak był mój towarzysz. Bo z pewnością nie dostarczył ci rozrywki.

– Jak cię oddam Boharowi, to się ubawimy – odparł Cid. – Zna inne sposoby umilania nudnego dnia, o wiele przewyższające skromne ćwiczenie na desce.

Dziewczyna spojrzała gniewnie na Cida.

– Nie zrobisz tego! – wykrzyknęła. – Obiecałeś, że nie będziesz torturować żadnego więźnia kiedy płynę z wami!

– Jeśli się będzie zachowywać jak trzeba, to tego nie zrobię – powiedział Cid. – Ale jeśli nie, to go oddam Boharowi Krwawemu. Pamiętaj, że jestem wodzem Korsarian i że nawet ciebie spotka kara, jak się będziesz wtrącać.

Dziewczyna znowu się zaśmiała.

– Możesz straszyć innych, wodzu Korsarian, ale nie mnie.

– Gdyby była moja... – wymamrotał groźnie Bohar, ale mu przerwała:

– Nie jestem i nigdy nie będę – oznajmiła.

– Nie bądź taka pewna – warknął Cid. – Mogę cię oddać komu mi się spodoba; dajmy już temu spokój – spojrzął na sariańskiego więźnia. – Jak masz na imię, królewski synu?

– Tanar.

– No to posłuchaj uważnie, Tanarze – powiedział twardo Cid.

– Nasi więźniowie żyją póki mogą się nam przydać. Niektórych z was pokaże się ludowi Korsar i potem już nie na wiele mi się przydadzą. Ale ty możesz sobie kupić życie i może nawet wolność.

– Jak? – zapytał Tanar.

– Twoi ludzie mieli broń o wiele lepszą niż nasza – wyjaśnił Cid. – Wasz proch był mocniejszy i bardziej niezawodny. Naszego często nie daje się podpalić za pierwszym razem.

– To musi być kłopotliwe – zauważył Tanar.

– To katastrofalne – powiedział Cid.

– Ale co to ma wspólnego ze mną? – zapytał więzień.

– Jeśli nauczysz nas, jak wytwarzać lepszą broń i taki proch, jaki mają twoi ludzie, to ocalisz życie i zyskasz wolność.

Tanar milczał – rozmyślał – rozmyślał o przewadze, jaką lepsza broń daje jego ludziom – o losie, jaki czeka i jego i tych nieszczęśników w ciemnej, cuchnącej dziurze pod pokładem.

– No i? – zapytał Cid.

– Tamtych też oszczędzisz? – spytał Tanar.

– Niby czemu?

– Będzie mi potrzebna ich pomoc – wyjaśnił Tanar. – Nie wiem wszystkiego o produkcji broni i prochu.

Prawdę powiedziawszy nie miał pojęcia ani o jednym ani o drugim, ale dostrzegł szansę ocalenia współwięźniów (a przynajmniej opóźnienia kaźni) i zyskania czasu na znalezienie sposobów ucieczki; nie zawahał się oszukać Cida, bo czyż to nie jest dozwolone na wojnie?

– No dobrze – odparł wódz Korsarian – jeśli i ty i oni nie sprawicie mi kłopotów, to będziecie żyć; o ile nauczycie nas, jak

robić taką broń i taki proch jak wasze.

– Nie możemy tkwić w tej brudnej dziurze, gdzie nas trzymacie – Sarianin na to. – Nie przeżyjemy bez jedzenia. Wkrótce się pochorujemy i pomrzemy. Jesteśmy ludem otwartych przestrzeni, nie przeżyjemy w czarnych, pełnych robactwa dziurach, głodując.

– Nie wrócisz do dziury – powiedział Cid. – Stąd nie uciekniesz.

– A pozostali? – zapytał Tanar.

– Zostaną tam, gdzie są!

– Wszyscy umrą, a bez nich nie zrobię prochu – przypomniał mu Tanar.

Cid łypnął na niego gniewnie.

– Wtedy na moim statku roiłoby się od nieprzyjaciół – warknął.

– Są nieuzbrojeni.

– No to z pewnością by ich zabito – Cid na to. – Wśród tej bandy nikt nieuzbrojony długo by nie pożył – pogardliwie machnął dłonią ku półnagiej zgrai na dole.

– To otwórz luki, daj im świeższego powietrza i obfitszej i lepszej strawy.

– Zrobię tak – ustąpił Cid. – Bohar, każ otworzyć przednie luki i ustaw przy nich strażę; mają zabić każdego więźnia, który spróbuje wyleźć na pokład i każdego z naszych, który będzie chciał do nich zejść. Dopilnuj też, żeby więźniowie dostawali takie same porcje jak nasi ludzie.

Tanar z ulgą bliską szczęściu patrzył, jak Bohar odchodzi, żeby wypełnić rozkazy Cida; dobrze wiedział, że jego ludzie nie pożyliby długo w tym okropnym zamknięciu, jedząc paskudztwo jakim ich karmiono od kiedy się znaleźli na statku Korsarian.

Cid poszedł do swojej kajuty, a Tanar, pozostawiony sam sobie, przeszedł na dziób; oparł się o reling i zapatrzył w mglistą, wyginającą się ku górze dal, gdzie leżał kraj Sarian, jego ojczyzna. Daleko za rufą niewielka łódź unosiła się i opadała na wielkich, długich falach. Groźni mieszkańcy głębin

nieustannie ją osaczali, burze jej zagrażały, lecz nieustępliwie płynęła śladem wielkiej floty – krucha i maleńka, silna wolą trzech mężczyzn.

Tanar jej nie widział, bo kryła ją mgła. Dodałaby mu otuchy świadomość, że jego imperator ryzykował życiem, żeby go ocalić.

Kiedy tak patrzył i marzył, wyczuł czyjąś obecność, ale się nie odwrócił; no bo z kim mającym wstęp na górny pokład tego statku chciałby rozmawiać, kogo zobaczyć?

Usłyszał głos, cichy i piękny i natychmiast się odwrócił. To była dziewczyna.

– Patrzysz ku swojej krainie? – zapytała.

– Tak.

– Już nigdy jej nie zobaczysz – powiedziała ze smutkiem, jakby rozumiała jego uczucia i współczuła mu.

– Może i nie, ale czemu byś się miała tym przejmować? Jestem wrogiem.

– Nie wiem, czemu mnie to obchodzi – odparła. – Jak się nazywasz?

– Tanar.

– I tylko tyle?

– Nazywają mnie Tanar Szybkonogi.

– Dlaczego?

– Bo nikt w Sari mnie nie prześcignie.

– Sari to nazwa twojego kraju?

– Tak.

– Jaki jest?

– To wysoki płaskowyż wśród gór. To bardzo piękna kraina rwących rzek i wielkich drzew. Pełno tam zwierzyny. Polujemy dla mięsa i rozrywki na ogromne rythy i taragi; jest też tam mnóstwo mniejszych zwierząt, z których mamy strawę i odzienie.

– Nie macie wrogów? Nie jesteście wojowniczy jak Korsarianie.

– Pokonaliśmy wojowniczych Korsarian – przypomniał jej.

– Nie powtarzałabym tego za często – odparła. – Korsarianie są porywcy i lubią zabijać.

– No to czemu mnie nie zabijesz? – zapytał. – Masz za pasem nóż i pistolet, jak inni.

Tylko się uśmiechnęła.

– Może nie jesteś Korsarianką! – wykrzyknął. – Porwano cię, tak jak mnie i jesteś więźniarką.

– Nie jestem więźniem – odparła.

– Ale nie jesteś Korsarianką – upierał się.

– Zapytaj Cida, z pewnością cię zabije za taką bezczelność. Dlaczego uważasz, że nie jestem Korsarianką?

– Jesteś zbyt piękna i delikatna – odpowiedział. – Okazałaś współczucie, a to wyższe uczucie, wykraczające poza ich umysłowe zdolności. Są...

– Ostrożnie, nieprzyjacielu, może jestem Korsarianką!

– Nie wierzę w to – oznajmił Tanar.

– Zatrzymaj swoje wnioski dla siebie, więźniu – pouczyła go wyniośle.

– Co jest? – zapytał burkliwy głos za Tanarem. – Co to coś ci powiedziało, Stellaro?

Tanar gwałtownie się odwrócił i znalazł twarzą w twarz z Boharem Krwawym.

– Wątpiłem, że jest tej samej rasy co ty – palnął Tanar, zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć. – To nie do pomyślenia, żeby kogoś tak pięknego skaziła krew Korsarian.

Bohar, purpurowy z wściekłości, położył dłoń na jednym z noży i postąpił wyzywająco ku Sarianinowi.

– Za obrazę córki Cida grozi śmierć! – zawołał, wyszarpując nóż i zadając Tanarowi podstępne pchnięcie.

Sarianin – zwinny, od dzieciństwa uczony tak ataku jak i obrony – szybko odsunął się na bok, a potem równie szybko zadziałał i Bohar Krwawy, powalony celnym ciosem, padł na pokład.

Bohar, tocząc pianę z wściekłości, wyszarpnął ciężki pistolet zza jaskrawego pasa i – wciąż leżąc na pokładzie – wycelował

w pierś Tanara i nacisnął spust. W tej samej chwili dziewczyna skoczyła naprzód, jakby chciała uratować więźnia.

Wszystko stało się tak szybko, że Tanar nie bardzo zarejestrował kolejność wydarzeń; jednego był pewien – proch się nie zajął. Sarianin się roześmiał.

– Lepiej się wstrzymaj z mordowaniem mnie aż was nauczę robić proch co się pali, Boharze – pouczył go Tanar.

Bohar Krwawy się podniósł i Tanar szykował się na odparcie ataku, ale dziewczyna z władczym gestem stanęła pomiędzy nimi.

– Dostyc tego! – zawołała. – Cid chce, żeby ten człowiek żył. Chcesz, Boharze, żeby Cid się dowiedział, że go próbowałeś zastrzelić?

Bohar przez chwilę patrzył gniewnie na Tanara, a potem się odwrócił i odszedł bez słowa.

– Wygląda na to, że Bohar mnie nie lubi – uśmiechnął się Tanar.

– Prawie nikogo nie lubi – powiedziała Stellara. – Ale ciebie teraz nienawidzi.

– Pewnie dlatego, że go powaliłem. Nie mogę mieć mu tego za złe.

– To nie jest prawdziwy powód – sprzeciwiła się dziewczyna.

– No to w czym rzecz?

Wahała się przez chwilę, a potem się roześmiała.

– Jest zazdrosny. Bohar chce, żebym była jego.

– Ale czemu miałyby być o mnie zazdrosny?

Stellara zmierzyła Tanara wzrokiem i znowu się roześmiała.

– Nie wiem – odparła. – Chłoptaş z ciebie w porównaniu z naszymi potężnymi Korsarianami; cienki w pasie i bez zarostu. Trzeba by dwóch Tanarów na jednego z nich.

Wyczuł w jej głosie ledwo skrywane lekceważenie i to go uraziło, chociaż nie wiedział dlaczego – a to go z kolei zirytowało. Bo kimże ona była? Barbarzyńską córką barbarzyńskiego i nieokrzesanego Korsarianina. Kiedy po raz pierwszy usłyszał od Bohara, że była córką a nie kobietą Cida, poczuł ogromną ulgę; nie zastanowiło go, dlaczego.

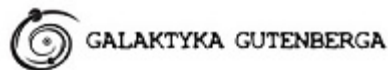
Może to uroda dziewczyny sprawiała, że taki związek z Cidem budził odrazę; może to jej mniejsza bezdusznosc, w porównaniu z brutalnością Cida i Bohara wyglądająca na łagodność. Lecz teraz wydawała się zdolna do wyszukanego okrucieństwa, czego w zasadzie mógł się spodziewać po córce wodza Korsarian.

Tanar, jak każdy kogo urażono, wbił szpilę, mając nadzieję, że ją to dotknie:

– Bohar zna cię lepiej niż ja. Może wiedział, że ma powód do zazdrości.

– Może – odparła zagadkowo. – Ale nikt by się nigdy nie dowiedział, bo Bohar by cię zabił. Na tyle go znam, żeby to wiedzieć.

2. NIESZCZĘŚCIE



Na nieznanym czasie morzach Pellucidaru rejs może trwać godzinę lub rok – to zależy nie od jego długości, a od wagi towarzyszących mu zdarzeń. Flota Korsarian przecinała niespokojne morze, płynąc ku górze po wewnętrznym łuku wielkiego koliska. Przyjazne wiatry pchały flotę naprzód. Słońce nieustannie stało w zenicie. Ludzie jedli, kiedy byli głodni, spali kiedy się zmęczyli; albo spali na zapas, na czas kiedy nie będą mogli spać – bo mieszkańcy Pellucidaru potrafią magazynować sen w chwilach spokoju na bardziej mozolne okresy (wojny czy polowań) kiedy może go brakować. Jedzą też zadziwiająco nieregularnie.

Od starcia z Boharem Tanar kilka razy jadł i spał; widywał go też z daleka. Krwawy czekał na właściwy moment.

Stellara siedziała w swojej kajucie ze starszą kobietą; Tanar przypuszczał, że to jej matka. Zastanawiał się, czy się upodobni do matki lub Cida, kiedy będzie starsza i zatrzęsło go, kiedy rozważał obie możliwości.

Kiedy tak stał, rozmyślając, jego uwagę zwróciły poczynania marynarzy na dolnym pokładzie. Patrzyli na lewo od dziobu i w górę – też tam spojrział i zobaczył rzadkie zjawisko: chmurę na jasnym niebie.

Ktoś musiał już powiadomić Cida, bo wyszedł z kajuty i długo i badawczo wpatrywał się w niebo. Swoim grzmiącym głosem wykrzyczał rozkazy i jego niesforna załoga polazła na stanowiska, wdrapując się nad pokład niczym małpy, albo stojąc w pogotowiu, żeby wypełnić jego polecenia.

Spuszczono wielkie żagle i zrefowano mniejsze; wszystkie okręty, rozproszone na lśniącej powierzchni morza, poszły

za przykładem statku wodza.

Chmura się powiększała i szybko zbliżała. Już nie była białym obłokiem, który przyciągnął ich uwagę. Stała się wielką, nabrzmiałą, złowieszczą czarną masą, sunącą nad oceanem, który w jej cieniu stawał się ciemny i ponury.

Wiatr, łagodnie wiejący, nagle ustał. Okręt zszedł z kursu i stoczył się w dolinę fali. Zapanowała cisza, która przeraziła załogę.

Tanar, przyglądający się temu, zauważył zmianę. Jeśli ci twardzi, otrzaskani z morzem ludzie pobledli na widok wielkiej chmury, to zagrożenie musiało być ogromne.

Sarianie byli ludźmi gór. Tanar niewiele wiedział o morzu – jeśli bał się czegoś na Pellucidarze, to właśnie morza. Toteż widok kulących się ze strachu dzikich Korsariańskich żeglarzy wcale go nie uspokoił.

Ktoś podszedł do relingu i stanął obok niego.

– Kiedy to minie – powiedział głos – we flocie Korsarian będzie mniej okrętów i mniej mężczyzn wróci do domu, do swoich kobiet.

Odwrócił się i zobaczył Stellarę patrzącą na chmurę.

– Nie wyglądasz na wystraszoną.

– Ty też. Chyba jesteśmy jedynymi osobami na pokładzie, które się nie boją.

– Popatrz na więźniów – nakazał. – Nie okazują strachu.

– Dlaczego?

– Są Pellucidarczykami – odparł dumnie.

– Wszyscy jesteśmy Pellucidarczykami – przypomniała mu.

– Miałem na myśli Imperium.

– Czemu się nie boicie? Aż tak przewyższacie odwagą Korsarian? – w jej głosie nie było sarkazmu.

– Bardzo się boję – odparł Tanar. – Jesteśmy ludźmi gór, niewiele wiemy o morzu.

– Ale nie okazujesz lęku.

– To zasługa dziedziczności i treningu – wyjaśnił.

– Korsarianie okazują strach – dumiała; mówiła jak ktoś odmiennej krwi. – Przechwalają się swoją odwagą – ciągnęła,

jakby mówiąc sama do siebie – ale kiedy niebo się chmurzy, okazują strach – w jej głosie pojawiła się nutka wzdargi. – Patrz! – krzyknęła. – Nadciąga!

Chmura szła na nich, a pod nią ocean szalał. Na obrzeżach głównej masy strzępy chmury skręcały się i wirowały. Strzępy piany wirowały nad rozszalałymi falami. A potem sztorm uderzył w okręt, przewrócił go na bok.

Skutki były przerażające dla mieszkańca gór, nienawykłego do morza – chaos wodnych gór, przewalających się, spadających na rozkołysany okręt; ryk wichru, niesiona wichrem, zalepiająca oczy piana; spanikowana załoga – potulna, już nie zadiorna i zuchowata.

Bohar Krwawy – chwiejąc się, potykając, wczepiając w reling – przeszedł obok Tanara, jedną ręką zaczepionego o słupek, drugą trzymającego Stellare; byłaby spadła na pokład, gdyby na czas nie zadziałał. Od poszarzałej twarzy Bohara odcinała się ta jego paskudna czerwona blizna. Spojrzał na Tanara i Stellare, ale minął ich, mrużąc coś do siebie.

Za nimi był Cid, wywrzaskujący rozkazy, których nikt nie słyszał. Bohar szedł ku niemu. Ponad rykiem sztormu Tanar dosłyszał, jak Krwawy wrzeszczy do wodza:

– Ocal mnie! Ocal mnie! Każ spuścić łodzie! Okręt jest stracony!

Nawet dla szczura lądowego było jasne, że żadna mała łódź nie przetrwa na tak wzburzonym morzu (gdyby jakąś spuszczo). Cid nie zwracał uwagi na swojego zastępcę, dalej wywrzaskiwał rozkazy.

Nagle ponad dziób uniosła się potężna fala – wisiała tak przez chwilę, a potem runęła na dolny pokład: tony miażdżącej, bezlitosnej, rozszalałej wody spadły na stłoczonych, krzyczących żeglarzy. Nad gniewnymi falami sterczały tylko wysoki dziób i wyniosła rufa. Wielki okręt przez chwilę trzeszczał i dygotał, walcząc o życie.

– To koniec! – zawołała Stellara.

Bohar wrzeszczał jak bezrozumna bestia, bojąca się śmierci. Cid ukląkł na pokładzie, zasłonił twarz rękami. Tanar patrzył,

zafascynowany przerażającą potęgą żywiołów. Ujrzał, jak człowiek staje się niczym wobec potęgi wichru i uśmiechnął się.

Fala się cofnęła i okręt, kołysząc się i jęcząc, z trudem się podniósł. Tanar spojrział na dolny pokład i przestał się uśmiechać. Teraz było tam prawie pusto. Parę potrzaskanych ciał leżało stłoczonych w spływnikach; parunastu ludzi, wczepionych tu i tam, dawało oznaki życia. Reszta – z wyjątkiem tych, co zesli pod pokład – zniknęła.

Dziewczyna mocniej do niego przylgnęła.

– Nie sądziłam, że okręt to przetrwa.

– Ja też nie – przyznał Tanar.

– Ale się nie bałeś. Tylko ty się nie bałeś.

– I co dały wrzaski Bohara? – zapytał. – Ocaliły go?

– Czyli się bałeś, ale to ukrywałeś?

– Może i tak – wzruszył ramionami. – Nie wiem, co nazywasz strachem. Nie chciałem umrzeć, o ile to masz na myśli.

– Idzie kolejny! – zawołała Stellara, drżąc i mocniej do niego przywierając.

Tanar mocniej przytulił smukłą dziewczynę. To był odruch – zadziałał męski instynkt ochrony słabszego.

– Nie bój się – powiedział.

– Już się nie boję.

Potężny grzywacz spadł na okręt i w tej samej chwili uderzył rozszałały huragan – uderzył pod innym kątem – i maszty, już z trudem wytrzymujące to minimum żagli, niezbędnych, żeby okręt płynął, ustawiony dziobem pod wiatr, pękły jak wyschnięte kości i runęły za burtę w płątanie lin; dziób zszedł z kursu i statek wpadł w doliny wielkich fal, był jak bezbronny wrak.

Wrzaski Bohara były głośniejsze od wycia wichru.

– Łodzie! Łodzie! – powtarzał jak oszalała ze strachu papuga.

Wicher ucichł, jakby na chwilę nasycony i znużony własnym wysiłkiem, lecz wielkie fale rosły i opadały, rzucając zdanym na ich łaskę statkiem. Na dnie każdej doliny fal miało się wrażenie, że szaro-zielone wodne góry go pochłoną; na grzbiecie każdej ogromnej fali groziło zniszczenie.

Bohar, wciąż wrzeszcząc, polazł na niższy pokład. Znalazł marynarzy, jakimś cudem ocalałych na otwartej przestrzeni i innych, kulących się ze strachu pod pokładem. Klnąc, bijąc i grożąc pistoletem, zebrał ich razem i chociaż jęczeli ze strachu zmusił ich do przygotowania łodzi. Było ich dwudziestu i ich szatańscy bogowie musieli patrzeć na nich łaskawym okiem, bo opuścili łódź i odpłynęli od bezwładnego statku, nie tracąc ani jednego człowieka.

Cid, widząc co zamierza Bohar, próbował zapobiec temu samobójczemu postępkowi; rozkazywał Krwawemu wracać, ale bez skutku i w końcu sam zszedł na niższy pokład, żeby narzucić swoją wolę – ale zjawił się za późno. Teraz stał i wpatrywał się z niedowierzaniem w małą łódź, płynącą na pozór bezpiecznie po wzburzonym morzu; zaś okręt z kikutami masztów wydawał się skazany na zagładę.

Ocaleńcy powychodzili z kryjówek i kiedy zobaczyli łódkę Bohara i jej względnie bezpiecznych pasażerów, zaczęli się gromko domagać ucieczki pozostałymi łodziami. Wbili to sobie do głów i rozpętało się piekło, kiedy zaczęli walczyć o miejsca w pozostałych łodziach.

– Chodź! – zawołała Stellara. – Musimy się pospieszyć, bo odpłyną bez nas.

Ruszyła ku zejściówce, ale Tanar ją powstrzymał.

– Popatrz na nich – powiedział. – Jesteśmy bezpieczniejsi na łasce morza i sztormu.

Stellara cofnęła się ku niemu. Zobaczyła mężczyzn dźgających się nożami – ci z tyłu atakowali tych, co byli przed nimi. Inni odciągali kolegów od łodzi i zabijali ich na pokładzie, albo sami ginęli. Ujrzała, jak Cid strzela marynarzowi w plecy i wskakuje na jego miejsce w łodzi, która miała być spuszczonej pierwsza. Widziała załogantów skaczących z relingu w szaleńczej próbie znalezienia się w tej łodzi i wpadających do morza, albo tam wrzucanych, jeśli się im udało dostać na pokład tej chwiejnej łupiny.

Zobaczyła, jak spuszczone inne łodzie i ludzi, zgniecionych pomiędzy nimi i burtą statku – ujrzała, do czego samochwalców

i fanfaronów może doprowadzić lęk, kiedy reszta załogi, nie mogąc zająć miejsc w ostatniej łodzi, skakała w morze i tonęła.

Tanar i Stellara, stojąc na wysokiej rufie miotanego falami wraku, obserwowali rozpaczliwe wysiłki wioślarzy w przeciążonych łodziach. Widzieli, jak dwie z nich się zderzyły i obie zatonęły. Patrzyli, jak tonący walczył o życie. Słyszeli ich ochryple wrzaski i przekleństwa, wybijające się ponad ryk fal i wichru, bo sztorm powrócił, jakby się bał, że niektórzy unikną jego gniewu.

– Zostaliśmy sami – powiedziała Stellara. – Wszyscy odeszli.

– I dobrze – odparł Tanar. – Nie zamieniłbym się z nimi na miejsce.

– Ale może nie ma dla nas nadziei – powiedziała dziewczyna.

– Dla nich tym bardziej – stwierdził Sarianin. – Przynajmniej nie tłoczmy się w małej łodzi ze zbirami.

– Bardziej się boisz ludzi niż morza.

– Z twojego powodu.

– Czemu miałbyś się o mnie bać? Czyż i ja nie jestem twoim wrogiem?

Popatrzył na nią, zaskoczony.

– No tak, ale jakoś o tym zapomniałem. Nie wyglądasz na wroga, tak jak oni. Nawet nie jesteś do nich podobna.

Tanar, mocno trzymając się relingu i drugą ręką podtrzymując dziewczynę na kołyszącym się pokładzie, musiał jej mówić wprost do ucha, jeśli miała go usłyszeć w tym sztormie. Czuł delikatny zapach, już zawsze kojarzący mu się ze Stellara.

Morze uderzyło w rozkołysany statek i Tanar poleciał do przodu; jego policzek znalazł się przy policzku Stellary, a kiedy odwróciła głowę, usta dotknęły jej warg. Obydwoje wiedzieli, że to przypadek, ale skutek mimo to był zaskakujący. Tanar po raz pierwszy poczuł ciało dziewczyny przy swoim i świadomość tego kontaktu musiała być widoczna w jego spojrzeniu, bo Stellara się cofnęła, z lękiem w oczach.

Tanar zobaczył lęk w oczach wroga, ale wcale go to nie ucieszyło. Starał się myśleć o tym, jak potraktowano by kobietę

z jego plemienia, gdyby się znalazła na łasce Korsarian, ale i to go nie zadowoliło, jakby się stało, gdyby był ulepiony z tej samej gliny, co ludzie z plemienia Korsarian.

To, co się zaraz stało, sprawiło, że zapomnieli o tym, co ich poruszyło. Na rozkołysany pokład runęły tony wody gigantycznej fali, o wiele większej od poprzednich.

Tanar miał wrażenie, że to koniec, bo było nie do pomyślenia, żeby niesterowny kadłub się wynurzył, skoro woda sięgnęła niemal najwyższego pokładu wysokiej rufy, gdzie obydwójce ze Stellarą opierali się wichrowi i kolebaniu wraku.

Lecz kiedy fala się przetoczyła, statek powoli, niemrawo i z wysiłkiem wynurzył się na powierzchnię, jak wyczerpany pływak, który tonąc walczy z nieuniknionym losem i wynurza się po ostatni haust powietrza, który tylko przedłuży agonię.

Kiedy główny pokład powoli się wynurzył spod spływającej wody, Tanar z przerażeniem zobaczył, że przedni luk był otwarty. Mniej się przejął tym, że z każdą przewalającą się falą okręt nabierał wody, niż tym, że tam na dole trzymano jego towarzyszy. W niemal beznadziejnej sytuacji pojawił się promyk nadziei – jeśli okręt przetrwa sztorm, to będą tu Pellucidarczycy i wspólnie spróbują postawić prowizoryczny żagiel i dotrzeć do brzegu, z którego zabrano ich na pokład. Lecz otwarty luk mógł oznaczać tylko jedno – i Tanar uświadomił sobie, że to byłby cud, gdyby na wraku przeżył jeszcze ktoś poza nim i Stellarą.

Dziewczyna patrzyła na zniszczenia na dole; teraz spojrzała na niego.

– Pewnie wszyscy się potopili. A to byli twoi ludzie. Tak mi przykro.

– Może wybraliby to zamiast losu, który by ich czekał w Korsarze.

– I odeszli trochę wcześniej niż my – ciągnęła. – Zauważyłeś, jak nisko okręt się zanurza i jaki jest powolny? Ładownia pewnie jest na wpół zalana wodą; jeszcze jedna taka fala jak ostatnia i zatoniemy.

Przez jakiś czas milczeli, każde zajęte własnymi myślami. Wrak zsunął się w dolinę fali i przez chwilę się zdawało, że nie zdąży uciec przed kolejnym grzywaczem, ale za każdym razem z wysiłkiem, chwiejnie, wspinał się na grzbiet drugiej fali.

– Coś mi się zdaje, że sztorm minął – odezwał się Tanar.

– Wiatr ucichł i nie ma już takich fal jak ta olbrzymka, co wyrwała klapę przedniego luku – powiedziała z nadzieją Stellara.

Stojące w zenicie słońce wyszło z za zasłaniającej go czarnej chmury i morze zajaśniało błękitem i srebrem. Sztorm minął. Fale się zmniejszyły. Wrak kołysał się ciężko na powolnych falach, nisko zanurzony, ale na razie względnie bezpieczny.

Tanar zszedł zejściówką na dolny pokład, podszedł do luku. Jedno spojrzenie potwierdziło to, czego się domyślał – ciała przetaczające się w rytm chwiejby statku. Tam na dole nikt nie przeżył. Odwrócił się z westchnieniem i poszedł na górny pokład.

Dziewczyna o nic nie spytała, bo z jego miny wyczytała, co zobaczył.

– Tylko my przeżyliśmy – powiedział.

Szerokim gestem wskazała otaczające ich morze.

– Nie ma wątpliwości, że my jedni ocaleliśmy. Nie widzę żadnego statku i ani jednej łodzi.

Tanar przepatrzył okoliczne wody.

– Ja też nie. Ale może niektórzy ocaleli.

Potrząsnęła głową.

– Wątpię.

– Poniosłaś wielką stratę – rzekł współczująco Sarianin. – Straciłaś nie tylko wielu współziomków, ale i ojca i matkę.

Stellara spojrzała mu w oczy.

– To nie byli moi ziomkowie.

– Co takiego?! – wykrzyknął Tanar. – To nie byli twoi ziomkowie? Przecież twój ojciec, Cid, był wodzem Korsarian.

– Nie był moim ojcem – odparła dziewczyna.

– A kobieta nie była twoją matką?

– Niech bogowie bronią! – zawołała.

– Ale Cid traktował cię jak córkę!

– Sądził, że jestem jego córką, ale nią nie jestem.

– Nie rozumiem, ale się cieszę, że nie jesteś. Nie mogłem się pogodzić z tym, że ty, tak od nich inna, jesteś Korsarianką.

– Moja matka pochodziła z wyspy Amiocap i tam ją pojmał Cid, wraz z innymi kobietami. Wiele razy mi o tym opowiadała zanim zmarła. Jej partner był wtedy na łowach na tandora i już nigdy go nie zobaczyła. Kiedy się urodziłam, Cid myślał, że jestem jego córką, ale mama wiedziała swoje, bo mam na lewym ramieniu małe czerwone znamię, takie samo jak to na lewym ramieniu jej partnera, któremu ją ukradziono, jak to na ramieniu mojego ojca. Mama nigdy nie powiedziała Cidowi prawdy, bo się bała, że mnie zabije, jak każą obyczaje Korsarian; zabijają dzieci brank, jeśli Korsarianin nie jest ich ojcem.

– Kobieta, towarzysząca ci na pokładzie, nie była twoją matką?

– Nie. Była kobietą Cida, ale nie moją matką, która nie żyje.

Tanarowi naprawdę ulżyło, że Stellara nie była Korsarianką, chociaż nie wiedział, dlaczego tak się stało; nie próbował też analizować swoich uczuć.

– Cieszę się.

– Ale dlaczego?

– Teraz nie musimy być nieprzyjaciółmi.

– A byliśmy?

Zawahał się, a potem się roześmiał.

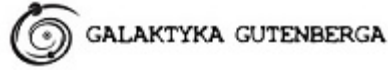
– Nie byłem twoim wrogiem, ale przypomniałaś mi, że byłaś moim.

– Całe życie przywykłam myśleć o sobie jako o Korsariance! – wykrzyknęła Stellara. – Chociaż wiedziałam, że nią nie jestem. Nie czułam do ciebie wrogości.

– Kimkolwiek byliśmy przedtem, teraz musimy być przyjaciółmi – pouczył ją.

– To będzie zależało od ciebie – odparła.

3. AMIOCAP



Błękitne wody wielkiego morza, znanego jako Korsar Az obmywały wybrzeża zielonej wyspy, odległej od kontynentu – długiej, wąskiej wyspy z zielonymi wzgórzami i płaskowyżami, z linią brzegową poznaczoną zatoczkami i zatokami: Amiocap, wyspa tajemnic i miłości. Z daleka, zwłaszcza kiedy nad wodą utrzymuje się mgła, wygląda jak dwie wyspy, tak płaska i wąska jest w pewnym punkcie, gdzie z obu stron wcinają się w nią zatoczki i morze niemal się styka.

I tak ją ujrzeli obydwójce ocaleńcy z pokładu Korsariańskiego wraku, dryfującego bezwładnie po leniwych prądach oceanu, zdani na kaprysy wiatru.

Mieszkańcy Pellucidaru nie znają nawet słowa „czas”, toteż Tanar w ogóle o nim nie pomyślał. Wiele razy jedli; ale zapasów wystarczyłoby nawet dla licznej załogi, więc się tym nie przejmował. Za to martwiło go zmniejszenie się rezerwy pitnej wody, bo zawartość wielu beczek nie nadawała się do picia.

Dużo spali, jak to jest w zwyczaju Pellucidarczyków, kiedy jest niewiele do roboty – magazynowali energię na ewentualne przyszłe wysiłki.

Akurat spali – któż by potrafił określić jak długo w pozbawionej czasu teraźniejszości Pellucidaru. Stellara pierwsza wyszła na pokład ze swojej kajuty obok kajuty Cida. Rozejrzała się za Tanarem, ale go nie zobaczyła i zapatrzyła się na wyginający się ku górze bezmiar wody, wszędzie wokół zlewającej się z błękitną kopułą iskrzącego się nieba, pośrodku którego wisiało wielkie stojące w zenicie słońce.

Nagle jej wzrok przyciągnęło coś innego niż bezkresne wody i niezmiennie słońce. Wydała zdumiony i radosny okrzyk,

odwróciła się i pobiegła ku kajucie, w której spał Tanar.

– Tanarze! Tanarze! – wołała, łomocząc w drzwi. – Ziemia, Tanarze, ziemia!

Drzwi otwarły się energicznie i Sarianin wyszedł na pokład, gdzie Stellara pokazywała za reling sterburty dryfującego wraku.

W pobliżu wznosiły się zielone wzgórza na długim wybrzeżu, ciągnącym się na wiele mil w obu kierunkach – ale nie mogli stwierdzić, czy to wyspa czy kontynent.

– Ląd! – westchnął Tanar. – Jak wspaniale wygląda!

– Urocza zieleń delikatnych liści często kryje straszliwe bestie i okrutnych ludzi – napomniała go Stellara.

– Te zagrożenia znam; nie lubię nieznanymi niebezpieczeństw morz. Nie przepadam za morzem.

– Nienawidzisz morza?

– Nie. Nie nienawidzę go, po prostu go nie rozumiem i to wszystko. Ale to jest coś, co rozumiem – wskazał ku lądowi.

Coś w głosie Tanara kazało Stellarze spojrzeć tam, gdzie wskazywał.

– Ludzie! – zawołała.

– Wojownicy – powiedział Tanar.

– W tym kanoe musi ich być ze dwudziestu – stwierdziła.

– Za nimi płynie drugie.

Oba kanoe wiosłowały z ujścia wąskiej zatoczki na otwarte morze.

– Spójrz! – zawołała Stellara. – Nadpływa ich o wiele więcej!

Jedno po drugim dwadzieścia kanoe długim rzędem wypłynęło na spokojne wody i zbliżało się do statku. Ocalańcy ujrzeli, że każde jest pełne niemal nagich wojowników. Groźnie połyskiwały długie, ciężkie dzidy z kościanymi grotami; kamienne noże sterczały z przepasek biodrowych; kamienne toporki kołysały się u każdego biodra.

Flotyła się zbliżała i Tanar poszedł do kajuty, skąd wrócił z dwoma ciężkimi pistoletami, zostawionymi przez uciekających Korsarian.

– Spodziewasz się, że to odstraszy czterystu wojowników? – zaciekawiała się dziewczyna.

Tanar wzruszył ramionami.

– Jeśli nigdy nie słyszeli huku broni palnej, to parę strzałów mogłoby ich odstraszyć; przynajmniej na jakiś czas – wyjaśnił. – A jeśli nie przejdziemy na brzeg, to prąd nas stąd zabierze.

– A jeśli się tak łatwo nie wystraszą? – zapytała.

– To zrobię co w mojej mocy z tą prymitywną bronią i fatalnym prochem Korsarian – powiedział z wyższością kogoś, kto tak niedawno wyszedł ze swym ludem z epoki kamiennej, że często instynktownie chwycił pistolet za lufę i w nagłych przypadkach walił nim jak pałką.

– Może nie będą wrodzy – podsunęła Stellara.

Tanar się roześmiał.

– No to nie są z Pellucidaru! Tylko z jakiejś cudownej krainy, zamieszkaanej przez, jak ich nazywa Perry, anioły.

– Kim jest Perry? – zaciekawiała się. – Nigdy o nim nie słyszałam.

– To szaleniec, mówiący, że Pellucidar jest we wnętrzu wydrążonego kamienia, tak okrągłego, jak dziwny świat stale wiszący nad Krainą Straszliwego Cienia. Na zewnątrz tego kamienia są morza i góry i równiny i mnóstwo ludzi oraz wielki kraj, z którego przybył.

– Naprawdę musi być szalony – uznała.

– A jednak wraz z Davidem, naszym imperatorem, dali nam wiele nieznanych w Pellucidarze rzeczy i teraz w jednej bitwie możemy zabić więcej przeciwników niż przedtem w całej wojnie. Perry nazywa to cywilizacją i to naprawdę wspaniała rzecz.

– Może pochodzi z zamrożonego świata, z którego przybyli przodkowie Korsarian – zamyśliła się dziewczyna. – Oni twierdzą, że ta kraina leży na zewnątrz Pellucidaru.

– Oto i nieprzyjaciel – oznajmił Tanar. – Czy mam strzelić do tego wielkiego gościa, stojącego na dziobie pierwszego kanoe?

Uniósł jeden z ciężkich pistoletów i wycelował, ale dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu.

– Poczekaj – poprosiła. – Mogą być przyjaźni. Nie strzelaj, póki nie musisz. Nie znoszę zabijania.

– No to wierzę, że nie jesteś Korsarianką – powiedział, opuszczając broń.

Z pierwszego kanoe rozległo się wołanie.

– Jesteśmy na was gotowi, Korsarianie! – zakrzyknął wysoki wojownik, stojący na dziobie. – Mało was. Nas dużo. Wasze wielkie kanoe to bezużyteczny wrak; w każdym z naszych jest dwudziestu wojowników. Jesteście bezsilni. My mocni. Nie zawsze tak jest, ale tym razem to nie my zostaniemy więźniami, tylko wy, jeśli spróbujecie przybić do brzegu. Lecz nie jesteśmy tacy jak wy, Korsarianie. Nie chcemy zabijać ani więzić. Odejdźcie, a nic wam nie zrobimy.

– Nie możemy odpłynąć – odrzekł Tanar. – Nasz okręt jest niesterowny. Jest nas tylko dwoje i prawie się nam skończyła żywność i woda. Pozwólcie nam wylądować i zostać póki się nie przygotujemy do powrotu do naszych krain.

Wojownik się odwrócił i porozmawiał z innymi w kanoe. Potem znowu spojrzał na Tanara.

– Nie – oznajmił. – Moi ludzie nie pozwolą Korsarianom wejść pośród nas. Nie ufają wam. Ja też nie. Jeśli nie odpłyniecie, weźmiemy was do niewoli i wasz los będzie w rękach Rady Wodzów.

– Ale my nie jesteśmy Korsarianami – wyjaśnił Tanar.

Wojownik się roześmiał.

– Mówisz kłamstwo. Myślisz, że nie znamy okrętów Korsarian?

– To jest okręt Korsarian – potwierdził Tanar. – Ale my nie jesteśmy Korsarianami. Byliśmy więźniami i kiedy opuścili okręt podczas wielkiego sztormu zostawili nas na pokładzie.

Wojownicy znowu się naradzili; ci z innych kanoe, które zrównały się z pierwszym też się włączyli do dyskusji.

– No to kim jesteście? – zapytał ich rzecznik.

– Jestem Tanar z Pellucidaru. Mój ojciec jest królem Sari.

– Wszyscy jesteście z Pellucidaru – odparł wojownik. – Nigdy nie słyszeliśmy o krainie zwanej Sari. A ona to twoja kobieta?

– Nie! – krzyknęła Stellara. – Nie jestem jego kobietą!

– Kim jesteś? Też Sarianką?

– Nie jestem Sarianką. Moi rodzice pochodzili z Amiocapu.

I znowu wojownicy się naradzili; niektórzy mieli taki pomysł, inni odmienny.

– Wiesz, jak się nazywa ta kraina? – zapytał Stellare przewodzący im wojownik.

– Nie – odrzekła.

– Właśnie mieliśmy cię o to zapytać – wtrącił Tanar.

– I kobieta jest z Amiocapu? – zapytał wojownik.

– Jedynie taka krew płynie w moich żyłach – odpowiedziała dumnie Stellara.

– No to dziwne, że nie rozpoznajesz własnej krainy i własnych ziomków! – wykrzyknął wojownik. – To jest wyspa Amiocap!

Stellara cicho krzyknęła z radosnego zdumienia.

– Amiocap! – szepnęła cicho, jakby sama do siebie.

Głos miała czuły, ale wojownicy w kanoe byli za daleko, żeby ją usłyszeć. Uznali, że milczy, zakłopotana tym, że odkryli jej kłamstwo.

– Odpłyńcie! – zawołali ponownie.

– Nie przepędzicie mnie z krainy moich rodziców! – zawołała Stellara.

– Okłamałaś nas – powiedział wysoki wojownik. – Nie jesteś z Amiocapu. Nie znasz nas, a my nie znamy ciebie.

– Słuchajcie! – wykrzyknął Tanar. – Byłem więźniem na pokładzie tego statku i ponieważ nie jestem Korsarianinem, dziewczyna opowiedziała mi swoją historię zanim zobaczyliśmy ten ląd. Nie mogła wiedzieć, że jesteście w pobliżu waszej wyspy. Nie wiem, czy w ogóle знаła jej położenie; jednak wierzę, że powiedziała mi prawdę. Nigdy nie powiedziała, że jest z Amiocapu, tylko, że jej rodzice stąd pochodzą. Nigdy przedtem nie widziała tej wyspy. Korsarianie porwali jej matkę zanim się urodziła.

I znowu wojownicy rozmawiali cicho przez chwilę, a potem ich rzecznik znowu przemówił do Stellary.

– Jak się nazywała twoja matka? Kto był twoim ojcem?

– Mama nazywała się Allara – odparła dziewczyna. – Ojca nigdy nie widziałam, ale mama mówiła, że był wodzem i łowcą tandorów, a nazywał się Fedol.

Na polecenie wysokiego wojownika, stojącego na dziobie pierwszego kanoe, jego towarzysze powoli podpłynęli do dryfującego wraku; kiedy zbliżyli się do śródkręcia, Tanar i Stellara zeszli na główny pokład, ledwo wystający teraz nad wodę (tak głęboko wrak zanurzony był wrak obciążony wodą w ładowni). Kanoe płynęło obok wraku, a większość wojowników odłożyła wiosła i stała, trzymając w pogotowiu dzidy z kościanymi grotami.

Teraz ci dwoje na pokładzie i wysoki wojownik w kanoe stali niemal twarzą w twarz. Wojownik był gołowąsem o delikatnych rysach i jasnych, szarych oczach, inteligentnych i odważnych. Wpatrywał się uważnie w Stellarę, jakby szukał w jej duszy dowodu naprawdę lub fałsz jej słów. Potem powiedział:

– Możesz być jej córką, podobieństwo jest wyraźne.

– Znałeś moją mamę?! – wykrzyknęła Stellara.

– Jestem Vulhan. Mówiła o mnie?

– Brat mamy! – zawołała wzruszona Stellara, ale wojownik z Amiocapu nie odwzajemnił jej uczuć. – A gdzie mój ojciec? Żyje jeszcze?

– Oto jest pytanie – rzekł z powagą Vulhan. – Kto jest twoim ojcem? Twoją matkę porwano. Jeśli twoim ojcem jest Korsarianin, to jesteś Korsarianką.

– On nie jest moim ojcem. Zabierzcie mnie do mojego ojca: chociaż nigdy mnie nie widział, to mnie rozpozna, a ja rozpoznam jego.

– To nie zaszkodzi – odezwał się stojący w pobliżu Vulhana wojownik. – Jeżeli okaże się Korsarianką, to będziemy wiedzieli, co z nią zrobić.

– Jeśli jest pomiotem Korsarianina, co ukradł Allarę, to Vulhan i Fedol będą wiedzieć, jak z nią postąpić – oznajmił

bezlitośnie Vulhan.

– Nie boję się – powiedziała Stellara.

– A ten tam – Vulhan skinął ku Tanarowi.

– Co z nim?

– Był jeńcem wojennym, którego wieźli na Korsar. Pozwól mu pójść z wami. Jego ziomkowie nie są ludźmi morza. Sam nie przeżyje na morzu.

– Jesteś pewna, że nie jest Korsarianinem? – zapytał Vulhan.

– Spójrz na niego! – zawołała dziewczyna. – Ludzie z Amiocapu powinni wiedzieć jak wyglądają Korsarianie. Czy on jest do nich podobny?

Vulhan musiał przyznać, że nie.

– No dobrze – powiedział. – Może iść z nami, ale podzieli twój los, jaki by nie był.

– Z ochotą – rzekł Tanar.

Zrobiono im miejsce w kanoe i zeszli z pokładu wraku. Mała łódź szybko płynęła ku brzegowi; ani jedno ani drugie nie żałowało, że zostawiają za sobą dryfujący kadłub, który tak długo był ich domem. Po raz ostatni go zobaczyli wpływając do zatoczki, z której nadpłynęły kanoe – dryfował powoli na równoległym do zielonego wybrzeża Amiocapu morskim prądzie.

W górze zatoczki kanoe wyciągnięto na brzeg i zawleczono pod osłonę bujnej roślinności. Odwrócono je do góry dnem i zostawiono tak do następnej okazji.

Wojownicy z Amiocapu poprowadzili dwoje jeńców w dżunglę, schodzącą niemal na skraj wody. Początkowo nie było śladu ścieżki i idący przodem wojownicy przebijali się przez bujną roślinność, na szczęście pozbawioną kolców i cierni, lecz potem natrafili na szlak, prowadzący do szerokiej bitej drogi, którą poszli w milczeniu.

Tanar miał podczas marszu okazję dokładniej się przyjrzeć Amiocapianom i stwierdził, że prawie wszyscy byli harmonijnie zbudowani, o mocnych sprężystych mięśniach, co wskazywało na krzepę i zwinność. Rysy mieli regularne, żadnego nie można by nazwać brzydkim. Sprawiali wrażenie raczej szczerych

i otwartych niż podstępnych oraz łagodnych niż groźnych; chociaż blizny na ciałach wielu z nich i mocno podniszczona poręczna broń (choć prymitywna) świadczyły, że są sprawnymi łowcami i zaprawionymi w bojach wojownikami. Ich dumna postawa i małomówność spodobały się Tanarowi, bo Sarianie nie przepadają za bezmyślną paplaniną.

Idąca u jego boku Stellara była niezwykle szczęśliwa; Sarianin nigdy przedtem nie widział, żeby była taka uradowana i zadowolona. Przyglądała się i jemu i Amiocapianom i na koniec szepnęła:

– Co myślisz o moich ziomkach? – zapytała z dumą. – Czyż nie są wspaniali?

– Są na medal – odparł. – I dla twojego dobra mam nadzieję, że uwierzą, iż pochodzisz z Amiocapu.

– Wszystko jest dokładnie tak, jak sobie tyle razy wyobrażałam – powiedziała z radosnym westchnieniem. – Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia znajdę się na Amiocapie, wyglądającym tak, jak opowiadała mama: wielkie drzewa, olbrzymie paprocie, wspaniałe kwitnące pnącza i krzewy. Jest tu mniej dzikich bestii niż w innych częściach Pellucidaru i ludzie rzadko toczą wojny, przeważnie żyją w spokoju i zadowoleniu, zakłócanych jedynie najazdami Korsarian lub rzadkimi atakami wielkich tandorów na pola i wioski. Wiesz coś o tandorach, Tanarze? Są w twojej krainie?

Tanar potaknął.

– Słyszałem o nich w Amozie, chociaż w Sari są rzadkie.

– Na Amiocapie są ich tysiące i moi ziomkowie są najlepszymi na Pellucidarze łowcami tandorów.

I znowu szli w milczeniu; Tanar się zastanawiał, jak potraktują ich Amiocapianie i czy, jeśli się okażą przyjaźni, będą mu mogli pomóc wrócić na daleki kontynent, gdzie leżało Sari. Ten mieszkaniak gór nawet nie śmiał marzyć o powrocie do rodzinnych stron, bo morze go przerażało; nie miał też pojęcia, jak mógłby wytyczyć kurs i żeglować, gdyby miał jakąś łódkę. Lecz Pellucidarczyki mają tak przemożny instynkt

powrotu do rodzinnych stron, że Tanar nie wątpił, iż póki będzie żyć będzie szukać drogi powrotnej do Sari.

Cieszył się, że się nie musi martwić o Stellare, bo jeśli to prawda, że znalazła się wśród ziomków, to pozostanie na Amiocapie i spadnie z niego odpowiedzialność za jej powrót na Korsar. Lecz jeżeli jej nie przyjmą – to inna sprawa. Wtedy Tanar będzie musiał szukać dróg ucieczki z wyspy zamieszkaney przez wrogów i będzie musiał zabrać dziewczynę ze sobą.

Nagły okrzyk Stellary wyrwał go z zamyślenia.

– Spójrz! – zawołała. – Wioska! Może nawet wioska mamy!

– Co powiedziałaś? – zapytał idący w pobliżu wojownik.

– Że może to wioska, w której mama mieszkała, zanim ją porwali Korsarianie.

– I mówiłaś, że twoją matką jest Allara? – dopytywał się wojownik.

– Tak.

– To faktycznie wioska, w której mieszkała Allara – powiedział wojownik. – Ale nie łudź się, dziewczyno, że cię uznają za swoją, bo jeżeli twój ojciec też nie był z Amiocapu to nie jesteś Amiocapianką. Ciężko będzie kogokolwiek przekonać, że nie jesteś córką Korsarianina, czyli Korsarianką a nie Amiocapianką.

– Skąd będziecie wiedzieć, że moim ojcem był Korsarianin? – zapytała Stellara.

– Nie musimy wiedzieć – odrzekł wojownik. – Rzecz w tym, w co uwierzemy; ale tę sprawę rozstrzygnie Zural, starszy wioski Lar.

– Lar – powtórzyła Stellara. – To wioska mamy! Opowiadała o niej wiele razy! Czyli ta wioska musi być Lar.

– I jest – odparł wojownik. – Teraz zobaczysz Zurala.

Wioskę Lar tworzyło ze sto pokrytych strzechą chat; każda z nich była podzielona na dwie lub więcej izb. Jednym z tych pomieszczeń nieodmiennie był otwarty, pozbawiony ścian „salon”, pośrodku którego znajdowało się kamienne palenisko.

Pozostałe izby były szczelnie obudowane i pozbawione okien, zapewniając Amiocapianom mrok, kiedy chcieli spać.

Całą polanę otaczało najdziwniejsze ogrodzenie, jakie Tanar w życiu widział. Słupy nie były wbite w ziemię, a zawieszane na solidnej linie z roślinnych włókien, rozciągniętej od drzewa do drzewa; wisiały co najmniej cztery stopy nad ziemią. Co dwanaście lub osiemnaście cali wyborowano w nich otwory, w które włożono paliki z twardego drewna, długie na cztery lub pięć stóp, zastrzone na obu końcach. Te paliki sterczały ze słupów na wszystkie strony, równoległe do ziemi. Słupy wisiały w takiej odległości od siebie, że paliki sterczące z dwóch sąsiednich dzieliły dwie lub cztery stopy. Tanar uznał, że nie były skuteczną obroną przed atakującym wrogiem, bo ich grupa swobodnie przeszła przez luki pomiędzy słupami.

Lecz nowe wydarzenia sprawiły, że przestał się zastanawiać nad tym dziwnym ogrodzeniem. Ledwo weszli do wioski, a już otoczył ich tłumek mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Kto to? – zapytało jedno z nich.

– Mówią, że są przyjaciółmi – odparł Vulhan. – Ale sądzimy, że są z Korsarian.

– Korsarianie! – wykrzyknęli wioskowi.

– Nie jestem Korsarianką! – zawołała gniewnie Stellara. – Jestem córką Allary, siostry Vulhana.

– Niech to powie Zuralowi, to on ma wysłuchiwać, nie my! – krzyknął ktoś. – Zural będzie wiedzieć, co zrobić z Korsarianami. Czyż nie porwali mu córki i nie zabili syna?

– Tak, zaprowadźmy ich do Zurala! – zakrzyknął inny.

– Właśnie tam ich prowadzę – oznajmił Vulhan.

Wioskowi zrobili przejście wojownikom i ich jeńcom; kiedy ci ostatni nim szli, widzieli wiele wrogich spojrzeń i słyszeli wiele nienawistnych słów, ale nie zrobiono im nic złego. Poprowadzono ich do dużej chaty, stojącej w pobliżu centrum wioski.

W chacie starszego, jak w innych domostwach wioski Lar, podłogi znajdowały się stopy lub osiemnaście cali nad ziemią. Strzechę nad wielkim otwartym pomieszczeniem, do którego

ich wprowadzono, podtrzymywały wielkie kły olbrzymich tandorów. Podłogę, wyglądającą na zrobioną z nieszkliwionych płyt, niemal w całości zakrywały skóry zwierząt. Stało tu trochę niskich drewnianych stołków i jeden wyższy, który można by uznać za krzesło.

Na tym krześle siedział mężczyzna o surowej twarzy, przyglądający się im bacznie i w milczeniu, kiedy tak przed nim stali. Przez kilka chwil nikt się nie odzywał, a potem ów mężczyzna spojrzał na Vulhana.

– Kim oni są i co robią w wiosce Lar? – zapytał.

– Zabraliśmy ich ze statku Korsarian, bezsilnie niesionego przez oceaniczny prąd – odparł Vulhan. – Przywiedliśmy ich do Zurala, starszego wioski Lar, żeby wysłuchał ich opowieści i osądził, czy są przyjaciółmi, jak twierdzą, czy wrogimi Korsarianami, jak uważamy my. Ta tutaj – Vulhan wskazał Stellare – powiada, że jest córką Allary.

– Jestem córką Allary – powiedziała Stellara.

– A kto był twoim ojcem? – zapytał Zural.

– Mój ojciec nazywał się Fedol.

– Skąd wiesz?

– Mama mi powiedziała.

– Gdzie się urodziłaś?

– W Korsariańskim mieście Allaban.

– No to jesteś Korsarianką – stwierdził zdecydowanie Zural.

– A co mówi tamten? – zapytał Zural, skinąwszy głową ku Tanarowi.

– Twierdzi, że był jeńcem Korsarian i że pochodzi z dalekiego królestwa Sari.

– Nigdy nie słyszałem o takim królestwie – oznajmił Zural i zapytał: – Czy któryś z wojowników o nim słyszał? Jeśli tak, to niech przemówi.

Lecz Amiocapianie tylko potrząsnęli głowami, bo żaden nigdy nie słyszał o królestwie Sari.

– Nie ma wątpliwości – podjął Zural – że są nieprzyjaciółmi i kłamstwami próbują zyskać nasze zaufanie. Jeśli w którymś z nich płynie kropla amiocapiańskiej krwi, to bardzo tej kropli

współczujemy. Zabierz ich, Vulhanie. Trzymaj ich pod strażą, póki nie zdecydujemy jak ich uśmiercić.

– Mama mówiła mi, że Amiocapianie są sprawiedliwymi i życzliwymi ludźmi – odezwała się Stellara. – Lecz zabicie tego człowieka, który nie jest wrogiem, tylko dlatego, że nigdy nie słyszeliście o królestwie Sari, nie jest ani sprawiedliwe, ani życzliwe. Powiadam wam, że nie jest Korsarianinem. Byłam na jednym ze statków floty, kiedy na pokład przyprowadzono jeńców. Słyszałam, jak Cid i Bohar Krwawy przepytują tego człowieka i wiem, że nie jest Korsarianinem i że pochodzi z królestwa zwanego Sari. Oni nie wątpili w jego słowa, czemu wy mielibyście mu nie wierzyć? Skoro jesteście tak sprawiedliwi i życzliwi, to jak możecie mnie uśmiercić nie pozwoliwszy porozmawiać z Fedolem, moim ojcem? Uwierz mi; pozna, że jestem jego córką.

– Bogowie by się na nas rozgniewali, gdybyśmy dali wrogom schronienie w wiosce – odparł Zural. – Spadłoby na nas nieszczęście, jak wiedzą wszyscy Amiocapianie. Dzikie bestie zabiłyby naszych łowców, a tandory stratowałyby nasze pola i zniszczyły wioskę. A co najgorsze, pojawiliby się Korsarianie i odbiliby go. Co do Fedola, to nikt nie wie gdzie jest. Nie ma go w tej wiosce, zaś ludzie z jego wioski wiele razy jedli i spali od czasu kiedy go widzieli ostatni raz. Spali i jedli wiele razy od kiedy Fedol wyruszył na swoje ostatnie łowy na tandora. Może tandory pomściły śmierć tyłu swoich albo Fedol wpadł w szpony Zagrzebanych Ludzi. Tego nie wiemy, lecz wiemy, że Fedol poszedł polować na tandory i nigdy nie wrócił i nie wiemy, gdzie go szukać. Zabierz ich, Vulhanie, a my zwołamy radę starszych i zadecydujemy, co z nimi zrobić.

– Jesteś okrutnym i nikczemnym człowiekiem, Zuralu! – zawołała Stellara. – Nie lepszym od Korsarian.

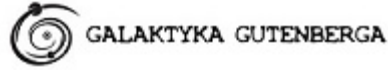
– To bezcelowe, Stellaro – powiedział Tanar, kładąc dłoń na rękę dziewczyny. – Chodźmy spokojnie z Vulhanem.

A potem dodał szeptem:

– Nie irytuj ich, bo o ile ich źle do siebie nie nastawimy to mamy jeszcze nadzieję w radzie starszych.

Stellara umilkła i razem z Tanarem, otoczeni przez dwunastu oddanych mu wojowników, wyszli z chaty Zurała, starszego wioski.

4. LETARI



Stellare i Tanara zaprowadzono do małej chaty na obrzeżu wioski. Miała tylko dwie izby – otwarte pomieszczenie z paleniskiem i małą, ciemną sypialenkę. Jeńców wepchnięto do tej ostatniej, zaś w otwartym pomieszczeniu miał trzymać straż jeden wojownik, żeby zapobiec ich ucieczce. W świecie, gdzie słońce zawsze stoi w zenicie, nie ma ciemności, a bez niej szanse na umknienie czujnemu wrogowi są bardzo nikłe. Mimo to Tanar Sarianin nieustannie myślał o ucieczce. Bacznie przyglądał się kolejnym strażnikom i próbował każdego wciągnąć w rozmowę, ale bez skutku – wojownicy nie chcieli z nim rozmawiać. Czasami strażnik drzemał, ale w wiosce i na polanie zawsze było pełno ludzi – tak, że wydawało się wątpliwe, żeby nadarzyła się możliwość uciezki.

Strażnicy się zmieniali; więźniom przynoszono jedzenie i spali, kiedy mieli na to ochotę. Tylko w ten sposób mogli ocenić upływ czasu – o ile przyszło im to do głowy, ale z pewnością nie przyszło. Rozmawiali i niekiedy Stellara śpiewała – śpiewała pieśni z Amiocapu, których nauczyła ją matka; byli szczęśliwi i zadowoleni, chociaż każde wiedziało, że nieustannie zagraża im śmierć. Mogła spaść na nich w każdej chwili, ale na razie byli szczęśliwi.

– Kiedy byłem mały – powiedział Tanar – wzięli mnie w niewolę czarni ludzie z ogonami. Budują swoje wioski wysoko w koronach potężnych drzew i na początku wepchnęli mnie do chatynki tak ciemnej jak ta izba i o wiele brudniejszej. Byłem bardzo nieszczęśliwy i przygnębiony, bo przedtem zawsze byłem wolny i kocham moją swobodę; teraz znowu jestem uwięziony w mroku i na dodatek wiem, że umrę, a nie

chcę umrzeć, a jednak nie jestem nieszczęśliwy. Wiesz, Stellaro, dlaczego tak jest?

– Zastanawiałam się nad tym samym – odparła dziewczyna. – Wydaje mi się, że jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa; ale nie wiem, czemu tak jest.

Siedzieli blisko siebie na macie, którą położyli w pobliżu wejścia, żeby mieć tyle światła i powietrza, ile się dało. Łagodne oczy Stellary patrzyły w zamyśleniu na niewielki świat obramowany wejściem do ich celi. Jedną dłoń położyła na macie pomiędzy nimi. Tanar wpatrywał się w jej profil; jego dłoń powoli się zbliżyła i przykryła dłoń dziewczyny.

– Może nie byłbym taki szczęśliwy, gdyby ciebie tu nie było. Odwróciła ku niemu lekko wystraszone oczy i cofnęła rękę.

– Nie rób tak – powiedziała.

– Czemu?

– Nie wiem, ale to budzi we mnie lęk.

Tanar już miał się odezwać, kiedy jakaś postać zasłoniła wejście. Jakaś dziewczyna przyniosła jedzenie. Do tej pory robił to mężczyzna – milkliwy człowiek, który nie odpowiadał na żadne z pytań Sarianina. Lecz ta piękna, uśmiechnięta dziewczyna z pewnością nie była małomówna.

– Oto strawa – powiedziała. – Jesteście głodni?

– Kiedy nie ma nic innego do roboty jak jeść to zawsze jestem głodny – odparł Tanar. – Gdzie mężczyzna, co przedtem przynosił jedzenie?

– To był mój ojciec – wyjaśniła dziewczyna. – Poszedł na łowy i ja przyniosłam wam jedzenie zamiast niego.

– Mam nadzieję, że nigdy nie wróci z polowania – palnął Tanar.

– Czemu? – zdziwiła się. – Jest dobrym ojcem. Dlaczego źle mu życzysz?

– Nie życzę mu źle – zapewnił Tanar ze śmiechem. – Tylko bym chciał, żeby jego córka dalej przynosiła nam jedzenie. Jest o wiele miłsza i ładniejsza.

Dziewczyna się zarumieniła, ale było widać, że jest zadowolona.

– Chciałam przyjść wcześniej, ale ojciec mi nie pozwolił. Widziałam cię, jak cię przyprowadzili do wioski i chciałam znowu zobaczyć. Nigdy przedtem nie widziałam kogoś wyglądającego jak ty. Różnisz się od Amiocapian. Czy wszyscy mężczyźni w Sari są tacy przystojni jak ty?

Tanar się roześmiał.

– Nigdy się nie przejmowałam takimi sprawami – odparł. – W Sari oceniamy mężczyzn wedle tego, co robią, a nie jak wyglądają.

– Ale musisz być wielkim myśliwym – stwierdziła dziewczyna. – Wyglądasz jak wspaniały myśliwy.

– Jak wyglądają wspaniali myśliwi? – spytała nieco szorstko Stellara.

– Tak jak on – odpowiedziała dziewczyna. – Wiesz, że wiele razy mi się śniłeś?

– Jak się nazywasz? – zapytał Tanar.

– Letari.

– Letari – powtórzył Sarianin. – Ładne imię. Mam nadzieję, Letari, że często będziesz nam przynosić jedzenie.

– Już nigdy tego nie zrobię – powiedziała ze smutkiem.

– A dlaczego? – zdziwił się Tanar.

– Bo już nikt wam nie przyniesie stawy.

– Czemu? Chcą nas zgłodzić na śmierć?

– Nie. Rada starszych uznała, że jesteście Korsarianami i należy was zabić.

– I kiedy to się stanie? – zapytała Stellara.

– Jak tylko łowcy powrócą z żywnością. Będziemy mieć wielką ucztę i tańce, ale mnie to nie ucieszy. Będę bardzo nieszczęśliwa, bo nie chcę patrzeć jak Tanar umiera.

– Jak to zrobią? – zapytał Sarianin.

– Spójrzcie – dziewczyna wskazała przez otwarte wejście.

Jeńcy zobaczyli, jak w oddali mężczyźni wbijali w ziemię dwa pale.

– Wielu chciało was oddać Zagrzebanym Ludziom – powiedziała Letari – ale Zural oznajmił, że to by za długo trwało, a my mamy mieć ucztę i tańce i jego zdaniem

powinniśmy celebrować zabijanie dwójki Korsarian, a nie zostawiać całej przyjemności Zagrzebanym Ludziom; więc przywiążą was do tych pali, obłożą suchym drewnem i chrustem i spalą na śmierć.

Stellara zadrżała.

– A mama mówiła, że jesteście życzliwym ludem.

– O, nie chcemy być niemili – powiedziała Letari. – Ale Korsarianie byli dla nas bardzo okrutni i Zural wierzy, że bogowie przekażą im, że was spalono i może to ich wystraszy i będą się trzymać z dala od Amiocapu.

Tanar się podniósł i stał bez ruchu. Poraziła go groza tego, co ich czekało. Popatrzył na złotą głowę Stellary i zadrżał.

– Chyba nie masz na myśli, że Amiocapianie spalą tę dziewczynę żywcem?

– Ależ tak – potwierdziła Letari. – Nie można jej wcześniej zabić, bo wtedy jej dusza nie mogłaby powiedzieć bogom, że ją spalono, a oni by nie mogli tego przekazać Korsarianom.

– To obrzydliwe! – zawołał Tanar. – A ty, też dziewczyna, nie masz w sobie współczucia, nie masz serca?!

– Bardzo żałuję, że spalą ciebie – oznajmiła Letari. – Ale ona jest Korsarianką i czuję do niej tylko nienawiść i odrazę. Ty jesteś inny. Wiem, że nie jesteś Korsarianinem i szkoda, że nie mogę cię uratować.

– A zrobiłabyś to, gdybyś mogła? – zapytał Tanar.

– Tak, ale nie mogę.

Rozmowę o ucieczce prowadzili szeptem, żeby strażnik nie podsłuchał, ale najwyraźniej i tak stał się podejrzliwy, bo wstał i podszedł do wejścia chaty.

– O czym rozmawiacie? – spytał. – Czemu tak długo tu tkwisz, Letari, gadając z tymi Korsarianami? Słyszałem, co mówiłaś i uważam, że się w nim zakochałaś.

– A jeśli nawet? – zaperzyła się dziewczyna. – Czyż nasi bogowie nie nakazują, żebyśmy kochali? Po cóż żyjemy na Amiocapie jak nie dla miłości?

– Bogowie nie mówią, że powinniśmy kochać wrogów.

– I nie mówią, że nie powinniśmy – odcięła się Letari. – To wyłącznie moja sprawa, czy postanowię kochać Tanara.

– Zmykaj! – burknął wojownik. – W Lar masz mnóstwo mężczyzn do kochania.

– Ach! – westchnęła odchodząc. – Ale żaden nie jest taki jak Tanar!

– Wredna mała dziwka! – wykrzyknęła Stellara, kiedy Letari odeszła.

– Nie wahała się powiedzieć, co czuje – rzekł Tanar. – Dziewczyny z Sari nie są takie. Prędzej by umarły, niż wyznały miłość zanim mężczyzna to zrobi. No ale może jest tylko dzieckiem i nie zdawała sobie sprawy, co mówi.

– Też mi dziecko – prychnęła Stellara. – Świetnie wiedziała, co mówi i widać, że to ci się spodobało. No dobrze, idź z nią jak przyjdzie cię uratować.

– Chyba nie sądzisz, że mam zamiar sam z nią iść, gdyby dała mi możliwość ucieczki? – zapytał Tanar.

– Zapowiedziała, że nie pomogłaby mi uciec – przypomniała mu Stellara.

– Ale skorzystałbym z jej pomocy tylko wtedy, gdybyś i ty mogła uciec.

– Wolałabym tuzin razy spłonąć żywcem niż skorzystać z jej pomocy.

W głosie dziewczyny było tyle jadu, co nigdy przedtem i Tanar spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Nie rozumiem cię, Stellaro.

– Sama siebie nie rozumiem – powiedziała; ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Tanar pospiesznie ukląkł przy niej i objął ją ramieniem.

– Nie płacz – błagał. – Proszę, nie płacz.

Odepchnęła go.

– Idź sobie! – krzyknęła. – Nie dotykaj mnie! Nienawidzę cię!

Tanar już miał coś powiedzieć, ale na drugim końcu wioski zrobił się rwetes. Słysząc było krzyki i wrzaski ludzi oraz gromki hałas, od którego drżała ziemia; potem rozległo się bicie w bębny.

Mężczyźni, wbijający w grunt pale, przy których mieli spłonąć Tanar i Stellara, natychmiast przerwali robotę, chwycili broń i pobiegli tam, skąd dobiegał hałas.

Jeńcy zobaczyli, że z chat wybiegają mężczyźni, kobiety i dzieci i wszyscy też się tam kierują. Ich strażnik poderwał się na równe nogi i stał przez chwilę, patrząc na biegnących ludzi. Potem bez słowa, nawet nie spojrzawszy w stronę jeńców, skoczył za tamtymi.

Tanar zorientował się, że na razie nikt ich nie pilnuje i wyszedł z ciemnej celi do otwartej izby; popatrzył tam, gdzie wszyscy biegli. Zobaczył powód zamieszania i zrozumiał, czemu wzniesiono wiszące ogrodzenie.

Tuż za ogrodzeniem sterczały dwa gigantyczne mamuty – potężne tandory, wysokie na szesnaście lub więcej stóp: złośliwe ślepia płonęły nienawiścią i wściekłością, wielkie ciosy lśniły w blasku słońca; długie, silne trąby usiłowały zniszczyć ogrodzenie z zaostrzonych palików, raniących je. Przed mamutami stała gromada wrzeszczących wojowników, wydzierających się kobiet i dzieci; ponad cały ten jazgot wznosiło się grzmienie bębnow.

Ilekcroć mamuty próbowały się przebić przez ogrodzenie albo odsunąć na bok słupy, te się kołysały i zaostrome paliki zagrażały oczom albo kłuły delikatne trąby; dzielnie stawiający im czoło krzyczący wojownicy ciskali dzidy o kamiennych grotach.

Chociaż był to widok godny uwagi, Tanar nie mógł sobie pozwolić na przypatrywanie się tej scenie. Odwrócił się ku Stellarze i chwycił ją za rękę.

– Chodź! – zawołał. – Teraz mamy okazję!

Miejscowi byli zajęci mamutami na drugim końcu wioski, a Tanar i Stellara szybko przebiegli przez polanę i zniknęli w gęstym lesie.

Nie było ścieżki i z trudem przedzierali się przez gęste podszycie. Wreszcie Tanar się zatrzymał.

– W ten sposób nigdy im nie uciekniemy – powiedział. – Zostawiamy tak wyraźny ślad jak dyryth po deszczu.

– A jak inaczej możemy uciec? – zapytała Stellara.

Tanar patrzył w górę, bacznie przyglądając się drzewom.

– Kiedy byłem więźniem czarnych ludzi z długimi ogonami, musiałem się nauczyć podróżować w koronach drzew i to mi się potem wiele razy bardzo przydało. Myślę, że i teraz nas ocali.

– No to idź – powiedziała Stellara. – Ratuj się, bo ja na pewno nie umiem tak podróżować, a nie ma powodu, żeby nas obydwójce złapano, skoro jedno z nas może uciec.

Tanar się uśmiechnął.

– Wiesz, że tego nie zrobię.

– A cóż innego możesz zrobić? – zapytała Stellara. – Pójdą śladem, jaki zostawiliśmy i złapią nas, zanim oddalimy się poza zasięg głosu.

– Nie zostawimy śladu – powiedział Tanar. – Chodź.

Podskoczył, chwycił się niższej gałęzi i podciągnął na rozpościerające się nad nimi drzewo.

– Daj rękę – polecił Stellarze i po chwili wciągnął ją na górę.

Potem stanął i pomógł dziewczynie złapać równowagę, kiedy i ona podniosła się na nogi. Przed nimi rozciągała się plątanina nienakładających się w listowiu gałęzi.

– Tu nie zostawimy żadnego śladu – wyjaśnił Tanar.

– Boję się – powiedziała Stellara. – Mocno mnie trzymaj.

– Wkrótce się do tego przyzwyczaisz – pocieszył ją Tanar, – i przestaniesz się bać. Na początku ja też się bałem, ale potem mogłem iść przez drzewa niemal tak samo szybko, jak czarni ludzie.

– Nie mogę zrobić nawet jednego kroku – Stellara na to. – Wiem, że spadnę.

– Nie musisz iść – powiedział Tanar. – Obejmij mnie za szyję i mocno się trzymaj.

Potem pochylił się i podniósł ją lewą ręką; mocno do niego przylgnęła, obejmując miękkimi białymi ramionami jego szyję.

– Jak łatwo mnie podniosłeś! Jesteś taki silny. Ale nikt nie mógłby mnie nieść wśród tych drzew i nie spaść.

Tanar nie odpowiedział, tylko ruszył po gałęziach, wyszukując pewne podparcie dla stóp i uchwyt dla dłoni.

Mocno przyciskała do niego swoje miękkie ciało; czuł delikatny zapach, ten sam, który wyczuł na Korsariańskim okręcie, teraz nieodłączny od niej.

Tanar wędrował drzewami, a Stellara podziwiała jego siłę. Zawsze miała go za słabeusza w porównaniu z muskularnymi Korsarianami, lecz teraz zrozumiała, że w tych długich mięśniach kryła się wielka moc.

Przyglądała mu się, zafascynowana. Poruszał się z taką łatwością i wydawał się wcale nie męczyć. Raz musnęła wargami jego gęste, czarne włosy i odrobinę mocniej objęła za szyję. Była bardzo szczęśliwa. A potem przypomniała sobie nagle Letari, wyprostowała się i puściła go.

– Wredna dziwka – powiedziała.

– Kto? – zdziwił się Tanar. – O kim ty mówisz?

– Ta cała Letari.

– Wcale nie jest wredna. Uważam, że była bardzo miła i na pewno jest piękna.

– Chyba się w niej zakochałeś – parsknęła Stellara.

– Nie byłoby to trudne. Była urocza.

– Kochasz ją? – dopytywała się Stellara.

– A czemu miałbym nie kochać?

– Kochasz?

– Przejęłabyś się, gdybym kochał? – zapytał cicho Tanar.

– Z całą pewnością nie – odparła Stellara.

– To po co pytasz?

– Nie pytam. Nic mnie to nie obchodzi.

– Och, to źle zrozumiałem.

Potem szedł w milczeniu, bo Sarianie nie są gadatliwi, zaś Stellara nie wiedziała, co on sobie myśli, bo jego mina nie zdradzała, że się w duchu śmieje; poza tym i tak nie widziała jego twarzy.

Tanar szedł stale w tym samym kierunku; jego zmysł orientacji podpowiadał mu, że w tamtej stronie leży Sari. Póki był na lądzie, mógł się bezbłędnie kierować ku miejscu, gdzie się urodził. Każdy Pellucidarczyk to potrafi. Ale jak się znajdują na wodzie i nie widzą lądu, to ten instynkt milknie i nie lepiej

potrafią określić kierunek niż ty czy ja, gdyby nas nagle przeniesiono na ląd, gdzie kompas na nic się nie przydaje, bo słońce stale stoi w zenicie, gdzie nie ma księżycy i gwiazd. Na razie Tanar chciał tylko jak najdalej odejść od wioski Lar. Będzie szedł, póki nie dotrą do wybrzeża – Amiocap był wyspą, toteż wiedział, że w końcu muszą dojść do oceanu. Nie bardzo wiedział, co potem zrobią. Roił o zbudowaniu łodzi i wypłynięciu na morze, chociaż dobrze wiedział, że dla takiego człowieka gór jak on byłoby to szaleństwo.

Zrobił się głodny i wiedział, że musieli przebyć spory dystans.

Czasami oceniał odległość licząc kroki; robił to tak często, że się stało odruchem i mógł jednocześnie rozmyślać o innych sprawach. Ale tu, na gałęziach drzew, kiedy kroki nie były jednakowe, uznał, że nie warto ich liczyć i tylko nawrót głodu świadczył, że musieli odejść spory kawałek od wioski.

Podczas tej podróży lasem widzieli ptaki i mały i inne zwierzęta; parę razy przemieszczali się równolegle do szlaków zwierząt, lecz Amiocapianie zabrali Tanarowi broń i nie mogli zdobyć mięsa póki nie zatrzymają się na tak długo, żeby zrobić łuk, trochę strzał i jakąś dzidę.

Jak tęsknił za swoją dzidą! Od dzieciństwa miał ją stale ze sobą i długo czuł się bez niej bezradny. Nigdy się na dobre nie przyzwyczaił do noszenia broni palnej, czując w głębi swego pierwotnego i dzikiego serca, że nie ma nic bardziej niezawodnego jak porządna włócznia z kamiennym grotem.

Nawet lubił łuk i strzały, które Innes i Perry nauczyli go robić i posługiwać się nimi, bo strzały przypominały małe dzidy. Przynajmniej się je widziało; za to nikt nie widział pocisku tego dziwnego i hałaśliwego oręża, plującego dymem i ogniem. To było nienaturalne i niesamowite.

Lecz Tanar się teraz nad tym nie zastanawiał. Najważniejsza była żywność.

Dotarli do małej, naturalnej polany nad krystalicznie czystym strumieniem i Tanar szybko opuścił się na ziemię.

– Zostaniemy tutaj póki nie zrobię i broni i nie zdobędę dla nas mięsa.

Stellara, znowu czując pod stopami ziemię, poczuła się bardziej niezależna.

– Nie jestem głodna.

– Ale ja jestem.

– Jest tu mnóstwo jagód, owoców i orzechów. Nie powinniśmy tu zostawać i czekać, aż nas pochwyca wojownicy z Lar.

– Poczekamy tutaj aż zrobię broń – rzekł stanowczo Tanar. – Potem nie tylko będę mógł upolować mięso, ale i lepiej cię obronię przed wojownikami Zurala.

– Chcę iść dalej – upierała się Stellara. – Nie chcę tu zostać – tupnęła małą stopą.

Tanar popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Co z tobą, Stellaro? Nigdy taka nie byłaś.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Wiem tylko, że chcę wrócić do Korsaru, do domu Cida. Tam przynajmniej będę wśród przyjaciół. Tu jestem otoczona wrogami.

– To się dostaniesz Boharowi Krwawemu, o ile przeżył sztorm albo komuś podobnemu – napomniał ją Tanar.

– Przynajmniej mnie kochał.

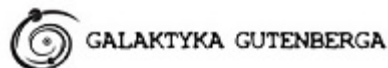
– A ty go kochałaś?

– Być może.

Tanar przypatrywał się dziewczynie z osobliwą miną. Nie rozumiał jej, ale najwyraźniej starał się zrozumieć. Patrzyła poza niego z dziwnym wyrazem twarzy, a potem nagle krzyknęła z przerażeniem i wskazała coś za jego plecami.

– Popatrz! O Boże! Popatrz!

5. ŁOWCA TANDORÓW



Była taka przerażona, że Tanarowi zjeżyły się włosy na głowie; gwałtownie się odwrócił, żeby zobaczyć, co tak wystraszyło dziewczynę. Ale chociaż zdążył sobie wyobrazić coś zasługującego na taki lęk, to i tak nie przyszedł mu na myśl tak przerażający i odrażający stwór jak ten, co się do nich zbliżał. Sylwetką przypominał człowieka, ale na tym podobieństwo się kończyło. Miał ręce i nogi, szedł wyprostowany, na dwóch stopach – ale jakich stopach! Były wielkie, płaskie, z palcami bez paznokci; z krótkimi, grubymi palcami, połączonymi błoną. Ręce miał krótkie; zamiast palców – trzy potężne szpony. Miał jakieś pięć stóp wzrostu i ani jednego włoska na nagim ciele o skórze bladej jak u trupa.

Lecz nie to budziło taką odrazę – to głowa i twarz przerażały i odrzucały. Nie miał małżowin, tylko dwa małe zamiast uszu. Usta były duże, z obwisłymi wargami, teraz ściągniętymi w grymasie i odsłaniającymi dwa rzędy mocnych zębisk. Dwa niewielkie otwory ponad środkiem górnej wargi znaczyły miejsce, gdzie powinien być nos. Dodatkowo szpecił stwora brak oczu – tam, gdzie powinny być, skórę wypychały dwa okrągłe zgrubienia; poruszały się tak, jakby pod nią poruszały się wielkie, okrągłe oczy. Ta koszmarna, pusta twarz bez powiek, rzęs i brwi wstrząsnęła nawet spokojnym i opanowanym Tanarem.

Stwór nie miał żadnej broni – ale po co mu ona, skoro był zbrojny w straszliwe szpony i kły? Bładą skórę wypychały potężne mięśnie, świadczące o jego wielkiej krzepie. A pełne zębisk usta dowodnie świadczyły o dzikości i okrucieństwie.

– Uciekaj, Tanarze! – zawołała Stellara. – Na drzewa! To jeden z Zagrzebanych Ludzi!

Ale stworzenie było za blisko Sarianina, by uciekać (nawet gdyby chciał zostawić Stellarę), toteż spokojnie czekał na spotkanie. A potem – jakby dorzucając dodatkowe okropieństwo do całej sytuacji – stwór nagle przemówił. Z obwisłych, zaślinionych warg wydobyły się dźwięki – dziwaczne mamrotanie, przypominające przemowę, które w końcu stało się zrozumiałe dla Stellary i Tanara.

– Chce te kobiety – mamrotał stwór. – Dać mi ją i mezczyzna może isc.

Zszokowany Tanar miał wrażenie, że z grobu powstał okaleczony trup i przemówił. Sarianin cofnął się o krok, przerażony jak nigdy dotąd.

– Nie dostaniesz kobiety – oznajmił Tanar. – Zostaw nas w spokoju albo cię zabiję.

Z ust stwora wydobył się dziwaczny okrzyk – mieszanina śmiechu i pisku.

– To mrzyj! – wrzasnął stwór i rzucił się na Sarianina.

Zbliżając się szarpnął ku górze szponami, próbując wypatroszyć Tanara, ale ten zwinnie odskoczył w bok, a potem rzucił się na obrzydliwego przeciwnika. Krzepkim ramieniem otoczył szyję stwora, gwałtownie się odwrócił i pochylił; stwór przeleciał mu nad głową i łupnął o ziemię. Ale natychmiast się podniósł i zaatakował. Wrzeszcząc z wściekłości i tocząc pianę z ust, uderzył potężnymi szponami, lecz Tanar nauczył się od Davida Innesa rzeczy, o których ludzie z epoki kamiennej zwykle nie mają pojęcia – bo David nauczył go, podobnie jak innych młodych Pellucidarczyków, sztuki samoobrony (w tym boksu, wrestlingu i jujitsu) i teraz znowu się to przydało; a Tanar ponownie był wdzięczny, że szczęśliwy los sprowadził Davida Innesa z zewnętrznej powłoki do Pellucidaru, żeby kierował przyszłością jego rasy jako pierwszy imperator.

Oprócz wiedzy, wyszkolenia i zręczności Tanar miał też wielką siłę, dodającą wartości tamtym cechom – toteż kiedy stwór zaatakował, Sarianin parował ciosy, unikał ostrych

szponów; jego siła zaskoczyła przeciwnika, bo dorównywała jego własnej.

Lecz potwora jeszcze bardziej zaskoczyło to, że Tanar był w stanie szybko atakować i wymierzać potężne ciosy w głowę i tułów; a stwór, niezgrabny i niewyszkolony, nie potrafił się osłaniać.

Stellara stała z boku, obserwując toczącą się o nią walkę. Mogłaby uciec i się schować; mogłaby przebiec spory dystans. Lecz nawet o tym nie pomyślała. Nie mogła opuścić swojego wybawcy w godzinie próby, podobnie jak on nie mógł jej zostawić na pastwę losu. Stała więc bezradnie, czekając na wynik walki.

Walczący przesuwali się po polanie, depcząc bujną roślinność, niekiedy tak gęstą, że utrudniała im ruchy. Wreszcie tak Stellara jak i Tanar, słysząc ciężki oddech stwora, uświadomili sobie, że stopniowo traci on siły i że brak mu wytrzymałości Sarianina. Lecz pewnie i on to wyczuł, bo podwoił wysiłki i zacieklej atakował; w tym samym czasie Tanar znalazł jego słaby punkt i tam skierował ciosy.

Uderzając w twarz przypadkowo dotknął jednej z tych wypukłości, tkwiących pod skórą w miejscu oczu. Po ciosie – choć słabym – stwór wrzasnął i odskoczył w tył, instynktownie unosząc szpony do uszkodzonego miejsca i potem Tanar wszystkie swoje ciosy, o wiele mocniejsze, kierował na te dwie wypukłości.

Znowu uderzył i celnie trafił w jedną z nich. Stwór, wrzeszcząc z bólu, cofnął się i przycisnął obie łapy do obolałego miejsca.

Walczyli bardzo blisko Stellary. Stwór stał plecami do niej, tak blisko, że mogłaby go dotknąć. Zobaczyła, że Tanar rzuca się ku niemu, żeby znowu uderzyć. Monstrum się cofnęło, niemal na nią wpadając, a potem nagle pochyliło głowę, straszliwie wrzasnęło i zebrawszy resztki energii zaatakowało Sarianina.

Wydawało się, że w ten ostatni, wściekły atak włożyło wszystkie siły i energię, jakie mu jeszcze pozostały. Mięśnie i umysł Tanara były idealnie zgrane; raz dwa dostrzegął

możliwości i wykorzystywał je – teraz równie szybko pojął korzyści z odwrotu i cofnął się, żeby uniknąć szaleńczego ataku i młócących szponów; ale zawadził piętą o niski krzak i ciężko upadł na plecy.

Przez chwilę był bezbronny i wtedy stwór mógłby go dopaść, szarpać kłami i szponami.

Tanar o tym wiedział. Atakujący stwór i stojąca w pobliżu Stellara też o tym wiedzieli. Dziewczyna zadziałała z taką szybkością, że Sarianin ledwo co zdążył paść na ziemię, a ona już rzuciła się od tyłu na atakujące monstrum.

Jak piłkarz rzuca się, żeby podciąć przeciwnika, tak Stellara rzuciła się na stwora. Objęła go pod kolana, potem przesunęła chwyt niżej, kiedy kopał i szarpał się, chcąc się uwolnić; na koniec mocno chwyciła go za chudą kostkę, tuż nad wielką stopą. Wczepiła się mocno, a monstrum rzuciło się naprzód, o mało nie dopadając Tanara. Lecz natychmiast, wyjąc z wściekłości, odwróciło się, żeby rozszarpać dziewczynę. Ta krótka chwila pozwoliła Tanarowi poderwać się i zanim kły i pazury mogły się wbić w delikatne ciało Stellary, już był na plecach stwora. Mocne jak stal dłonie zacisnęły się na szyi monstrum i chociaż się szarpało i młóciło łapami, nareszcie było bezbronne.

Tanar dusił je, powoli i bezlitośnie; potem ze wstrętem odrzucił na bok zwłoki i szybko podszedł do chwiejnie wstającej Stellary. Otoczył ją ramieniem i na moment przytuliła się do niego i zaszlochała.

– Nie bój się – powiedział. – Stwór nie żyje.

Uniosła ku niemu twarz.

– Chodźmy stąd. Boję się. W pobliżu może być więcej Zagrzebanych Ludzi. Gdzieś tu musi być wejście do ich podziemnego świata, bo nie zapuszczają się daleko od takich otworów.

– Dobrze – zgodził się. – Póki nie mam broni wolę nie spotkać już żadnego z nich.

– Są okropnymi stworami. Gdyby było ich dwóch, to byłoby po nas.

– Kim oni są? – zapytał Tanar. – Coś o nich wiesz. Widziałaś już gdzieś któregoś z nich?

– Dopiero teraz zobaczyłam, ale mama mi o nich opowiadała. Wszyscy Amiocapianie się ich boją i nienawidzą ich. To Coripisi, zamieszkujące ciemne pieczary i tunele pod powierzchnią ziemi. Dlatego nazywamy ich Zagrzebanymi Ludźmi. Żywią się padliną; chodzą po dżungli, zbierając resztki po naszych łowach, albo pożerają ciała dzikich zwierząt, co umarły w lesie. Ale boją się naszych dzid i dlatego nie zapędzają się zbyt daleko od wejść do swojego mrocznego świata. Z rzadka napadają na samotnego myśliwego, a od czasu do czasu przychodzą do któregoś z naszych wiosek i porywają kobietę albo dziecko. Jeszcze nikt nie wszedł do ich świata i nie wrócił stamtąd, żeby o nim opowiedzieć. Mama tylko mi powtórzyła to, co nasi ludzie sobie wyobrażają o podziemnym świecie Zagrzebanych Ludzi, bo jeszcze żaden Amiocapianin nie był na tyle odważny, żeby wejść w mroki jednego z ich tuneli; a jeśli się trafił taki wojownik, to nigdy nie wrócił, żeby o tym opowiedzieć.

– A gdyby przyjacielscy Amiocapianie nie postanowili nas żywcem spalić, to mieli nas oddać Zagrzebanym Ludziom? – zapytał Tanar.

– Tak. Przywiązaliby nas do drzew w pobliżu któregoś z wejść do podziemi. Lecz nie miej tego za złe ziomkom mojej matki, bo uczyniliby tylko to, co by uznali za właściwe i sprawiedliwe.

– Może są życzliwymi ludźmi – uśmiechnął się Tanar – bo z pewnością o wiele łagodniejsze było skazanie nas na śmierć przez spalenie niż pozostawienie łaskawym staraniom Coripisów. Ale lepiej wejdźmy znowu na drzewa, bo to miejsce nie wydaje mi się teraz tak piękne jak wtedy, kiedy je po raz pierwszy zobaczyłem.

I znowu szli po gałęziach; właśnie zrobili się senni, kiedy Tanar zobaczył na zwierzęcym szlaku w dole małą sarenkę. Zabił ją. Nasycili głód, a potem Sarianin zrobił z gałązek i dużych liści platformę na drzewie – wąskie legowisko, na którym Stellara ułożyła się do snu. Tanar trzymał straż. Potem on się przespał i ruszyli w dalszą podróż.

Wzmocnieni snem i posiłkiem, podjęli podróż w lepszym nastroju i z większą nadzieją. Wioska Lar została daleko za nimi; od kiedy ją opuścili nie widzieli żadnej innej wioski, a nawet śladu człowieka.

Kiedy Stellara spała, Tanar zrobił jaką taką broń; posłuży mu, póki nie będzie miał z czego zrobić lepszej. Smukła gałąź liściastego drzewa, zaostrzona kamieniem, musiała mu służyć za dzidę. Łuk zrobił z innej gałęzi, a cięciwę ze ścięgien sarenki, którą zabił; strzały – z gałązek krzaka, których pełno było w całym lesie. Zrobił lżejszą dzidę dla Stellary. Tak uzbrojeni poczuli się bezpieczniej.

Szli i szli. Trzykrotnie jedli i znowu spali, a wciąż nie dotarli na wybrzeże.

Wielkie słońce wisiało w górze; w lesie wiał łagodny, orzeźwiający wiaterek. Pięknie upierzone ptaki i małpki, nieznane w zewnętrznym świecie, latały lub skakały, śpiewały lub paplały, kiedy mężczyzna i kobieta je płoszyli, przechodząc. To był spokojny świat – i Tanarowi, przyzwyczajonemu do dzikich, drapieżnych bestii, biegających po jego rodzinnej ziemi, wydawał się bardzo bezpieczny i nudnawy; chociaż był zadowolony, że nic im nie przeszkadzało w drodze ku wolności.

Stellara już nie wspominała o chęci powrotu do Korsaru; zaś Tanar zamierzał zabrać ją ze sobą do Sari.

Spokojną zadumę Tanara przerwało nagle przenikliwe trąbienie. Rozległo się tak blisko, jakby dobiegało bezpośrednio spod niego; rozsunał liście i zobaczył przyczynę zamieszania.

Dżungla kończyła się na skraju łąk, usianych małymi kępami drzew. Na pierwszym planie widać było dwie postacie – uciekającego wojownika i goniącego go wielkiego tandora, który, choć biegł na trzech nogach, miał lada moment dopaść człowieka.

Tanar rzucił okiem na tę scenę i uświadomił sobie, że to samotny myśliwy, któremu się nie udało podciąć mamutowi ścięgien podkolanowych w obu tylnych nogach.

Człowiek rzadko poluje samotnie na wielkiego tandora i porywają się na to tylko najdzielniejsi albo najbardziej

lekkomyślni. Zazwyczaj jest kilku łowców, w tym dwaj uzbrojeni w ciężkie kamienne siekiery. Jedni robią hałas, żeby przyciągnąć uwagę tandora i zagłuszyć zbliżanie się tych z toporami. Ci ostatni podkradają się od tyłu do wielkiego zwierza, póki każdy z nich nie zbliży się do jednej z tych nóg na odległość ciosu. Wtedy jednocześnie przecinają tandorowi ścięgna. Kiedy upadnie, bezbronny, zabijają go ciężkimi dzidami i strzałami.

Ten, kto spróbowałby samotnie podciąć tandorowi ścięgna w tylnych nogach, musiałby mieć nie tylko krzepę i odwagę, ale i umieć wymierzyć toporem dwa silne ciosy tak szybko jeden po drugim, żeby okaleczyć zwierzę zanim się zorientuje, że je zaatakowano.

Tanar nie miał wątpliwości, że ten łowca nie zadał dość szybko drugiego ciosu i teraz był na łasce wielkiej bestii.

Stellara wreszcie przemogła strach i teraz mogła iść sama, czasem tylko korzystając z pomocy Tanara. Szła za Sarianinem i teraz stanęła obok niego i patrzyła na rozgrywającą się w dole scenę.

– Zginie! – zawołała. – Nie możemy mu pomóc?

Nie przyszło to Tanarowi na myśl, bo to był Amiocapianin i wróg. Ale coś w głosie dziewczyny skłoniło Sarianina do działania. Może, będąc mężczyzną, chciał się instynktownie popisać przed kobietą męstwem i walecznością. Może w swoim sercu był dzielny i wspaniałomyślny. A może dlatego, że to właśnie Stellara przemówiła. Któż to wie? Może i sam Tanar nie wiedział, co go skłoniło do działania.

Wykrzykując słowo znane każdemu łowcy tandorów, a które można przetłumaczyć jako „Do tyłu!”, zeskoczył na ziemię niemal przy boku atakującego tandora, od razu biorąc zamach dzidą i wbijając ją w bok zwierza, tuż pod lewym barkiem. Potem uskoczył w las, zakładając, że tandor robi dokładnie to, co powinien.

Zwierz, z jękiem bólu, zwrócił się ku nowemu dręczycielowi.

Amiocapianin, wciąż trzymający topór, usłyszał – jakby zesłany przez bogów – znany sygnał, który tak niespodziewanie

wyrwał się z ust Tanara. Pojął, czego ten spróbuje i był gotowy do działania. Zawrócił ku tandorowi, kiedy ten wykonał zwrot, żeby zaatakować Tanara. Dogonił zwierza, kiedy ten wpadł w podszycie dżungli, ścigając Sarianina. Wielki topór śmignął jak błyskawica i olbrzymi zwierz, wściekle trąbiąc, upadł bezsilnie na ziemię i przetoczył się na bok.

– Padł! – zawołał Amiocapianin, zawiadamiając Tanara, że atak był skuteczny.

Sarianin wrócił i razem zabili wielkiego zwierza. Ponad nimi Stellara kryła się w listowiu, bo na Pellucidarze kobiety nie wystawiają się pochopnie na spojrzenia nieprzyjacielskich wojowników. Uznała, że bezpieczniej będzie poczekać i przekonać się, jak Amiocapianin zachowa się wobec Tanara. Może będzie pełen wdzięczności i przyjazny, a może nie.

Bestia nie żyła i obaj mężczyźni przyglądali się sobie.

– Kim jesteś? – zapytał Amiocapianin. – Kim jesteś ty, który tak odważnie ruszyłeś na ratunek obcemu? Nie rozpoznaję cię. Nie jesteś z Amiocapu.

– Nazywam się Tanar i jestem z królestwa Sari, leżącego na dalekim kontynencie. Porwali mnie Korsarianie, którzy najechali imperium, którego częścią jest Sari. Razem z innymi jeńcami wieźli mnie do Korsaru, kiedy we flotyłę uderzył straszliwy sztorm i okręt, na którym byłem, został tak uszkodzony, że załoga go opuściła. Dryfując bezwładnie z wiatrem i prądem dowiózł nas w końcu do Amiocapu, gdzie pojмали nas wojownicy z wioski Lar. Nie uwierzyli w naszą opowieść, uznali, że jesteśmy Korsarianami i właśnie mieli nas zabić, kiedy udało się nam uciec. Jeśli mi nie wierzysz, to jeden z nas musi umrzeć, bo w żadnym razie nie wrócimy do Lar, żeby spłonąć przy palu.

– Czy ci wierzę czy nie – odrzekł Amiocapianin, – zasługiwałbym na największą pogardę, gdybym pozwolił, żeby coś złego spotkało człowieka, który właśnie ocalił mi życie, ryzykując swoim.

– Niech będzie – powiedział Tanar. – Pójdziemy w dalszą drogę, wiedząc, że nie zdradzisz wojownikom z Lar, gdzie

jesteśmy.

– Mówisz „my” – zaciekawiał się Amiocapianin. – Nie jesteś sam?

– Nie, jest ze mną ktoś – odparł Tanar.

– Może mógłbym wam pomóc – powiedział Amiocapianin. – To mój obowiązek. W którą stronę idziecie i jak zamierzacie uciec z Amiocapu?

– Kierujemy się na wybrzeże. Tam zamierzamy zbudować łódź i przepłynąć nią na kontynent.

Amiocapianin potrząsnął głową.

– To będzie trudne. A właściwie niemożliwe.

– Musimy spróbować – powiedział Tanar – bo nie możemy pozostać wśród Amiocapian, którzy nie chcą uwierzyć, że nie jesteśmy Korsarianami.

– Wcale nie wyglądasz na Korsarianina – orzekł wojownik. – Gdzie twój towarzysz? On wygląda jak Korsarianin?

– Towarzyszy mi kobieta – wyjaśnił Tanar.

– Jeśli tak przypomina Korsarian jak ty, to łatwo uwierzyć w waszą opowieść. Ja tam chcę w nią uwierzyć i chcę wam pomóc. Na Amiocapie są inne wioski, nie tylko Lar i inni starsi poza Zurałem. Wszyscy jesteśmy przeciwko Korsarianom, ale nie wszystkich nas zaślepia nienawiść, tak jak Zurała. Przywołaj swoją towarzyszkę i jeśli nie okaże się Korsarianką, to zaprowadzę was do mojej wioski i dopilnuję, żeby was dobrze traktowano. Jeżeli będę mieć wątpliwości, to pozwolę wam odejść i nie wspomnę nikomu, że was spotkałem.

– Uczciwe postawienie sprawy – orzekł Tanar i zawołał do dziewczyny: – Stellaro! Jest tu wojownik, który chce się przekonać, czy jesteś Korsarianką!

Dziewczyna lekko zeskoczyła z gałęzi na ziemię.

Kiedy Amiocapianin ją zobaczył, cofnął się z okrzykiem zaskoczenia i zdziwienia.

– Bogowie Amiocapu! – zawołał. – Allara!

Tamci spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– To nie Allara – wyjaśnił Tanar – ale jej córka, Stellara. Kim jesteś, że tak od razu zobaczyłeś podobieństwo?

- Jestem Fedol, a Allara była moją kobietą.
- Czyli to jest twoja córka, Fedolu – orzekł Tanar.

Wojownik ze smutkiem potrząsnął głową.

– Nie. Mogę uwierzyć, że jest córką Allary, lecz jej ojciec musiał być Korsarianinem, bo to oni ukradli mi Allarę. Jest Korsarianką i chociaż serce nakazuje mi uznać ją za córkę, to obyczaje Amiocapu tego zakazują. Odejdźcie w spokoju. Ochronię was, jeśli zdołam, ale nie mogę cię uznać ani zabrać do mojej wioski.

Stellara podeszła do Fedola, przypatrując się ogorzałej skórze na jego lewym ramieniu.

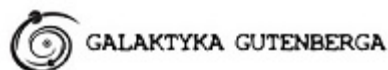
– Jesteś Fedol – powiedziała, wskazując czerwone znamię. – A oto dowód, dany mi przez mamę, przeniesiony na mnie twoją krwią: potwierdza, że jestem twoją córką, dzieckiem Fedola.

Zwróciła ku niemu lewe ramię: na białej skórze widać było małe, okrągłe, czerwone znamię, takie samo jak znamię Amiocapianina.

Fedol przez chwilę stał nieruchomo, wlepiając wzrok w znamię Stellary, a potem objął ją i mocno przytulił.

– Moja córka! – wyszeptał. – Allara wróciła do mnie krwią z naszej krwi i ciałem z naszego ciała!

6. WYSPA MIŁOŚCI



Stojące w zenicie słońce Pellucidaru oświetlało szczęśliwą trójkę. Fedol prowadził Stellare i Tanara do wioski Paraht, gdzie był starszym.

– Przyjmą nas jak przyjaciół czy zechcą nas zabić, jak mieszkańcy Lar? – spytała Stellara.

– Jestem starszym – powiedział Fedol. – Nawet gdyby wątpili, to zrobią co każę. Ale nie będzie wątpliwości, bo dowód jest niepodważalny i uznają cię za córkę Fedola i Allary, tak jak ja cię uznałem.

– A Tanar? – dopytywała się Stellara. – Jego też będziesz chronić?

– Twoje słowa zaświadcniają, że nie jest Korsarianinem – odparł Fedol. – Może zostać z nami jak długo zechce.

– Co powie na to Zural? – odezwał się Tanar. – Skazał nas na śmierć. Czy nie będzie nalegać, żeby wykonano wyrok?

– Mieszkańcy Amiocapu rzadko ze sobą walczą – odpowiedział Fedol. – Lecz jeżeli Zural zechce wojny, to będzie ją mieć, gdybym miał oddać ciebie lub córkę na spalenie w wiosce Lar.

Mieszkańcy Paraht ogromnie się ucieszyli na widok swojego starszego, bo już się obawiali, że go stracili. Tłumnie go otoczyli, witając radosnymi okrzykami, nagle zagłuszonymi przez głośne wrzaski:

– Korsarianie! Korsarianie!

To niektórzy z witających zauważyli Tanara i Stellare.

– Kto zawołał „Korsarianie”? – zapytał Fedol. – Co wiecie o tych ludziach?

– Ja ich znam – odpowiedział wysoki wojownik. – Jestem z Lar. Jest ze mną sześciu innych; szukaliśmy Korsarian, co uciekli tuż przed spaleniem przy palu. Zabierzemy ich i Zural się ucieszy, że ich złapaliście.

– Nigdzie ich nie zabierzecie – oznajmił Fedol. – Nie są Korsarianami. Ona – tu położył dłoń na ramieniu Stellary – jest moją córką, a mężczyzna to wojownik z dalekiego Sari. Jest synem króla tej krainy, położonej na nieznanym nam kontynencie.

– Tę samą historię opowiedzieli Zuralowi – stwierdził wojownik z Lar – ale im nie uwierzyliśmy. Nikt z nas im nie uwierzył. Byłem z Vulhanem i jego ludźmi kiedy ich zabraliśmy z okrętu Korsarian, co ich przyniósł do Amiocapu.

– Początkowo im nie uwierzyłem – przyznał Fedol. – Lecz Stellara mnie przekonała, że jest moją córką, a ja mogę wam udowodnić, że mówi prawdę.

– Jak? – zapytał wojownik.

– Dzięki znamieniu na moim lewym ramieniu – wyjaśnił Fedol. – Przyjrzyj mu się, a potem porównaj ze znamieniem na jej lewym ramieniu. Nikt, kto znał Allarę, nie może wątpić, że Stellara jest jej córką, tak bardzo dziewczyna jest podobna do matki; no a będąc jej córką jakże mogłaby odziedziczyć znamię na lewym od innego niż ja mężczyzny?

Wojownicy z Lar podrapali się po głowach.

– To byłby najlepszy dowód – powiedział ich rzecznik.

– To jest najlepszy dowód – oznajmił Fedol. – Innego nie potrzebuję. I mieszkańcy Paraht także. Przekaż to Zuralowi i mieszkańcom Lar; wierzę, że zaakceptują moją córkę i Tanara, jak my ich akceptujemy. Wierzę również, że zechcą ich chronić, tak jak my zamierzamy ich ochraniać przed wszystkimi wrogami, czy to z Amiocapu czy skądinąd.

– Zniosę twoją odpowiedź Zuralowi – odrzekł wojownik i wkrótce potem odszedł z towarzyszami szlakiem do Lar.

Fedol przygotował w swoim domu izbę dla Stellary, a Tanara skierował do sporej budowli, w której mieszkali wyłącznie kawalerowie.

Zarządzono wielką ucztę, żeby uczcić przybycie Stellary i setka łowców wyruszyła po ciosy i mięso tandora, zabitego przez Fedola i Tanara.

Fedol przystroił Stellarę ozdobami z kości (w tym z ciosów tandora) i ze złota. Nosiła najdelikatniejsze futra i wspaniałe pióra rzadkich ptaków. Ludzie z Paraht ją pokochali i Stellara była szczęśliwa.

Mężczyźni z plemienia początkowo traktowali Tanara z pewną rezerwą, podszytą podejrzliwością. Był ich gościem z rozkazu starszego, więc tak go traktowali; lecz kiedy go lepiej poznali, a zwłaszcza po wspólnym polowaniu, polubili go i uznali za jednego ze swoich.

Dla Tanara Amiocapianie stanowili początkowo zagadkę. Życie i obyczaje plemienia miały za podstawę miłość i uprzejmość. W zasadzie nie znali szorstkich słów, sprzeczek i awantur. Te cechy łagodniejszej strony człowieka z początku wydawały się Sarianinowi oznaką słabości i zniewieścienia; ale kiedy się przekonał, że towarzyszy im wielka siła i rzadko spotykana odwaga, zaczął ich bezgranicznie podziwiać. Raz dwa odkrył w ich postawie wobec życia i siebie nawzajem filozofię, której chciałby nauczyć swoich Sarian.

Amiocapianie uważali miłość za najświętszy dar bogów i największą moc czynienia dobra, toteż praktykowali wolną miłość. Lecz chociaż nie ograniczały ich bezsensowne ludzkie prawa, zaprzeczające prawom Boga i natury, to byli o wiele bardziej czystszy i cnotliwi niż inne znane Tanarowi ludy.

Polowania, tańce i uczyty, popisy umiejętności i siły, w których przyjaźnie współzawodniczyli mężczyźni z Amiocapu – wszystko to sprawiało, że Tanar i Stellara wiedli szczęśliwe życie.

Sarianin coraz rzadziej myślał o Sari. Kiedyś zbuduje łódź i wróci do rodzinnych stron, ale nie było pośpiechu; mógł poczekać. Stopniowo nawet ta myśl go opuściła. Często przebywał razem ze Stellarą. Razem czuli się szczęśliwi i zadowoleni, a nie zawsze tak bywało w towarzystwie innych ludzi. Tanar nigdy nie wspomniał o miłości. Może w ogóle nie

pomyślał o miłości, bo zawsze był zajęty a to polowaniem, a to rywalizacją w jakichś męskich sportach i zawodach. Jego umysł i ciało były zajęte – co niekiedy wyklucza myśli o miłości; lecz gdziekolwiek szedł i co by nie robił, zawsze towarzyszył mu w myślach obraz Stellary.

Chociaż może nie zdawał sobie z tego sprawy, to słodki urok córki starszego oddziaływał na każdą jego myśl i każdy czyn. Jej przyjaźń uważał za rzecz oczywistą i był dzięki temu bardzo szczęśliwy, ale nie mówił o miłości. Lecz Stellara była kobietą, a kobiety żyją dla miłości.

Widziała w wiosce Paraht dziewczęta otwarcie wyznające mężczyznom swoją miłość, ale wciąż krępowały ją obyczaje Korsarian i nie potrafiłyby powiedzieć komuś, że go kocha póki on nie wyznałby jej miłości. Nie słysząc od Tanara wyznań miłości cieszyła się choć jego przyjaźnią. Może i ona nie poświęcała sprawom miłości więcej myśli niż on.

Lecz był ktoś, kto myślał o miłości. Doval, przystojniak z Paraht. Żaden z amiocapiańskich młodzieńców nie był przystojniejszy od niego. Wiele dziewcząt wyznawało mu miłość, ale pozostawał nieczuły póki nie ujrzał Stellary.

Doval często przychodził do domu Fedola, starszego. Przynosił jego córce w darze skóry, wyroby z kości i ciosów tandora; wiele czasu spędzali razem. Tanar to zauważył i był poruszony, ale nie wiedział, dlaczego.

Od przybycia Stellary i Tanara mieszkańcy Paraht wiele razy jedli i spali, ale dotąd nie przyszła ani od Zurala, ani z wioski Lar odpowiedź na wiadomość od Fedola. Lecz teraz wreszcie przybyła do wioski grupa wojowników z Lar i Fedol, siedząc na krześle starszego, przyjął ich wyłożonej płytami otwartej izbie swojego domostwa.

– Witajcie, ludzie z Lar – powiedział starszy. – Fedol wita was w wiosce Paraht i niecierpliwie czeka na wiadomość, jaką przynosicie od jego przyjaciela, starszego Zurala.

– Przybywamy od Zurala i z wioski Lar – przemówił ich rzecznik – ze słowami przyjaźni dla Fedola i Paraht. Zural, nasz starszy, kazał nam powiedzieć ci, że bardzo żałuje

niezamierzonej krzywdy, jaką wyrządził twojej córce i wojownikowi z Sari. Skoro ty jesteś o tym przekonany, to i on uznaje, że Stellara jest twoją córką i że mężczyzna nie jest Korsarianinem. Przesyła im i tobie podarunki, a wraz z nimi zaproszenie do Lar. Prosi, żebyś przybył ze Stellarą i Tanarem, żeby on i jego ludzie mogli przeprosić za zło, które niechcący im wyrządzili.

Fedol, Tanar i Stellara przyjęli zaoferowaną im przyjaźń Zurala i jego ludzi. Na cześć gości wydano ucztę.

Kiedy trwały przygotowania do niej, przyszła do wioski z dżungli dziewczyna. Była ciemnowłosa i niezwykle piękna. Delikatną skórę miała podrapaną i zabrudzoną po długiej wędrówce, a włosy potargane. Ale oczy jaśniały szczęściem, usta uśmiechały się triumfalnie i wyczekująco. Przeszła przez wioskę prosto do domostwa Fedola, a kiedy zobaczyli ją wojownicy Lar, wykrzyknęli ze zdumienia.

– Letari! – zawołał jeden z nich. – Skąd się tu wzięłaś? Co robisz w wiosce Paraht?

Lecz Letari nie odpowiedziała. Podeszła do Tanara i zatrzymała się przed nim.

– Przyszłam do ciebie – oznajmiła. – Od twojej ucieczki z wioski Lar wiele razy umierałam z samotności i żalu. A kiedy wojownicy wrócili i powiedzieli, że jesteś bezpieczny w wiosce Paraht, postanowiłam przyjść tutaj. I kiedy Zural wysłał ich z wieściami do Fedola, poszłam ich śladem. Droga była trudna i chociaż trzymałam się blisko nich, wiele razy zagrażały mi dzikie zwierzęta i bałam się, że nigdy do ciebie nie dotrę, ale oto jestem.

– Czemu przyszłaś? – zapytał Tanar.

– Bo cię kocham – odparła Letari. – Wyznaję swoją miłość przed wojownikami z Lar i mieszkańcami Paraht.

Tanar się zaczerwienił. Jeszcze nigdy nie był w tak krępującej sytuacji. Wszyscy na niego patrzyli, w tym i Stellara.

– No i? – zapytał Fedol, patrząc na niego.

– Zwariowała – powiedział Sarianin. – Nie może mnie kochać, bo ledwo mnie zna. Tylko raz ze mną rozmawiała, kiedy

przyniosła nam jedzenie jak byliśmy ze Stellarą więźniami w wiosce Lar.

– Nie jestem szalona – zaprzeczyła Letari. – Kocham cię.

– Zechcesz ją? – zapytał Fedol.

– Nie kocham jej – powiedział Tanar.

– Zabierzemy ją ze sobą do Lar – powiedział jeden z wojowników.

– Nie pójde! – zawołała Letari. – Kocham go i zostanę tutaj.

Wyznanie, że go kocha nie zdziwiło nikogo poza Sarianinem. Wywołało niewiele uwag, nie zostało wyśmiane. Amiocapianie – może z wyjątkiem Stellary – przyjęli je jako rzecz normalną. Dla ludzi z wyspy miłości publiczne rozprawianie o uczuciach było najzwyczajszą w świecie rzeczą.

Ich wielka inteligencja, harmonijne sylwetki, uroda i niekwestionowana odwaga świadczyły, że takie obyczaje nigdy nie były szkodliwe dla tej rasy ludzi. To prawdopodobnie dokładnie odwrotne zwyczaje, od tyłu wieków dominujące u większości mieszkańców zewnętrznej skorupy, są odpowiedzialne za nieszczęście nieprzeliczonych milionów ludzi, wypaczonych umysłowo, moralnie i fizycznie.

Ale Letari nie zajmowała się takimi sprawami. Nie przejmowała się potomnością. Myślała tylko o tym, że kocha przystojnego przybysza z Sari i chce przy nim być. Podeszła bliżej i spojrzała mu w oczy.

– Czemu mnie nie kochasz? – zapytała. – Nie jestem urodziwa?

– Jesteś bardzo piękna – odpowiedział – lecz nikt, a już najmniej ja, nie potrafi wyjaśnić miłości. Może to zalety umysłu i charakteru, walory jakich nie widzimy, nie czujemy i nie słyszymy, wiążą na zawsze jedno serce z drugim?

– Podobasz mi się – powiedziała dziewczyna. – Dlaczego mnie nie chcesz?

Tanar potrząsnął głową, bo nie wiedział. Chciał, żeby odeszła i dała mu spokój, bo przez nią był nieswój, poirytowany i skrępowany; ale Letari nie miała zamiaru zostawić go w spokoju. Stała przy nim i zamierzała tam tkwić póki jej nie

odciągną i nie zabiorą do Lar – o ile by się to im udało, bo była zdecydowana im uciec przy pierwszej okazji, ukryć się w dżungli i wrócić do Paraht i Tanara.

– Porozmawiasz ze mną? – zapytała. – Może mnie pokochasz, jak porozmawiamy.

– Porozmawiam, ale i tak cię nie pokocham – odpowiedział Tanar.

– Chodźmy gdzieś, gdzie moglibyśmy porozmawiać.

– Dobrze – zgodził się Tanar; sam chciał odejść, żeby ukryć swoje zażenowanie.

Letari poprowadziła go wioskową uliczką, ocierając się o jego rękę miękkim ramieniem.

– Byłabym dla ciebie dobrą partnerką, bo kochałabym tylko ciebie, a gdybym ci się kiedyś przestała podobać, to mógłbyś mnie odesłać, bo taki jest jeden z obyczajów Amiocapu: kiedy któreś z pary przestaje kochać, to nie muszą już być razem.

– Ale nie stają się parą, jeżeli obydwoje nie kochają – stwierdził Tanar.

– To prawda – przyznała Letari. – Ale ty mnie pokochasz. Wiem to, bo wszyscy mężczyźni mnie kochają. Mogłabym mieć każdego mężczyznę z Lar, którego bym wybrała.

– Ależ jesteś pewna siebie – uśmiechnął się Tanar.

– A czemu miałabym nie być? Czyż nie jestem młoda i piękna?

Stellara patrzyła, jak Tanar i Letari idą wioskową uliczką. Widziała, jak blisko siebie idą i że Sarianina bardzo ciekawi to, co tamta miała mu do powiedzenia. Obok niej stał Doval. Popatrzyła na niego.

– Jaki tu hałas – powiedziała. – Za dużo tu ludzi. Przespaceruj się ze mną na skraj wioski.

Po raz pierwszy chciała być z nim sama i Doval bardzo się ucieszył.

– Chętnie pójdę z tobą na skraj wioski albo i na koniec Pellucidaru, gdziekolwiek zechcesz, Stellaro, bo cię kocham – oznajmił.

Dziewczyna westchnęła i potrząsnęła głową.

– Nie mów o miłości – poprosiła. – Po prostu chciałabym się przespacerować, a nie ma nikogo innego, kto by ze mną poszedł.

– Czemu mnie nie kochasz? – zapytał Doval, kiedy wyszli z domostwa starszego i znaleźli się na głównej ulicy wioski. – Kochasz innego?

– Nie! – krzyknęła porywczo Stellara. – Nikogo nie Kocham. Nienawidzę wszystkich mężczyzn.

Doval, zaskoczony, potrząsnął głową.

– Nie rozumiem cię. Wiele dziewczyn mówiło mi, że mnie Kocha. Chyba każda z dziewczyn z Amiocapu została by moją kobietą, gdybym poprosił; a ty, jedyna którą Kocham, mnie nie chcesz.

Stellara przez chwilę milczała, zamyślona. Potem popatrzyła na przystojnego chłopaka u swojego boku.

– Jesteś bardzo pewny siebie, Dovalu, ale nie wierzę, że masz rację. Założyłabym się, że potrafię wskazać dziewczynę, która by cię nie chciała i nie pokochała by cię, choćbyś się nie wiem jak starał.

– Jeśli mówisz o sobie, to tak; ale innej takiej nie ma.

– Ależ jest – upierała się Stellara.

– Któraż to?

– Letari, dziewczyna z Lar.

Doval się zaśmiał.

– Obdarzyła miłością pierwszego obcego, który się zjawił na Amiocapie. Byłaby zbyt łatwa. Nie zamierzam próbować. Nie Kocham jej. Kocham wyłącznie Ciebie. Jeśli bym ją w sobie rozkochał, to czy przez to byś mnie pokochała? Nie, będę próbował cię zdobyć.

– Boisz się. Wiesz, że by ci się nie udało.

– Gdyby mi się udało, to nic bym na tym nie zyskał.

– Polubiłabym cię o wiele bardziej, niż lubię teraz.

– Poważnie mówisz?

– Jak najbardziej.

– To rozkocham w sobie tę dziewczynę. I obiecujesz być moja jeżeli to zrobię?

– Niczego takiego nie powiedziałam. Mówiłam jedynie, że lubiłabym cię o wiele bardziej niż teraz.

– To już coś. Jeśli polubisz mnie bardziej niż lubisz teraz to będzie to krok we właściwym kierunku.

– Nic z tego, bo jej w sobie nie rozkochasz.

– Poczekaj, a się przekonasz.

Tanar i Letari zawrócili, żeby wrócić wioskową ulicą i minęli Stellare z Dovaliem. Tanar zauważył, jak blisko siebie idą i rozmawiają szeptem. Sarianin się nastroszył i stwierdził nagle, że nie lubi Dovala; i zastanawiał się, dlaczego, bo zawsze uważał go za fajnego kumpla. Przyszło mu na myśl, że to dlatego, że Doval nie był dostatecznie dobry dla Stellary; no ale jeśli ona go kochała, to inna rzecz i na samą myśl, że mogłaby kochać Dovala, rozzłościł się na nią. Cóż mogła zobaczyć w tym Dovalu, zastanawiał się i jaki interes miał Doval w łązeniu z nią sam na sam po wioskowej ulicy? Czyż on, Tanar, nie miał zawsze Stellary dla siebie? Nikt się nigdy nie wcinał pomiędzy nich, chociaż podobała się wszystkim mężczyznom. No cóż, skoro Stellara wolała Dovala od niego, to on jej pokaże, że go to nic nie obchodzi. On, Tanar Sarianin, syn Ghaka, króla Sari nie pozwoli żadnej kobiecie robić z niego głupka – i ostentacyjnie otoczył ramieniem szczupłą barki Letari i poszli powoli wioskową ulicą; Stellara to oczywiście zobaczyła.

Podczas uczty, wydanej na cześć posłańców od Zurala, Stellara siedziała przy Dovalu, a Tanar miał przy sobie Letari. Doval i Letari byli szczęśliwi.

Po uczcie większość mieszkańców wioski wróciła do domów i poszła spać; lecz Tanar był taki podenerwowany i nieszczęśliwy, że nie mógł spać. Wziął broń – ciężką dzidę z kamiennym grotem, łuk i strzały, kamienny nóż z rękojeścią z ciosu tandora, który dostał od Fedola – poszedł samotnie do lasu na polowanie.

Nie miało znaczenia, czy wioskowi spali godzinę czy cały dzień, bo nie było jak zmierzyć upływu czasu. Kiedy się obudzili – jedni wcześniej, drudzy później – zajęli się swoimi

obowiązkami. Letari szukała Tanara, ale nie mogła go znaleźć; za to spotkała Dovala.

– Jesteś bardzo piękna.

– Wiem.

– Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem.

Przez chwilę bacznie mu się przyglądała.

– Nie widziałam cię wcześniej. Jesteś bardzo przystojny. Chyba najprzystojniejszy z mężczyzn, jakich w życiu spotkałam.

– Każda tak mówi. Wiele dziewczyn mi mówiło, że mnie kocha, ale wciąż nie mam kobiety.

– Kobieta oczekuje od swojego mężczyzny nie tylko ładnej twarzy.

– Jestem bardzo odważny, jestem też dobrym myśliwym. Podobasz mi się. Chodź, spacerujemy się.

Doval otoczył ramieniem barki dziewczyny i poszli wioskową ulicą; Stellara patrzyła na to z drzwi sypialnej izby w domostwie ojca, starszego i leciutko się uśmiechała.

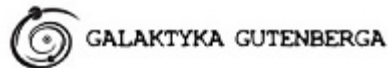
W wiosce Paraht panował spokój Amiocapu i pogodna niezmiennność południa. Dzieci bawiły się w cieniu drzew, tu i tam pozostawionych w wiosce, kiedy wycinano polanę. Kobiety pracowały nad skórami, nizały paciorki albo przygotowywały jedzenie. Mężczyźni szykowali broń do następnego polowania, lub leżeli beczynnym na futrach w otwartych izbach – ci, co nadal nie odsypiali skutków uczty. Fedol, starszy, żegnał posłańców Zurala i wręczał im podarek dla władcy Laru.

Nagle ciszę i spokój zakłóciły ochryple wrzaski i huk strzałów.

Natychmiast zapanowało pandemonium. Kobiety i wojownicy wybiegli z chat; powietrze wypełniły krzyki, przekleństwa i wrzaski.

„Korsarianie! Korsarianie!” niosło się po wiosce, zaś brodate zbiry gwałtownie parły naprzód, wykorzystując przewagę, jaką im dawały zdumienie i konsternacja wioskowych.

7. KORSARIANIE!



Tanar Sarianin polował w pierwotnych lasach Amiocapu. Ludzie z Paraht już i tak wysoko cenili jego łowieckie umiejętności, lecz teraz polował nie po to, żeby zyskać jeszcze większą sławę. Chciał się pozbyć wzburzenia, które nie pozwalało mu spać – wzburzenia i dziwnej depresji (niemal poczucia nieszczęścia); lecz myślał nie tylko o polowaniu. Często towarzyszyła mu wizja Stellary, blask jej złocistych włosów; obok niej widział przystojnego Dovala, otaczającego ramieniem jej barki. Zamykał oczy i potrząsał głową, chcąc odpędzić tę wizję, ale bez skutku; próbował myśleć o Letari, pięknej pannie z Lar. Tak, Letari była piękna. Jakie miała oczy! No i kochała go. Może i dobrze byłoby się z nią zejść i na zawsze pozostać na Amiocapie. Lecz znowu się okazało, że porównuje Letari ze Stellarą i że chciałby, żeby miała więcej cech tej ostatniej. Bo nie miała ona ani charakteru ani inteligencji córki Fedola. I przy niej nie był taki szczęśliwy, jak przy Stellarze. Zastanawiał się, czy Stellara kocha Dovala, a Doval Stellare. Tak rozmyślając przystanął i szeroko otworzył oczy, bo nagle coś zrozumiał.

– Boże! – wykrzyknął. – Jaki byłem głupi! Zawsze ją kochałem, ale nie miałem o tym pojęcia!

Gwałtownie zawrócił i puścił się biegiem w stronę Paraht, zupełnie zapominając o polowaniu.

Tanar polował daleko, o wiele dalej, niż mu się zdawało, ale wreszcie dotarł do wioski starszego Fedola. Kiedy przechodził przez wiszące ogrodzenie Paraht, zobaczył Letari i Dovala. Szli bardzo blisko siebie i mężczyzna obejmował szczupłe ramiona dziewczyny.

Letari bardzo się zdziwiła, widząc Tanara.

– Myśleliśmy, że Korsarianie wzięli cię ze sobą! – zawołała.

– Korsarianie! – wykrzyknął Sarianin. – Jacy Korsarianie?!

– Byli tutaj – powiedział Doval. – Napadli na wioskę, ale ich odparliśmy, ponosząc tylko niewielkie straty. Nie było ich dużo. Gdzie byłeś?

– Po uczcie poszedłem do lasu, polować – wyjaśnił Tanar. – Nie wiedziałem, że na Amiocapie byli Korsarianie.

– Dobrze, że cię tu nie było, bo w tym czasie zrozumiałam, że kocham Dovala – powiedziała Letari.

– Gdzie Stellara? – zapytał Tanar.

– Korsarianie ją zabrali – odparł Doval. – Bogu dzięki, że nie ciebie, Letari – zatrzymał się i pocałował ją w usta.

Tanar, krzycząc z gniewu i wściekłości, popędził do chaty starszego Fedola.

– Gdzie Stellara? – zapytał, wpadając bezceremonialnie do otwartej izby.

Siedziała tam starsza kobieta, kryjąc twarz w dłoniach. Podniosła głowę i spojrzała na niego. Była w izbie sama.

– Korsarianie ją zabrali – odparła.

– A gdzie Fedol?

– Poszedł z wojownikami, żeby spróbować ją ocalić – powiedziała starsza kobieta. – Ale to na nic. Porwani przez Korsarian nigdy nie wracają.

– W którą stronę poszli? – dopytywał się Tanar.

Kobieta, szlochając z żalu, wskazała kierunek, w którym odeszli Korsarianie i znowu ukryła twarz w dłoniach, rozpaczając nad nieszczęściem, które spadło na dom starszego Fedola.

Tanar niemal natychmiast ruszył śladem Korsarian – znaczyły go odciski ciężkich butów. Stwierdził, że Fedol z wojownikami nie poszli tym samym szlakiem; ruszyli w złym kierunku i nie będą mogli pomóc Stellarze.

Sarianin, chory z niepokoju, oszalały z nienawiści, szedł lasem. Wyraźnie widział trop tych, których ścigał. W sercu miał gniew, dający mu siłę wielu mężczyzn.

Na niewielkiej polanie, częściowo otoczonej wapiennymi klifami, zatrzymała się na odpoczynek grupka obszarpanych, wąsatych mężczyzn. Przystanęli tam, gdzie u podstawy klifu było małe źródelko, a płynący z niego kręty strumyczek wpadał nieopodal do okrągłego zagłębienia w ziemi. Spływając z obrzeża tej naturalnej studni wpadał z pluskiem do wody w jej głębi. Było tam ciemno – ciemno i tajemniczo, ale brodate zbiry nie zwracały uwagi na piękno i tajemniczość tego miejsca.

Potężny typ o groźnej twarzy, zniekształconej przez paskudną bliznę, stanął przed szczupłą dziewczyną, siedzącą na trawie, opartą plecami o drzewo, kryjącą twarz w rękach.

– Myślałaś, że nie żyję, co?! – wykrzyknął. – Myślałaś, że Bohar Krwawy nie żyje?! Otóż jak najbardziej żyje. Nasza łódź przetrwała sztorm, a przepływając w pobliżu Amiocapu zobaczyliśmy leżący na piachu wrak okrętu Cida. Wiedząc, że kiedy opuszczaliśmy pokład zostałaś tam wraz z jeńcami, pomyślałem, że możesz być gdzieś na Amiocapie. No i się nie pomyliłem, Stellaro. Bohar Krwawy rzadko się myli. Ukryliśmy się w pobliżu wioski, którą oni nazywają Lar i przy pierwszej okazji porwaliś jedno z nich, kobietę. Od niej się dowiedzieliśmy, że faktycznie dostałaś się na wyspę i że teraz przebywasz w wiosce ojca. Kazaliśmy kobiecie doprowadzić nas tutaj. Resztę wiesz. Ciesz się, bo wreszcie zostaniesz kobietą Bohara Krwawego i wrócisz do Korsaru.

– Prędzej umrę! – zawołała dziewczyna.

– Niby jak? – zaśmiał się Bohar. – Nie masz broni. Może sama się udusisz? – i gromko się roześmiał w własnego żartu.

– Jest sposób! – wykrzyknęła dziewczyna.

I zanim zdążył pojąć, co miała na myśli, albo ją powstrzymać, poderwała się, pospiesznie go ominęła i pobięła ku naturalnej studni, odległej o paręset stóp.

– Szybko! – wrzasnął Bohar. – Zatrzymajcie ją!

Cała dwudziestka natychmiast rzuciła się w pościg. Lecz Stellara była szybka i całkiem możliwe, że nie dogoniliby jej na tak krótkim dystansie.

Jednak szczęście sprzyjało Boharowi Krwawemu tego dnia – kiedy dziewczyna była już blisko celu, stopa uwięzła jej w splątanej trawie i upadła na twarz. Zanim zdążyła się podnieść, złapał ją najbliższy Korsar; potem dobiegł do nich Bohar Krwawy, zabrał tamtemu u gwałtownie nią potrząsnął.

– Ty taragu! – wrzasnął. – Powinienem cię za to tak urządzić, żebyś już nigdy nie mogła uciec! Kiedy dotrzemy do morza obetnę ci stopę i wtedy będę pewny, że już mi nigdy nie uciekniesz! – i cały czas gwałtownie nią potrząsał.

Znienacka na polanę wyszedł z dżungli wojownik i zobaczył rozgrywającą się przy studni scenę. Początkowo uznał, że mordują Stellare i oszalał z wściekłości; rozpoznał Bohara Krwawego, co wcale nie zmniejszyło jego gniewu.

Skoczył naprzód z gniewnym okrzykiem, zamierzając się dzidać. Co z tego, że miał za przeciwników dwudziestu uzbrojonych w broń palną ludzi? Widział tylko Stellare w łapach brutalnego Bohara.

Na dźwięk jego głosu Korsarianin podniósł wzrok i natychmiast rozpoznał Sarianina.

– Patrz no, Stellaro – uśmiechnął się szyderczo. – Twój kochas się zjawił. To dobrze, bo bez kochasia i z jedną tylko stopą nie będziesz miała ochoty do ucieczki.

Tuzin arkebuzów mierzyło w przybysza, Korsarianie patrzyli na Bohara.

Tanar dotarł na przeciwległy skraj studni, odległy o parę jardów – Bohar skinął głową: huknęły strzały, którym towarzyszył błysk ognia oraz gęsty i czarny dym, który na moment zasłonił Sarianina.

Stellara, wystraszona i drżąca z bólu i strachu, próbowała coś dojrzeć w tej chmurze dymu. Szybko się rozwiął, ale Tanara już tam nie było.

– Dobra robota! – zawołał Bohar do swoich ludzi. – Albo go roznieśliście na kawałki, albo jego zwłoki wpadły do dziury.

Podszedł do studni i zajrzał do środka, ale było tam bardzo ciemno i nic nie zobaczył.

– Gdziekolwiek jest, przynajmniej nie żyje – powiedział Bohar. – Wolałbym własnymi rękami wydusić z niego życie, ale przynajmniej zginął na mój rozkaz i odpłaciłem za cios, jaki mi zadał, jak Bohar odpłaca wszystkim wrogom.

Korsarianie znowu ruszyli ku oceanowi, a Stellara szła wśród nich z opuszczoną głową i niewidzącym wzrokiem. Często się potykała i wtedy szarpnięciem stawiano ją na nogi i potrząsano nią, szorstko przy tym nakazując, żeby patrzyła pod nogi.

Kiedy dotarli na wybrzeże dziewczyna miała wysoką gorączkę i leżała w obozowisku Korsarian dzień – a może miesiąc – zbyt chora, żeby się ruszyć. Bohar z resztą swoich ludzi ścinał drzewa, ciął je na deski i budował łódź, mającą ich zanieść na dalekie wybrzeża Korsaru.

Tanar, rzucając się żeby uwolnić Stellare z łap Bohara, myślał tylko o niej, patrzył tylko na nią. Nie zauważył otworu w ziemi i kiedy Korsarianie chwycili za arkebuzy, stąpnał niechcący w otwór i wpadł do zebranej daleko w dole wody. Nic mu się nie stało; nawet nie był ogłuszony. Kiedy się wynurzył, zobaczył niewielki strumyk, wpływający w otwór w otaczających go wapiennych ścianach. Dalej była jasna pieczara, do której Tanar wpłynął i wydostał się na skalny próg w miejscu, gdzie znalazł obniżenie w brzegu strumyka. Rozejrzał się – był w obszernej pieczarze o mocno jarzących się ścianach: tak dużo było w nich fosforu. Na dnie pieczary leżało sporo rupieci – kości zwierząt i ludzi, połamana broń, strzępy skór. Może to było wysypisko jakiejś ponurej kostnicy.

Sarianin wrócił do otworu, którym wniósł go do pieczary strumień, ale przekonał się, że tędy się nie wydostanie – wszedł do strumienia i dopłynął do studni, ale nieustannie spływająca woda tak wygładziła ściany studni, że nie można by się było po nich wspiąć.

Potem powoli obszedł dokoła pieczarę, lecz następny otwór znalazł tylko tam, gdzie strumyk z niej wypływał – z grubsza ociosany łuk, wznoszący się jakieś sześć stóp ponad powierzchnię podziemnego strumienia. Po jednej stronie był

tam wąski występ i Tanar, patrząc w otwór, zobaczył ciemnawy korytarz, prowadzący w mrok i dal.

Tylko wtedy mógł się wydostać z pieczary, toteż Tanar przeszedł wąskim występem pod łukiem i znalazł się w tunelu, ciągnącym się wzdłuż krętego strumyka. Jedynie tu i tam niewielkie skalnych ścian i stropu korytarza słabo lśniły, dając trochę światła ledwo co rozjaśniającego panującą tu ciemność; przynajmniej się widziało, gdzie się stawia stopy – chociaż miejscami, tam gdzie tunel się rozszerzał, ściany często niknęły w ciemności.

Tanar nie wiedział, jak długo szedł tunelem, ale wreszcie dotarł do niskiego i wąskiego otworu, przez który mógł się przedostać tylko na czworakach. Wyglądało na to, że dalej jest o wiele jaśniejsza pieczara. Kiedy Tanar tam dotarł – wciąż na czworakach – ktoś ciężki spadł mu z góry na plecy i jeszcze dwaj się znaleźli po jego bokach; poczuł, jak zimne, lepkie łapy chwytają go za ręce i nogi, jak ramiona otaczają mu szyję (miał uczucie, że to trupie ramiona).

Szarpał się, ale było ich za dużo jak na niego jednego. Po chwili zabrano mu broń, przeguby i kostki mocno związano rzemieniami. Potem przewrócono go na bok i leżąc spojrział w przerażające twarze Coripisów, Zagrzebanych Ludzi.

Puste twarze, trupia skóra, sterczące wybrzuszenia w miejscu oczu, bezwłose ciała, szponiaste dłonie – na widok tak ohydnych monstrów zadrżałoby najmężniejsze serce.

A kiedy się odezwali mamrotali, odsłaniając poźółkłe zębiska. Sarianin podupadł na duchu, świadomy, że czeka go straszliwy koniec – bo czyż wszystkie opowieści Amiocapian o Zagrzebanych Ludziach nie mówiły, że nikt nigdy nie wyrwał się z ich szponów?

Teraz przemawiali do niego i wkrótce w tym mamrotaniu rozróżnił słowa.

– Jak się dostałeś do krainy Coripisów?

– Wpadłem do dziury w ziemi – odparł Tanar. – Nie szukałem wejścia. Wyprowadźcie mnie stąd, a wynagrodzę was.

– Cóż poza swoim mięsem możesz dać Coripisom? – spytał inny.

– Nie próbuj się wydostać, bo to ci się nigdy nie uda – dodał trzeci.

Dwaj podnieśli go bez wysiłku i wpakowali na plecy jednego z towarzyszy. Stwór niósł go tak swobodnie, że Tanar zaczął się dziwić, jak mu się udało pokonać Coripisa, którego spotkał na powierzchni.

Stwór niósł go długimi korytarzami – jedne były bardzo ciemne, drugie częściowo oświetlone wychodniami fosforyzującej skały. Niekiedy przechodzili przez duże groty, pięknie ozdobione przez naturę wymyślnymi wzorami lub wspinali się po długich, wyciętych w wapieniu schodach (pewnie przez samych Coripisów), żeby zaraz zejść kolejnymi schodami i iść krętymi, wydającymi się nie mieć końca tunelami.

Ale podróż skończyła się wreszcie w rozległej pieczarze, o stropie wysokości co najmniej dwustu stóp. Ta ogromna pieczara była oświetlona jaśniej niż jakakolwiek część podziemnego świata, przez które niesiono Tanara. W ścianach z wapienia wycięto ścieżki, prowadzące zygzakami ku stropowi; cała powierzchnia ścian była usiana otworami o średnicy kilku stóp, wyglądającymi na wejścia do jaskiń.

Na dnie pieczary przycupnęły setki Coripisów obu płci i w różnym wieku.

Na końcu pieczary, w szerokim otworze parę stóp nad podłogą kuczał jeden potężny Coripis. Skórę miał w fioletowawe plamy, przez co przypominał zwłoki w daleko posuniętym stanie rozkładu. Podskórne zgrubienia w miejscu oczu były o wiele większe i bardziej wypukłe, niż u Coripisów, których dotąd widział Tanar. Stwór był najpaskudniejszy z całej odrażającej hordy.

Przed stworem, na podłodze pieczary siedziała grupka Coripisów-mężczyzn i ku temu zgromadzeniu prowadzono Sarianina.

Ledwo weszli do pieczary, Tanar się zorientował, że te stworzenia widzą (co zaczął podejrzewać krótko po tym, jak do pojmały), bo na jego zaczęły wrzeszczeć i wydawać dziwne, świszczące dźwięki, zaś z wylotów wielu wysoko położonych jaskiń wysunęły się głowy i paskudne bezokie twarze zdawały mu się przyglądać.

Kiedy go prowadzono ku siedzącemu w niszy stworowi ponad wszystkie krzyki wybił się jeden – „MIĘSO! MIĘSO!” – ponury i straszliwy w swojej jednoznaczności.

Mięso! Tak, wiedział, że jedli ludzkie mięso i wydawało się, że tylko czekają na sygnał, żeby się na niego rzucić i żywcem pożreć, rozszarpując mocnymi szponami. Lecz kiedy jeden z nich skoczył ku niemu, siedzący w niszy stwór krzyknął i tamten się wycofał, zaś jeden z porywaczy Tanara odwrócił się, żeby go bronić.

Wreszcie przeszli przez pieczarę i położyli Sarianina u stóp stwora w niszy. Widział, jak wielkie gałki oczne poruszają się pod skórą wypukłości i chociaż nie widział oczu, to wiedział, że jest chłodno i z wyrachowaniem oceniany.

– Skąd go wzięliście? – zapytał na koniec stwór jego porywaczy.

– Wpadł do Studni Dźwięczącej Wody – odrzekł jeden z nich.

– Skąd wiecie?

– Powiedział nam.

– Wierzycie mu?

– Inaczej nie mógł się dostać do krainy Coripisów – wyjaśnił jeden z porywaczy.

– Może prowadził tu oddział, żeby nas zabić – powiedział stwór w niszy. – Idźcie, sporą grupą i przeszukajcie korytarze i tunele przy Studni Dźwięczącej Wody. – Potem stwór zwrócił się do porywaczy Tanara: – Zabierzcie to coś i umieście z innymi, wciąż mamy za mało.

Znowu umieszczono Tanara na plecach Coripisa, który poniósł go przez pieczarę i potem jedną ze ścieżek wyciętych w ścianie z wapienia. Po krótkiej wspinaczce stwór wszedł

w jedną z jaskiń i Sarianin znów się znalazł w wąskim, ciemnym, krętym tunelu.

Tanar uznał, że korytarze i tunele, którymi go niesiono, świadczą o wielkiej starożytności tego podziemnego świata, bo wszystko świadczyło o tym, że większość tych tuneli wycięto w wapieniu albo poszerzono naturalne przejścia; a ponieważ te stworzenia wydawały się nie mieć innych narzędzi poza trójpalczastymi łapami, to nad wykopaniem tuneli tysiące z nich musiały się trudzić przez wiele wieków.

Tanar, ma się rozumieć, miał jedynie mgliste pojęcie o tym, co my określamy długością trwania. On pojmował to tak, że te stworzenia musiały miliony razy spać i jeść podczas tej gigantycznej roboty.

Kiedy Coripis niośł go długim tunelem, Sarianin myślał też o innych sprawach. Rozmyślał o słowach stwora w niszy, który go kazał zanieść do celi, że „wciąż jest za mało”. Co to znaczyło? Mało czego? Więźniów? A kiedy będzie dość, to co się stanie?

Lecz całkiem możliwe, że myślał przede wszystkim o Stellarze; bał się o jej bezpieczeństwo i żałował, że nie zdołał jej uratować.

Od chwili, kiedy tak nieoczekiwanie wpadł do podziemnego świata Zagrzebanych Ludzi, najczęściej, ma się rozumieć, myślał o ucieczce. Lecz im głębiej go niesiono w trzewia ziemi, tym bardziej niemożliwa wydawała się ucieczka – nie porzucał jednak myśli o niej, chociaż wiedział, że musi poczekać, aż dotrą do miejsca przeznaczenia; dopiero wtedy będzie mógł ułożyć jakiś plan.

Sarianin nie wiedział, jak daleko niośł go Coripis, ale wreszcie weszli do słabo oświetlonej pieczary; przed wąskim wejściem przycupnęło z tuzin Coripisów. Wewnątrz było ich dwudziestu i jeden człowiek – mężczyzna o rudawoblond włosach, blisko osadzonych oczach, z chytrą, przebiegłą miną, która się natychmiast Tanarowi nie spodobała.

– Oto jeszcze jeden – powiedział Coripis, który przyniósł Tanara do pieczary i z tymi słowy bezceremonialnie łupnął Sarianinem o skalną podłogę u stóp dwunastu wartowników.

Zębami i szponami rozdarli więzy na przegubach i kostkach.

– Powoli się zjawiają – burknął jeden z wartowników. – Jak długo jeszcze mamy czekać?

– Stary Xax życzy sobie mieć ich więcej, niż kiedykolwiek zgromadziliśmy – przypomniał jeden z Coripisów.

– Ale my się robimy niecierpliwi – powiedział ten pierwszy. – Jeżeli każe nam dłużej czekać, sam może się stać jednym z nich.

– Uważaj – ostrzegł go jeden z koleżków. – Gdyby Xax usłyszał, coś powiedział, to do naszych więźniów by jeden przybył.

Przecięto mu więzy, Tanar wstał i od razu brutalnie go wepchnięto do pieczary; szybko się przekonał, że byli więźniami jak i on. Rozumie się, że pierwszy podszedł do niego tamten człowiek.

– Jeszcze jeden – powiedział obcy. – Nasza liczba powoli rośnie, a każdy następny przybliża nas do nieuchronnego końca. I nie wiem, czy powinienem żałować, że cię tu widzę, czy się cieszyć, bo będę znowu mieć ludzkie towarzystwo. Od kiedy mnie wrzucono do tego więzienia wiele razy jadłem i spałem i stale miałem za towarzyszy tylko te paskudne mamroczące stwory. Boże, jak ja ich nienawidzę i jak mnie mierzą, chociaż czeka ich ten sam los, co nas.

– To znaczy?

– Nie wiesz?

– Mogę się tylko domyślać.

– Te stwory rzadko zdobywają mięso, mające jeszcze w sobie ciepłą krew. Żywią się głównie rybami z podziemnych rzek oraz ropuchami i jaszczurkami, mieszkającymi w ich podziemnych pieczarach. Z wypraw na powierzchnię zwykle przynoszą tylko padlinę, a marzą o mięsie i ciepłej krwi. Dotąd zabijali więźniów jednego po drugim, w miarę jak się trafiali, ale w ten sposób tylko nieliczni Coripisi dostawali po kęsie mięsa. Ostatnio Xax wpadł na pomysł, żeby trzymać własnych skazańców i więźniów z zewnętrznego świata póki nie uzbiera się ich tylu, żeby nakarmić całą populację pieczary, w której jest wodzem. Nie wiem, ilu ma ich być, ale ich liczba stale rośnie

i może już wkrótce będzie nas wystarczająco dużo, żeby napęłnić brzuchy plemienia Xaxa.

– Xax! – powtórzył Tanar. – To stwór w skalnej niszy w wielkiej pieczarze, do której mnie najpierw zaprowadzono?

– To był Xax. Jest władcą tej pieczary. W podziemnym świecie Zagrzebanych Ludzi jest wiele plemion; każde zajmuje wielką pieczarę, podobną do tej, w której widziałeś Xaxa. Te plemiona nie zawsze są przyjazne i większość więźniów w tej jaskini to członkowie innych plemion; chociaż jest tu paru z plemienia Xaxa, z takiego czy innego powodu skazanych na śmierć.

– I nie ma ucieczki?

– Absolutnie nie. Żadnej. Lecz powiedz mi, kim jesteś, z jakiej krainy? Nie wierzę, że jesteś z Amiocapu, bo jakież Amiocapianin wypytywałby o Zagrzebanych Ludzi?

– Nie jestem z Amiocapu – odparł Tanar. – Jestem z Sari, położonego na dalekim kontynencie.

– Sari! Nigdy nie słyszałem o takiej krainie. Jak się nazywasz?

– Tanar. A ty?

– Jestem Jude z Hime. Hime to wyspa w pobliżu Amiocapu. Może o niej słyszałeś.

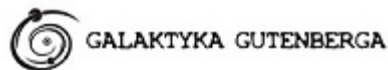
– Nie.

– Łowiłem ryby w moim kanoe, z dala od brzegów Hime, kiedy nadciągnął wielki sztorm. Przeniósł mnie przez wody i rzucił na brzeg Amiocapu. Poszedłem do lasu, upolować coś do jedzenia, a wtedy rzuciły się na mnie trzy takie stwory i zawłokły do swojego podziemnego świata.

– I uważasz, że stąd nie da się uciec? – dociekał Tanar.

– Nie. Absolutnie nie.

8. MOW



Zamknięcie w ciemnej, źle oświetlonej, słabo przewietrzanej pieczarze bardzo dawało się we znaki Tanarowi z Pellucidaru; wiedział, że długo tu siedział, bo jadł i spał wiele razy. Od czasu do czasu przyprawiano nowych więźniów Coripisów, ale widać wciąż było ich za mało, żeby zaspokoić Xaxowy apetyt na mięso. Tanar był zadowolony z towarzystwa Jude'a, chociaż nigdy go tak do końca nie rozumiał i chociaż był tak różny od niego, wiecznie skwaszony i niezadowolony. Jude najwyraźniej nikomu nie ufał i wszystkim nie znosił – nawet o ludziach ze swojej wyspy mówił z niechęcią i wyrzutem. Tanar wielkodusznie uznał to za skutki długiego i okropnego uwięzienia w jednej pieczarze wraz z istotami z podziemi; był przekonany, że takie doświadczenie mogło z łatwością zdestabilizować słaby umysł.

Tanarowi udało się nawet wzbudzić w niektórych współwięźniach-Coripisach uczucia przypominające przyjaźń.

Był wśród nich młody Coripis imieniem Mow, z pieczary Ictl, który nie znosił wszystkich Coripisów z pieczary Xaxa i był podejrzliwy wobec tych z innych grot.

Chociaż te stwory miały niewiele cech wspólnych z ludźmi, to Sarianin był przekonany, że lubią towarzystwo ziomków. Mow był tu osamotniony i dlatego stopniowo przyłgął do Tanara, który mimo swego losu zachował odwagę i optymizm.

Jude nie zamierzał się zadawać z Mowem czy jakimś innym Coripisem i miał za złe Sarianinowi, że ich traktuje przyjaźnie.

– Wszyscy jesteśmy więźniami – przypomniał mu Tanar. – Spotka ich ten sam los, co i nas. Awanturowanie się z nimi ani

nie zmniejszy zagrożenia, ani nie da nam spokoju ducha. Mnie na przykład ciekawi rozmawianie z nimi o tym ich dziwnym świecie.

I Tanar naprawdę dowiedział się o Coripisach wielu interesujących rzeczy. Dzięki kontaktom z Mowem odkrył, że te istoty nie widzą kolorów; przez skórę zakrywającą oczy rozróżniają wyłącznie czerń, biel i szarość. Dowiedział się też, że ze względu na niedostatek żywności musieli ograniczyć swoją liczebność – żeby to osiągnąć zaczęli niszczyć kobiety rodzące zbyt wiele dzieci; trzecie dziecko równało się wyrokowi śmierci na matkę.

Dowiedział się również, że jedynym życiowym celem i rozrywką tych biednych Coripisów było jedzenie. Ich pożywienie – ryby, ropuchy i jaszczurki – było tak skąpe i mało urozmaicone, że nadzieja na ciepłe mięso była wielkim wydarzeniem w dręczącej monotonii ich nudnego życia.

Chociaż Mow nie znał słowa „miłość” i nie znał tego uczucia, to Tanar z jego uwag wywnioskował, że to uczucie nie istniało wśród Zagrzebanych Ludzi. Matka uważała każde dziecko za zagrożenie swojego życia i zapowiedź śmierci, toteż nienawidziła dzieci od ich narodzin. Nie powinno to dziwić, bo mężczyźni wybierali na matki swoich dzieci kobiety, których nie znosili – obyczaj zabijania kobiety, która urodziła troje dzieci skutecznie zniechęcał ich do wybrania takiej, która budziłaby w nich cieplejsze uczucia.

Kiedy Coripisi nie polowali i nie łowili, to kucali, wpatrując się głupio i tępo w podłogę swojej pieczary.

– Mając takie życie chyba z ochotą przyjmujecie śmierć – powiedział Tanar do Mowa.

Coripis potrząsnął głową.

– Nie chcę umierać.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparł Mow. – Po prostu chcę żyć.

– To uważam, że chętnie byś uciekł z tej pieczary, gdybyś mógł – zasugerował Tanar.

– Pewnie, że chętnie bym uciekł – przyznał Mow. – Ale jeśli spróbuję uciec i mnie złapią, to mnie zabiją.

– I tak cię zabiją.

– Tak, nie pomyślałem o tym. Ale to prawda, tak czy owak mnie zabiją.

– Uciekłbyś? – zapytał Tanar.

– Tak, gdyby ktoś mi pomógł.

– W tej pieczarze jest pełno takich, co by ci pomogli.

– Coripisi z pieczary Xaxa mi nie pomogą, bo jeśli uciekną, to nigdzie nie będą bezpieczni. Jeżeli Xax ich złapie, to ich zabiją i tak samo się stanie, jeśli złapie ich władca innej pieczary.

– Są tu przecież mieszkańcy innych pieczar, no i Jude i ja.

Mow potrząsnął głową.

– Nie ocaliłbym żadnego Coripisa. Nie cierpię ich. Wszyscy są wrogami z innych pieczar.

– Ale mnie nie nienawidzisz – powiedział Tanar. – A ja ci pomogę i Jude też.

– Potrzebny mi tylko jeden – stwierdził Mow. – Ale musi być bardzo silny; silniejszy od ciebie, silniejszy od Jude’a.

– Jak silny? – zapytał Tanar.

– Powinien mnie udźwignąć – odparł Coripis.

– No to patrz.

Tanar chwycił Mowa i podniósł go wysoko ponad głowę. Kiedy go znowu postawił na podłodze, Coripis jakiś czas mu się przyglądał.

– Faktycznie jesteś silny – przyznał.

– No to zaplanujmy ucieczkę.

– Tylko ty i ja – oznajmił Mow.

– Musimy zabrać Jude’a – nalegał Tanar.

Coripis wzruszył ramionami.

– Mnie tam wszystko jedno. Nie jest Coripisem, a jak zgłodniejemy i nie znajdziemy innej żywności, to go zjemy.

Tanar zmilczał, bo uznał, że niemądrze byłoby dać wyraz obrzydzeniu taką propozycją. Poza tym był przekonany, że

razem z Jude'em powstrzymają Coripisa od zaspokojenia apetytu na mięso.

– Zauważyłeś, że na drugim końcu pieczary, mrok jest tak gęsty, ledwo można w nim kogoś dostrzec? – zapytał Mow.

– Tak – odrzekł Tanar.

– Gęste mroki kryją skalne ściany, a strop tonie w całkowitej ciemności. Ale w stropie jest otwór, prowadzący przez wąski szyb do mrocznego tunelu.

– Skąd to wiesz?

– Odkryłem to pewnego razu jak polowałem. Natrafiłem na dziwny tunel, wiodący od tego, którym szedłem do górnego świata. Poszedłem nim, żeby się przekonać, gdzie prowadzi i na koniec dotarłem do otworu w stropie tej pieczary; można stamtąd zobaczyć wszystko, co się tutaj dzieje, samemu nie będąc widzianym. Kiedy mnie tu przyprowadzono jako więźnia od razu rozpoznałem to miejsce. Dlatego wiem, że ktoś kto ma pomoc może stąd uciec.

– Wyjaśnij – zażądał Tanar.

– Przekonałem się, że ściana pod otworem odchyła się od podłogi do tyłu na całkiem sporej wysokości. Jest taka nierówna, że łatwo by się wspiąć na niewielki występ pod otworem w stropie. Ale tak daleko od niego, że nikt by bez pomocy tam nie sięgnął. Ale gdybym cię podsadził, to potem mógłbyś mnie wciągnąć.

– Ale jak się wdrapiemy po ścianie tak, żeby nas strażnicy nie zauważyli? – zapytał Tanar.

– Będziemy musieli zaryzykować – odrzekł Mow. – Tam jest bardzo ciemno i jeżeli poczekamy, aż przyprowadzą nowego więźnia, co odwróci ich uwagę, to może się nam udać dotrzeć do otworu w stropie zanim nas zauważą. A jak już tam będziemy, to nas nie złapią.

Tanar omówił ten plan z Jude'em, tak zachwyconym perspektywą ucieczki, że niemal szczęśliwym.

Teraz zaczęło się niekończące się oczekiwanie na nowego więźnia. Trzej konspiratorzy zaczęli spędzać większość czasu w mrokach na drugim końcu pieczary – żeby strażnicy

przywykli ich tam widzieć. A ponieważ tylko oni wiedzieli o otworze w stropie, to nie wzbudzili żadnych podejrzeń – ich ulubione miejsce było po drugiej stronie pieczary, daleko od wejścia, zdaniem strażników jedynej drogi ucieczki.

Tanar, Jude i Mow kilka razy jedli i spali nim zaczęło wyglądać na to, że do pieczary nie przyprowadzą już żadnego więźnia; nikt nowy się nie zjawiał, ale plotki krążyły bez przeszkód i jedna z nich tak zaalarmowała naszą trójkę, że postanowili postawić wszystko na jedną kartę i zaryzykować próbę wyrwania się na wolność.

Coripisi zmieniający część straży opowiedzieli, że Xaxowi z wielką trudnością udało się nie dopuścić do buntu rozwścieczonych współplemieńców – wielu z nich uznało, że chce wszystkich więźniów zachować dla siebie. Zażądali więc natymiaskowej mięsnej uczty. Może nawet jacyś Coripisi już szli po nieszczęsnych więźniów, żeby ich zaprowadzić do pieczary Xaxa, gdzie głodny tłum rozszarpie ich na kawałki.

I faktycznie, upłynął czas jednego głodu i pojawiła się grupka, mająca ich zaprowadzić do głównej pieczary plemienia.

– To właściwa pora – szepnął Tanar do Mowa i Jude’a, widząc, że strażnicy rozmawiają z nowo przybyłymi.

Zgodnie z wcześniej ułożonym planem wszyscy trzej zaczęli się wspinać po ścianie na końcu pieczary.

Tanar zatrzymał się na niewielkim występie, dwadzieścia pięć stóp nad dnem pieczary; chwilę później dołączyli do niego Mow i Jude. Coripis bez słowa postawił sobie Sarianina na ramionach i Tanar w ciemności poszukał wsparcia dla rąk. Raz dwa znalazł otwór prowadzący do szybu, a w nim świetne uchwyty dla rąk i już po chwili wciągnął się na górę i usiadł na półeczce okalającej otwór. Zebrał się w sobie, sięgnął w dół i chwycił rękę Jude’a, stojącego na ramionach Mowa, wciągnął Himeanina na półeczkę.

W tej samej chwili na dole rozległy się krzyki. Tanar spojrzał w dół – to jeden ze strażników ich zauważył i teraz obaj strażnicy wraz z więźniami biegli w ich stronę..

Sarianin akurat wyciągnął rękę do Mowa, żeby mu pomóc się dostać na półeczkę, a już paru Coripisów wspinało się po ścianie pod nimi. Mow zawahał się i odwrócił, żeby spojrzeć na wrogów szybko się ku niemu wspinających. Występ, na którym stał, był wąski i nie dawał stopom dobrego podparcia. Może zdenerwowało go zaskoczenie i szok, że ich odkryto, a może stracił równowagę, odwracając się, żeby spojrzeć w dół – Tanar ujrzał, jak się chwieje, pada i zsuwa na wspinających się Coripisów, pociągając trzech za sobą; runął na skalne dno pieczary i leżał bez ruchu.

Sarianin spojrział na Jude'a.

– Nie możemy mu pomóc. Lepiej się stąd wydostać najszybciej jak się da.

Wyszukując podparcia dla rąk i stóp wspinali się powoli krótkim szybem i wkrótce znaleźli się w tunelu, o którym mówił Mow. W zupełnej ciemności.

– Znasz drogę na powierzchnię? – zapytał Jude.

– Nie – odparł Tanar. – Liczyłem, że Mow nas poprowadzi.

Sarianin szedł powoli, szukając po omacku drogi w tych kompletnych ciemnościach; Jude następował mu na pięty. Wydawało się, że tunel nie ma końca. Zrobili się bardzo głodni, a nie mieli nic do jedzenia; teraz delectowaliby się nawet kawałkami nadpsutej ryby, które Coripisi rzucali więźniom.

– Chyba zjadłbym nawet ropuchę – powiedział Tanar.

Zmęczeni się i zasnęli, a potem znowu z trudem brnęli przed siebie. Zdawało się im, że atramentowo czarny tunel nie ma końca.

Na długich odcinkach dno tunelu było płaskie, a potem nagle opadało w dół – czasem tak ostro, że z trudem się utrzymywali w pionie. Zakręcał też i wił się, jakby jego twórcy rzadko się zgadzali co do tego, w jakim kierunku kopać.

Szli i szli, znowu spali. Żaden nie wiedział, czy to dlatego, że pokonali spory dystans, czy dlatego, że osłabli z głodu.

Kiedy się obudzili, znowu długo szli w milczeniu, lecz sen nie dodał im zbyt wiele sił. Jude szybko się zmęczył.

– Nie mogę iść dalej – powiedział. – Po co mnie namówiłeś na tę szaleńczą wyprawę?

– Mogłeś nie iść – odrzekł Tanar. – A gdybyś nie poszedł, to twoja bieda już by się skończyła, bo z pewnością wszystkich więźniów już dawno rozszarpano na kawałki w pieczarze Xaxa.

Jude zadygotał.

– Mógłbym umrzeć – powiedział. – Ale nie chciałbym, żeby te paskudy mnie rozdarły na kawałki.

– Tu czeka nas o wiele przyjemniejsza śmierć – pocieszył go Tanar – bo jak się na amen zmęczymy, to po prostu zaśniemy i już się nie obudzimy.

– Nie chcę umierać – zajęczał Jude.

– Nigdy mi nie wyglądałeś na szczęśliwego – stwierdził Tanar. – Sądziłem, że ktoś tak nieszczęśliwy umrze z zadowoleniem.

– Lubię być nieszczęśliwy – wyjaśnił Jude. – Wiem, że byłbym najbardziej zboleły będąc szczęśliwym. Ale i tak wolę żyć i być nieszczęśliwy niż martwy i nieznający swojego nieszczęścia.

– Nie upadaj na duchu – pocieszył go Tanar. – Musi być już niedaleko do końca tego tunelu. Mow go przeszedł i wcale nie mówił, że to był taki dystans, by zrobić się głodny i wyczerpany. A przecież przeszedł go nie tylko w jedną stronę: musiał zawrócić od otworu w stropie pieczary i dotrzeć do wyjścia.

– Coripisi nie jedzą zbyt wiele, są przyzwyczajeni do głodowania – stwierdził Jude. – No i mniej od nas śpią.

– Może i masz rację, ale jestem przekonany, że zbliżamy się do końca.

– Ja na pewno – rzekł Jude. – Lecz nie takiego końca bym sobie życzył.

Tak sobie rozmawiali, idąc powoli i nagle daleko przed nimi Tanar zauważył nikły poblask.

– Popatrz, światło. Zbliżamy się do wylotu.

To odkrycie dodało im sił i szybciej poszli tunelem w stronę drogi ucieczki. Światło przybierało na sile i na koniec dotarli do dużego korytarza, oświetlonego luminescencją fragmentów skał w ścianach i stropie – ale ani z prawa, ani z lewa nie dostrzegli dziennego światła.

– A teraz w którą stronę? – zapytał Jude.

Tanar potrząsnął głową.

– Nie wiem.

– Przynajmniej nie umrę w tym okropnym mroku – lamentował Jude.

I chyba właśnie ta ciemność najbardziej ciążyła obu Pellucidarczykom – bo dla ludzi żyjących pod słońcem wiecznego południa mrok, do którego nie są przyzwyczajeni, jest najokropniejszą rzeczą.

– Jednakże to światło, choć tak nikłe, dodaje mi ducha – oznajmił Tanar. – Jestem przekonany, że uciekniemy.

– Ale w którą stronę? – dopytywał się Jude.

– Skręcę w prawo – orzekł Tanar.

Jude potrząsnął głową.

– To na pewno zły kierunek.

– Skoro wiesz, że dobry jest w lewo, to idźmy w lewo – zgodził się Tanar.

– Nie wiem – odparł Jude. – Pewnie oba są złe.

– W porządku – roześmiał się Tanar. – Pójdziemy w prawo.

Skręcił i ruszył żwawo szerszym korytarzem.

– Zauważyłeś coś, Jude?

– Nie. A czemu pytasz?

– Czuję świeże powietrze z górnego świata i jeśli mam rację, to musimy być blisko wylotu tunelu.

Tanar prawie biegł. Nadzieja na uwolnienie przywróciła mu siły, zapomniał o zmęczeniu. Znaleźć się na świeżym powietrzu i w blasku dnia! Uwolnić się od wstrętnej ciemności i nieustającej groźbie ponownego wpadnięcia w łapy paskudnych monstrów z podziemi! Lecz blaskowi nadziei zaczął towarzyszyć lęk rozczarowania.

A co, jeśli świeże powietrze dostaje się do korytarza przez jakiś szyb o zbyt gładkich ścianach, jak Studnia Dźwięczącej Wody, w którą wpadł i dotarł do krainy Zagrzebanych Ludzi? Albo jeżeli tuż przed ucieczką natrafią na grupę Coripisów?

Te myśli tak zaciążyły Tanarowi, że wyhamował i znowu szedł powoli.

– O co chodzi? – zapytał Jude. – Przed chwilą biegłeś, a teraz się wleciesz. Tylko nie mów, że się pomyliłeś i że wcale się nie zbliżamy do wyjścia z tunelu.

– Nie wiem – odpowiedział Tanar. – Może lada chwila ogromnie się rozczarujemy i jeśli tak, to chcę to odwlec jak długo się da. Straszne byłoby, gdybyśmy teraz stracili nadzieję.

– Też tak myślę – zgodził się Jude, – ale właśnie tego się spodziewałem.

– Sądzę, że z rozczarowania czerpałbyś satysfakcję – stwierdził Tanar.

– Tak – przyznał Jude. – Pewnie tak. Taki już jestem.

– No to szykuj się do bycia nieszczęśliwym! – zawołał nagle Tanar. – Oto wyjście z tunelu.

Powiedział to, mijając zakręt tunelu, a kiedy Jude się znalazł obok niego, zobaczył światło dnia, wpadające przez znajdujący się przed nimi otwór – otwór, za którym ujrzał liście roślin i błękitne niebo Pellucidaru.

Kiedy obaj mężczyźni wyszli w słoneczny blask po długim uwięzieniu w trzewiach ziemi, musieli zasłonić oczy i powoli przywyknąć do jaskrawego blasku południowego słońca Pellucidaru.

Kiedy Tanar mógł odsłonić oczy i rozejrzeć się, przekonał się, że wylot tunelu był wysoko na urwistym zboczu wysokiej góry. Pod nimi zadrzewione wąwozy zbiegały ku ogromnemu lasowi, za którym leżały migotliwe wody oceanu, wyginającego się ku górze i niknącego w mglistej dali.

W pewnej odległości z trudem można było dostrzec na oceanie wyspę.

– To jest wyspa Hime – oznajmił Jude.

– Ach, gdybym i ja mógł stąd zobaczyć mój kraj, byłbym bezgranicznie szczęśliwy – westchnął Tanar. – Zazdroszczę ci, Jude.

– Widok Hime wcale mnie nie cieszy – powiedział Jude. – Nie cierpię jej.

– Czyli nie spróbujesz tam wrócić?

– Ależ z pewnością spróbuję.

– Ale po co?

– To jedyne miejsce, gdzie mogę pójść – burknął Jude. – Na Hime przynajmniej nie zabiją mnie bez powodu, jak zrobiliby wszyscy obcy, gdybym poszedł gdzie indziej.

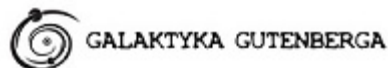
Uwagę Jude'a nagle przyciągnęło coś na niewielkiej polanie, leżącej na górnym końcu wąwozu, zaczynającego się trochę poniżej wlotu tunelu.

– Spójrz! – zawołał. – Tam są ludzie!

Tanar popatrzył w tamtą stronę i kiedy zobaczył postaci w dole, to jego oczy najpierw zrobiły się wielkie z niedowierzania, a potem zwęziła je wściekłość.

– Boże! – zakrzyknął i ruszył pospiesznie w dół, ku postaciom na polance.

9. MIŁOŚĆ I ZDRADA



Stellara, leżąc na posłaniu z traw w cieniu dużego drzewa ponad plażą, gdzie Korsarianie kończyli łódź, mającą ich zawieźć na Korsar, wiedziała, że gorączka minęła i że szybko wraca do sił; lecz przekonała się, że choroba – prawdziwa lub udawana – chroni ją przed Boharem, więc dalej pozwalała Korsarianom wierzyć, iż jest chora. Bez przerwy układała różne plany ucieczki, lecz wolała odkładać próbę jak długo się da; nie tylko dlatego, że chciała zgromadzić spory zapas sił, ale i dlatego, że sobie uświadomiła, że jeśli poczeka, aż łódź będzie gotowa, to większość Korsarian na pewno się nie zgodzi na odwleczenie rejsu tylko po to, żeby Bohar mógł ruszyć w pościg i znowu ją schwytać. Musiała też wybrać chwilę, kiedy żadnego z Korsarian nie będzie w obozie, bo na miejscu był zawsze jeden z dwóch wyznaczonych do przygotowywania jedzenia i trzymania straży; toteż było całkiem możliwe, że nigdy się jej nie nadarzy wyczekiwana okazja. Postanowiła jednak, że to ją nie powstrzyma przed próbą ucieczki.

Wiedziała, że wszyscy będą musieli wziąć udział w wodowaniu łodzi – i na to liczyła. Z rozmów, które podsłuchiwała, wynikało, że Bohar miał zamiar spuścić łódź na wodę jak tylko kadłub będzie gotowy i resztę prac dokończyć jak już będzie pływała w małej zatoczce przy plaży.

Nie będzie to wymagało ani dużo czasu, ani wysiłku, bo maszt, żagiel i takielunek były już gotowe; pęcherze i tykwy na świeżą wodę przyszykowane, żywność i zapasy na rejs zgromadzone przez łowców – zaszyte w skóry i trzymane w dole, pod warstwą ziemi.

Stellara ze swojego posłania z traw pod wielkim drzewem przyglądała się, jak postępują prace nad kadłubem łodzi, mającej zawieźć Bohara i jego ludzi do Korsar i obmyślała sposoby ucieczki.

Ponad obozem wznosiły się zalesione stoki wzgórz, przez które będzie musiała przejść, wracając do Paraht. Najpierw drzewa rosły rzadko, potem zaczynał się gęsty las. Jeśli zdoła tam dotrzeć niezauważona, to może mieć nadzieję na udaną ucieczkę, bo w gęstwinie będzie mogła wykorzystać to, czego się nauczyła od Tanara i przemieszczać się po gałęziach, nie zostawiając tropu, którym mógłby pójść Bohar i jednocześnie unikając ataku groźnych leśnych zwierząt, co prawda nielicznych, ale nadal grasujących na Amiocapie. Chyba najbardziej przerażającym z nich był tarag, wielki szablastozębny tygrys, niegdyś żyjący na wzgórzach zewnętrznej skorupy. Tandorów mniej się obawiała, bo rzadko atakują nie niepokojone. Na wzgórzach, przez które musiała przejść, najgroźniejsze były tarag, ryth i olbrzymi niedźwiedź jaskiniowy czyli *Ursus spelaeus*, od dawna już wymarłe na zewnętrznej skorupie. Niezbyt się obawiała mieszkańców Amiocapu, których mogłaby spotkać, nawet jeśli byłiby z innych niż jej plemion; za to drżała na samą myśl, że mogłaby wpaść w łapy Coripisów, bo te groteskowe monstra budziły w niej większy lęk niż wszystkie inne ewentualne niebezpieczeństwa.

Radość z planowanej ucieczki i powrotu do ojca przyćmiła świadomość, że nie powita jej tam Tanar.

Domniemana śmierć Sarianina rzucała na jej szczęście cień, którego nic nigdy nie rozwieje; a jej żal był tym większy, że nigdy nie powiedzieli sobie słów miłości i dlatego nie mogła się pocieszać radosnymi wspomnieniami, które by przyniosły jej ulgę.

Prace nad kadłubem łodzi wreszcie zakończono i mężczyźni, wracający do obozu na posiłek, z nadzieją mówili o bliskim rejsie na Korsar. Bohar podszedł do posłania Stellary i stał, gniewnie na nią patrząc; jego paskudną gębę wykrzywił złośliwy grymas.

– Jak długo jeszcze zamierzasz wylegiwać się tutaj, całkiem dla mnie bezużyteczna? – zapytał. – Jesz i śpisz, nie masz już wypieków od gorączki. Coś mi się zdaje, że udajesz chorobę, żeby się uchronić od wypełniania obowiązków mojej kobiety. Dostanie ci się za to, jeżeli to prawda! Wstawaj!

– Jestem za słaba – odpowiedziała Stellara. – Nie mogę wstać.

– Jest na to rada – warknął Bohar; chwycił ją za włosy, podniósł z posłania i postawił na nogi.

Kiedy ją puścił, Stellara się zachwiała, nogi jej drżały, kolana się pod nią ugięły i upadła na posłanie – tak znakomicie to odegrała, że zmyliła nawet Bohara..

– Chora i umierająca – burknął jeden z Korsarian. – Po co mielibyśmy ją zabierać do przepelnionej łodzi, żeby jadła i piła wodę, z braku której niektórzy z nas mogą umrzeć zanim dotrzemy do Korsaru?

– Racja! – zakrzyknął inny. – Zostawmy ją!

– Pchnij ją nożem – dodał trzeci. – Jest do niczego.

– Zamknąć się! – wrzasnął Bohar. – Będzie moją kobietą i płynie z nami – wyciągnął swoje dwa duże pistolety. – Kto się sprzeciwia zostanie tutaj z kulką w bebechach. Żryjcie teraz, wściekłe psy i to szybko, bo będziecie mi wszyscy potrzebni, żeby zwodować kadłub, jak się już najecie.

Czyli będą wodować kadłub! Stellara zadrżała z podniecenia, bo oto zbliżała się chwila wyrwania się na wolność. Niecierpliwie patrzyła, jak Korsarianie pochłaniają jedzenie niczym zgraja wygłodniałych wilczków. Widziała, jak niektórzy po posiłku padają, żeby pospać, ale Bohar Krwawy obudził ich kopniakiem i pod lufą pistoletu zapędził na plażę; zabrał wszystkich, po raz pierwszy od porwania jej z wioski starszego Fedola zostawiając Stellare samą i bez straży.

Patrzyła, jak schodzą ku kadłubowi i zaczęła, aż ich całkiem pochłonie spychanie na morze ciężkiej łodzi. Potem wstała z posłania i jak spłoszony królik czmychnęła ku lasom na stokach ponad obozem.

Zrządzenia losu, na które nie mamy wpływu, często decydują o powodzeniu lub klęsce naszych najważniejszych planów. Są

dziełem bogów, od których zależy nasza przyszłość.

Bohar Krwawy przez przypadek obejrzał się w stronę obozu akurat wtedy, kiedy Stellara wstała z posłania, żeby się wyrwać na wolność.

Zaklął, rzucił robotę przy spychaniu łodzi i nawołując ludzi, żeby za nim poszli, rzucił się stromym stokiem w pościg.

Tamci rzutem oka ocenili sytuację i zawahali się.

– Niech sobie ściga własną kobietę – burknął jeden.

– Co nam do tego? Nasza sprawa to zwodowanie łodzi i przygotowanie jej do rejsu na Korsar.

– Racja – poparł go kolejny. – A jeśli nie wróci na czas, to popłyniemy bez niego.

– Dobra! – krzyknął trzeci. – No to się spieszymy, żeby zdążyć zanim wróci!

I tak Bohar Krwawy samotnie ścigał Stellare. Może to i lepiej dla dziewczyny, bo wśród Korsarian było wielu bardziej rączych niż napakowany Bohar.

Stellara natychmiast się zorientowała, że odkryto jej próbę ucieczki, bo Bohar gromkim wrzaskiem kazał się jej zatrzymać; ale tylko przyspieszyła i po chwili dotarła do lasu, znikając Boharowi z oczu.

Od razu wspięła się na drzewa, licząc, że w ten sposób mu się wymknie, chociaż wiedziała, że teraz już nie będzie taka szybka. Słyszała, jak się przedziera przez podszyt i zorientowała się, że prędko się zbliża, ale to jej nie zdenerwowało, bo wierzyła, że Bohar nie wpadnie na to, że ona siedzi na gałęziach drzew; i póki będzie się kryć w gęstym listowiu, to on może przejść pod nią, nie mając pojęcia, jak jest blisko – i faktycznie tak się stało; minął ją, klnąc i dysząc, prąc w górę stromej stoku.

Stellara słyszała, jak ją mija i gna dalej. Potem skrzyła w prawo od szlaku Bohara i wkrótce odgłosy jego pościgu ucichły w oddali. Wtedy znowu skrzyła w górę, ku wzniesieniom, które musiała minąć w drodze do Parah.

Bohar parł pod górę, aż wreszcie musiał się zatrzymać, wyczerpany. Był na niewielkiej polance; położył się na trawie,

pod krzakiem, który nie tylko osłaniał go przed słońcem ale i krył przed czymś wzrokiem, bo na dzikim Pellucidarze zawsze dobrze jest odpoczywać w ukryciu. Kłębiły mu się w głowie gniewne myśli. Przeklinał sam siebie za to, że zostawił dziewczynę samą w obozie i przeklinał dziewczynę za to, że uciekła; przeklinał los, który go zmusił do wdrapywania się po tym stromym stoku w tym beznadziejnym pościgu; a przede wszystkim przeklinał swoich ludzi, którzy jak się wreszcie zorientował wcale za nim nie poszli. Wiedział, że stracił dziewczynę i że szukanie jej byłoby jak wypatrywanie w morzu konkretnej ryby. Dlatego, kiedy odpoczął, zamierzał wrócić obozu; ale jego uwagę przyciągnął nagle hałas w niższej części polany. Instynktownie sięgnął po jeden z pistoletów i ku swojej rozpaczy przekonał się, że oba zniknęły; najwyraźniej wyśliznęły mu się z pasa albo zaczepiły o coś, kiedy parł pod górę przez podszyt.

Bohar, pomimo przechwałek i fanfaronady, wcale nie był odważny. Bez broni był skończonym tchórzem, toteż kulił się w swojej kryjówce i wyteżał wzrok, żeby zobaczyć, skąd ten hałas. A kiedy tak patrzył, jego ohydne usta wykrzywił triumfalny uśmiezek, bo ujrzał, jak na drugim końcu polany Stellara zeskakuje z niższych gałęzi drzewa i idzie polaną ku niemu.

Kiedy dziewczyna znalazła się przy jego kryjówce, Bohar Krwawy skoczył na równe nogi i stanął przed nią. Stellara ze zduszonym okrzykiem rozpaczy, odwróciła się i chciała uciec, ale Korsarianin był zbyt blisko i zbyt szybki – złapał ją brutalnie za włosy.

– Nigdy się nie nauczysz, że nie uciekniesz Boharowi Krwawemu? Jesteś moja i za to, jak już będziesz w łodzi, obetnę ci obie stopy w kostkach, żebyś już nigdy nie mogła ode mnie uciec. Oddaj mi się z własnej woli, a będę dla ciebie łagodniejszy – i wziął szczupłą dziewczynę w objęcia.

– Nigdy! – wykrzyknęła Stellara i obiema pięściami uderzyła go w twarz.

Bohar zaklął, złapał dziewczynę za gardło i potrząsnął nią.

– Ty rythcico! – wrzasnął. – Gdybym cię tak nie pragnął, to bym cię zabił! I na boga Korsarian, jeśli mnie znowu uderzysz, to cię zabiję!

– No to zabij – zawołała Stellara, – bo wolę umrzeć niż do ciebie należeć!

I znowu z całej siły walnęła go w twarz.

Bohar zapienił się z wściekłości i mocno zacisnął palce na miękkiej szyi dziewczyny.

– No to giń, ty...

Słowa zamarły mu na ustach i gwałtownie się odwrócił, bo usłyszał gniewny głos mężczyzny.

Kiedy tak stał, wahając się i patrząc w stronę głosu, z gęstwiny na górnym końcu polany wypadł wojownik i pognął ku niemu.

Bohar zbladł, jakby zobaczył ducha, a potem rzucił dziewczyną o ziemię i stawił czoło wojownikowi. Uciekłby, gdyby sobie nie uświadomił, że to bezcelowe, bo jaką szansę miałyby w wyścigu z tym gibkim mężczyzną, który pędził ku niemu z gracją i szybkością jelenia.

– Odejdź! – zawołał Bohar. – Zostaw nas w spokoju. To moja kobieta.

– Łziesz – warknął Tanar z Pellucidaru, rzucając się na Korsarianina.

Upadli, Sarianin na górze, a każdy chciał złapać drugiego za gardło, ale im się nie udało i na oślep jeden drugiego bił w twarz.

Tanar oszalał z wściekłości. Walczył jak dzika bestia, zapominając o wszystkim, czego nauczył go David Innes. Chciał zabić; wszystko jedno jak byle zabić. Bohar, walcząc o życie, bił się jak ktoś przyparty do muru. Był cięższy i miał dłuższe ręce, ale Tanar górował nad nim zręcznością i odwagą.

Stellara powoli otworzyła oczy, budząc się z omdlenia po duszeniu przez Bohara Krwawego. Początkowo nie rozpoznała Tanara, widząc dwóch walczących na śmierć i życie wojowników i zgadując, że będzie łupem zwycięzcy. Lecz w trakcie walki Tanar znalazł się twarzą ku niej.

– Tanar! – zawołała. – Bóg jest łaskawy. Myślałam, że nie żyjesz, a On mi cię oddał.

Na te słowa Sarianin podwoił wysiłki, żeby pokonać przeciwnika, ale Boharowi udało się chwycić go za gardło.

Stellara, przerażona, rozejrzała się za jakimś kamieniem albo patykiem, żeby przyjść z pomocą swojemu wybrakowi, ale zanim coś znalazła, zorientowała się, że nie potrzebna mu pomoc. Potężnym szarpnięciem wyrwał się Boharowi i poderwał na nogi.

Korsarianin natychmiast też skoczył na równe nogi i pochylając głowę ruszył na Sarianina – zaatakował jak rozszalały byk.

Tanar teraz walczył, chłodno kalkulując. Minęła wściekłość, wywołana widokiem Stellary, duszonej przez Korsarianina. Spodziewał się ataku Bohara i kiedy się zderzyli, otoczył ramieniem głowę Korsarianina i prędko się odwróciwszy przerzucił go przez ramię i cisnął na ziemię. Potem zaczął czekać.

Bohar znowu się podniósł, potrząsając głową. Znowu zaatakował Sarianina i znowu silne ramię otoczyło mu głowę i ponownie rzucono nim o ziemię.

Tym razem nie podniósł się tak szybko i łatwo. Wstał chwiejnie, dotykając głowy i szyi.

– Szykuj się na śmierć – warknął Tanar. – Umrzesz za to, co zrobiłeś Stellarze.

Bohar, z krzykiem wściekłości zmieszanej ze strachem, wpadł w szal i znowu zaatakował Sarianina i po raz trzeci jego potężne cielsko wyleciało w powietrze i ciężko walnęło o ziemię – ale tym razem się nie podniósł; i nic dziwnego, bo Bohar Krwawy leżał ze skrzyconym karkiem.

Tanar z Pellucidaru stał przez chwilę w gotowości nad powalonym przeciwnikiem, ale kiedy dotarło do niego, że Bohar nie żyje, odwrócił się od niego z grymasem niechęci.

Stała przed nim Stellara, w jej pięknych oczach było i niedowierzanie i szczęście.

– Tanar! – wyszeptała tak znacząco, że zadrżał.

– Stellaro! – zawołała, obejmując ją. – Kocham cię!

Objęła go za szyję, przyciągnęła jego twarz do swojej. Pocałował ją, a kiedy cofnął głowę, żeby na nią spojrzeć, z jej rozchylnych ust wyrwał się okrzyk „Och, Boże!”, z półprzymkniętych oczu wyczytał bezgraniczną miłość.

– Moja małżonka! – wykrzyknął, tuląc ją do siebie.

– Mój małżonek! – wyszeptała Stellara. – Póki życia i potem w śmierci, na zawsze.

Nagle podniosła wzrok i cofnęła się.

– Kto to jest, Tanarze?

Tanar odwrócił się i spojrział, gdzie wskazywała i zobaczył Jude'a, wychodzącego z lasu na górnym krańcu polany.

– To Jude – wyjaśnił. – Uciekł razem ze mną z krainy Zagrzebanych Ludzi.

Jude szedł ku nim, jak zwykle skrzywiony.

– Przeraza mnie – powiedziała Stellara, mocniej przytulając się do Tanara.

– Nie musisz się go bać – powiedział Sarianin. – Zawsze jest skrzywiony i nieszczęśliwy, ale to mój przyjaciel. A gdyby nawet nim nie był, to jest nieszkodliwy.

– Nie lubię go – szepnęła Stellara.

Jude podszedł i stanął przed nimi. Przez chwilę patrzył na ciało Bohara, a potem wlepił oczy w Stellarę i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Chytrość i zuchwałość tego spojrzenia bardziej zaniepokoiła dziewczynę niż posępny grymas.

– Co to za kobieta? – zapytał, nie odrywając oczu od jej twarzy.

– Moja małżonka – odparł Tanar.

– Czyli idzie z nami? – spytał Jude.

– Oczywiście – odpowiedział Sarianin.

– A gdzie idziemy? – zapytał Jude.

– Stellara i ja wracamy do Paraht, gdzie jej ojciec, Fedol, jest starszym – powiedział Tanar. – Możesz pójść z nami, jeśli chcesz. Zadbamy, żeby cię przyjęto jak przyjaciela i dobrze traktowano, póki nie znajdziesz sposobu powrotu na Hime.

– On jest z Hime? – zapytała Stellara, a Tanar ścisnął jej ramię.

– Jestem z Hime – odparł Jude – ale mogę tam nie wracać, jeżeli twoi pozwolą mi z nimi zostać.

– O tym musi zdecydować Fedol ze swoimi ludźmi – oznajmił Tanar. – Lecz mogę obiecać, że pozwolą ci zostać jeśli nie na stałe, to przynajmniej póki nie znajdziesz sposobu powrotu na Hime. A teraz zjedźmy i prześpijmy się, zanim wyruszymy do Paraht.

Trudno było coś upolować bez broni i przeszli spory kawałek w górę stoku, zanim obu mężczyznom udało się celnymi rzutami kamieni zabić parę dużych ptaków. Ptaki bardzo przypominały dzikie indyki i miały wspólnych przodków z dzikimi indykami z zewnętrznej skorupy. Łowy zaprowadziły ich na rozległy płaskowyż tuż pod szczytem wzgórz. Był to falisty teren, porośnięty wysoką po pas bujną trawą; tu i tam wielkie drzewo albo kępa drzew oferowały osłonę przed pionowo padającymi promieniami stojącego w zenicie słońca.

Zatrzymali się przy strumyku, wesoło płynącym ku morzu.

Jude zebrał drewno, a Tanar rozpalil ogień prymitywną metodą, energicznie kręcąc zaostrzonym patykiem w wypełnionej podpałką dziurze w większym kawałku suchego drewna. Stellara przygotowała ptaki i już wkrótce indyki piekły się nad ogniem.

Nasycili głód i zrobili się senni. Jude nalegał, że to on weźmie pierwszą wartę, bo nie był jak Tanar zmęczony walką. Stellara i Sarianin położyli się w cieniu drzewa, a naburmuszony Himeańczyk trzymał straż.

Nawet na względnie bezpiecznym Amiocapie zawsze może się czaić jakieś niebezpieczeństwo – a to dzikie zwierzę, a to polujący człowiek; ale wartownik nie rozglądał się czujnie wokół. Przykucnął i pożerał wzrokiem Stellare. Tylko od czasu do czasu odrywał spojrzenie od pięknej dziewczyny i zerkał na Tanara – spokojny oddech wskazywał, że Sarianin głęboko śpi.

Co by sobie nie myślał, patrząc na śpiącą piękną dziewczynę, wciąż był ponury i skrzywiony.

Podniósł się bezszelestnie i zerwał garść miękkiej trawy, zrobił z niej kulkę. Potem podkradł się do Stellary i ukląkł obok niej. Nagle pochylił się nad nią i chwycił ją za gardło; jednocześnie przycisnął jej do ust dłoń z kulką z trawy.

Stellara, zniecka wyrwana z głębokiego snu, zobaczyła ponuro skrzywionego Himeanina i otworzyła usta, żeby wołać o pomoc. Jude tylko na to czekał – wepchnął jej głęboko w usta kulkę z trawy, postawił dziewczynę na nogi, przerzucił sobie przez ramię i prędko poniósł przez płaskowyż.

Stellara szarpała się i walczyła, chcąc się uwolnić, ale bez skutku, bo Jude był krzepki. Niósł ją tak, że obie ręce miała unieruchomione. Kulka z trawy rozděła się jej w ustach i nie mogła jej wypchnąć językiem. Jeden krzyk obudziłby Tanara, który by pospieszył na ratunek – ale nie mogła krzyknąć.

Himeanin niósł dziewczynę przez falisty płaskowyż na skraj stromego klifu, sterczącego nad oceanem w górnym krańcu głębokiej zatoki, głęboko się tutaj wcinającej w wyspę. Tu Jude postawił Stellare, ale dalej mocno trzymał ją za rękę.

– Słuchaj, kobieto! – warknął. – Jedziesz na Hime, żeby być małżonką Jude’a. Jeżeli pójdziesz spokojnie, to nic złego ci się nie stanie; a jeśli obiecasz, że się nie będziesz darła, to wyjmę ci knebel. Obiecujesz?

Stellara zdecydowanie potrząsnęła głową na „nie”, szarpiąc się przy tym z Jude’em, żeby się uwolnić.

Warknął paskudnie i mocno ją uderzył, upadła nieprzytomna. On zaś zebrał długie źdźbła traw i skreślił z nich linę, którą związał kostki i przeguby dziewczyny. Potem znowu zarzucił ją sobie na ramię i ledwo widoczną ścieżką zaczął schodzić z klifu.

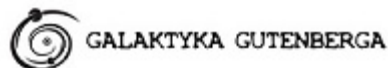
Nie było wątpliwości, że Jude znał tę ścieżkę, bo bezbłędnie do niej trafił, a teraz schodził nią pewnie i z łatwością.

Po jakichś stu stopach znalazł się na niewielkim występie, niemal tuż nad wodą.

Tutaj Stellara odzyskała przytomność; otworzyła oczy i zobaczyła wymytą przez wodę grootę, głęboko wnikającą w urwisko.

I to tam zaniósł ją Jude – aż na drugi koniec groty, gdzie na wąskiej kamienistej plaży leżało sześć dłubanek: lekkich kanoe Himenian. W jednej z nich umieścił dziewczynę, wypchnął kanoe na głębokie wody zatoki; wskoczył do łódki, chwycił wiosło i obrał kurs na pełne morze.

10. POŚCIG



Tanar obudził się z głębokiego, krzepiącego snu; otworzył oczy i leżał, patrząc na liście wznoszącego się nad nim drzewa. Uśmiechał się, pełen radosnych myśli. Zerknął ku Stellarze, chcąc nacieszyć oczy urodą małżonki. Nie było jej tam, gdzie ją ostatnio widział, skuloną na posłaniu z traw. Ale się nie zaniepokoił, uznał, że pierwsza się obudziła i wstała.

Rozejrzał się po obozowisku i z pełnym zaskoczenia okrzykiem poderwał na nogi – uświadomił sobie, że Jude i Stellara zniknęli. Znowu się rozejrzał, tym razem po większym obszarze, ale nigdzie nie dostrzegł śladu ni jego, ni jej.

Wołał ich, ale odpowiedzi nie było. Przyjrzał się ziemi w obozowisku. Zobaczył gdzie spała Stellara; dostrzegł ślady podchodzącego do niej Himeanina. Ujrzał i inne tropy, prowadzące poza obóz; ślady samego Jude'a. Lecz zdeptane przez tamtego trawy wszystko mu opowiedziały – przygięły się tak nie pod ciężarem jednego człowieka; wyczytał z nich, że Jude niósł Stellarę i Tanar już wiedział, że nie odeszła z własnej woli.

Szybko poszedł wyraźnym tropem przez wysokie trawy, obojętny na wszystko poza poszukiwaniem Stellary i ukaraniem Jude'a. Toteż nie zauważył podążającego jego śladem groźnego zwierza.

Szli przez płaskowyż – człowiek i cicho podążająca jego tropem wielka bestia. Ślad prowadził na urwisko ponad morzem. Tutaj Tanar na chwilę się zatrzymał i spojrzął na ocean; zobaczył w oddali kanoe, a w nim dwie postacie: mógł się tylko domyślać, kim byli, bo z tej odległości nie mógł ich rozpoznać.

Kiedy tak stał, zaszokowany, jego uwagę przyciągnął dobiegający z tyłu cichy dźwięk, który na moment wytrącił go z żalu i gniewu. Odwrócił się – a tam, nawet nie o dziesięć kroków od niego, stał warczący tarag.

Kły szablozębnego lśniły w słońcu; pysk wykrzywił gniewny grymas. Bijący ogon nagle znieruchomiał, tylko jego koniuszek lekko drgał. Bestia przysiadła i Tanar wiedział, że zaraz zaatakuje.

Samotny, nie mający broni człowiek wydawał się drapieżcy łatwym łupem. Zwłaszcza, że nie miał jak uciec.

To wszystko przemknęło przez myśl Sarianinowi, lecz nie zatarło obrazu dwóch postaci w kanoe na daleko na morzu; ani klifu wystającego nad wody leżącej w dole zatoki. A potem tarag zaatakował.

Ohydny ryk wyrwał się z gardzieli i wielka bestia rzuciła się naprzód, szybka jak błyskawica. Dwa wielkie susy – w połowie drugiego Tanar się odwrócił i skoczył ze skraju klifu; inaczej pozostałoby mu śmierć w kłach i pazurach szablozębnego.

Tuż pod powierzchnią wody mogły być ostre skały, lecz istniała szansa, że woda jest głęboka – zaś na klifie nie miał najmniejszej szansy na przeżycie.

Impet wielkiego kota, niepowstrzymany przez ciało upatrzonej ofiary, wyniósł go poza skraj klifu – człowiek i wielki kot spadali niemal ramię w ramię do wody w dole.

Tanar czysto wszedł wodę, wyciągając ręce; szybko zakręcił i wypłynął na powierzchnię, jakiś jard od miejsca, w którym spadł wielki kot.

Znaleźli się twarzą w twarz i na widok człowieka tarag zaczął znowu wydawać ohydne ryki i szybko ruszył ku niemu.

Sarianin wiedział, że w wodzie bez trudu wyprzedzi taraga, za to na brzegu znajdzie się na łasce wielkiego drapieżnika. Parskający pysk był blisko, pazury sięgały ku niemu – Tanar z Pellucidaru zanurkował pod bestię.

Parę silnych pociągnięć rąk zaniósło go za kota i chwilę później chwycił za futro. Tarag szybko się odwrócił, żeby

zaatakować, ale człowiek już siedział mu na barkach i wgniatał swoim ciężarem pod wodę.

Oszalały zwierz, krztusząc się i szarpiąc, próbował sięgnąć pazurami miękkiego ciała człowieka, lecz w wodzie jego zwykłe sposoby ataku i obrony były bezużyteczne. Tarag raz dwa sobie uświadomił, że śmierć spojrzy mu w ślepią, o ile prędko nie przewycięży tego utrudnienia i teraz wyęczał wszystkie siły, chcąc dotrzeć na ląd. Zaś Tanar starał się temu zapobiec. Przesunął dłonie z futrzastych barków na gardziel i jak stalowe szpony wbił je w napięte mięśnie.

Tarag już nie ryczał, a i człowiek walczył w milczeniu.

To był zażarty, straszliwy pojedynek. Brutalna walka, do jakiej mogło dojść tylko w bardzo młodym świecie, pomiędzy prymitywnymi istotami, które nigdy się nie poddawały, póki nie skosił ich Ponury Żniwiarz.

W głębi mrocznej pieczary pod klifem tarag walczył o skrawek plaży w drugim jej końcu, a człowiek starał się go tam nie dopuścić i wepchnąć mu łeb pod wodę. Czuł, że bestia słabnie, lecz byli bardzo blisko plaży. Wielkie pazury w każdej chwili mogły natrafić na dno i Tanar wiedział, że w ogromnym cielsku zostało jeszcze dość wigoru, żeby go rozszarpać na strzępy, gdyby tarag stanął czterema łapami na twardym gruncie i wynurzył łeb z wody.

W ostatnim, największym wysiłkiem zacisnął palce na gardzieli taraga, zsunął się z jego grzbietu i ciągnął w tył; zaś zwierz ostatni raz zawalczył o życie. Stanął dęba w wodzie, odwrócił i zaatakował. Pazury orały mu ciało, ale Tanar znów się znalazł na grzbiecie bestii i ponownie wepchnął łeb pod powierzchnię morza. Poczul jak spazm wstrząsa wielkim cielskiem; mięśnie się rozluźniły, tarag zwiotczał.

Chwilę potem Tanar wywlókł się na plażę i leżał, dysząc z wyczerpania. Szybko odzyskał siły, tak nagłący był nakaz pościgu za nimi. Wstał i rozejrzał się. Zobaczył wyciągnięte na kamienistą plażę kanoe, jakich jeszcze nigdy nie widział. W każdym leżały wiosła, jakby łodzie czekały na rychły powrót właścicieli. Tanar nie wiedział, skąd przybyły i co robiły w tej

pieczarze. Nie były podobne do kanoe Amiocapian, więc uznał, że należały do ludzi z jakiejś innej wyspy, a może i z kontynentu. Ale teraz nie zaprzętał sobie tym głowy. Były tu kanoe. Mógł ścigać tych dwoje, których dojrzał daleko na morzu, czyli – o czym był przekonany – Jude’a i Stellarę.

Zaciągnął jedną łódkę na skraj plaży, zepchnął na wodę. Potem wskoczył do niej i prędko powiosłował przez zatokę na pełne morze; teraz mógł się bliżej przyjrzeć kanoe.

Bez wątpienia było zrobione z kłody bardzo lekkiego drewna; na obu miało coś w rodzaju siedziska, na którym mogło usiąść trzech mężczyzn.

Poskrobał wiosłem pokład i obie grodzie – upewnił się, że kłoda została całkowicie wydrążona pod pokładem, a obie grodzie zostały tak dokładnie wpasowane, że były wodoszczelne. Domyślał się, że kanoe było niezatapialne.

Potem jego uwagę przyciągnęła dobrze wyprawiona i wytarta skóra, leżąca na dnie kokpitu, opleciona dokoła rzemieniem. Kiedy próbował się domyślić, po co ją tu położono, zauważył kołki wokół obrzeża kokpitu i uznał, że skóra miała go zakrywać. Przyjrzał się jej dokładniej i znalazł otwór o wymiarach ludzkiego ciała i już wiedział. Kiedy skórę ciasno przymocowano do kokpitu oraz zaciśnięto wokół ciała żeglarza, kanoe nie nabierało wody i mogło pływać nawet w największy sztorm.

Sarianin zdawał sobie sprawę, że żaden z niego żeglarz, toteż nie marnował czasu i raz dwa skorzystał z tej dodatkowej ochrony przed żywiołami; przymocował skórę do obrzeży kokpitu, zacisnął ściągający otwór rzemień wokół własnego ciała i poczuł się tak bezpiecznie jak nigdy przedtem, kiedy to był zmuszony wystawić się na nieznane morskie zagrożenia.

Teraz pospiesznie wiosłował tam, gdzie ostatni raz widział kanoe z dwojgiem ludzi. Kiedy wypłynął z zatoki na otwarte morze, znowu ich dostrzegł, ale tak daleko, że łódka z nimi była tylko punkcikiem na rozległej powierzchni wód. Lecz tym razem za nimi wyłaniała się wyspa, którą Jude nazwał Hime,

co utwierdziło Tanara w przekonaniu, że tamtym kanoe płynie Jude, kierując się ku wyspie swojego plemienia.

Na otwartych morzach Pellucidaru małe kanoe natrafiają na przeszkody, które ludziom z zewnętrznej skorupy wydałyby się nie do przewyciężenia, bo tutaj roi się od gadzich potworów z minionych epok geologicznych. I właśnie takich spotkań Sarianin z gór bał się o wiele bardziej niż przeciwnych wiatrów czy niesionych przez nie burz.

Zauważył, że na jednym końcu długiego wiosła jest osadzony zaostrzony kawałek ciosu tandora; lecz i tak wyglądało to na marną broń do walki z tandorazem czy azdyrythem, najpotężniejszymi i najgroźniejszymi mieszkańcami głębin. Na szczęście jak okiem sięgnąć widział tylko długie, oleiste fale spokojnego oceanu, z którego nie wynurzały się żadne morskie stwory.

Tanar, świadomy swojego braku doświadczenia i nikłych umiejętności wiosłarskich, nie oczekiwał, że dogoni kanoe prowadzone przez doświadczonego Jude'a. Mógł co najwyżej mieć nadzieję, że nie straci go z oczu, póki nie zauważy, w którym miejscu przybije do Hime. Wiedział, że na stałym gruncie – chociaż była to wyspa zamieszкана przez nieprzyjaciół – poradzi sobie ze wszystkim.

Zarysy Hime stopniowo stały się wyraźne, zaś te Amiocapu się rozmyły.

Pomiędzy nim a Hime wciąż na powierzchni oceanu był punkcik, co świadczyło, że ścigany jeszcze nie dobił do brzegu. Pościg wydawał się nie mieć końca. Hime oddalała się niemal z taką samą prędkością, z jaką się do niej zbliżał. Chciało mu się jeść i pić, ale nie miał ani wody, ani żywności. Mógł jedynie pracować wiosłem w monotonnej morderczej pościgu; ale w końcu szczegóły linii brzegowej zrobiły się wyraźniejsze. Zobaczył zatoki i wąskie zatoczki, lesiste wzgórza; a potem kanoe, które ścigał, zniknęło w oddali w wejściu do zatoki. Tanar zapamiętał to miejsce i podwoił wysiłki, żeby dopłynąć do brzegu. A potem włączył się los i pokrzyżował wszystkie jego nadzieje i zamiary.

Pierwszym ostrzeżeniem było nagłe wzburzenie się wody daleko po jego prawej. Potem wiatr, niczym dłoń olbrzyma, pochwycił jego małą łódeczkę i ustawił ją pod kątem do kursu, którym Tanar chciał płynąć. Fale urosły, zawył wicher; rozszalał się sztorm i można było tylko zawrócić i uciekać przed nim.

Pędził równoległe do wybrzeża, coraz dalej od miejsca, w którym wylądował Jude ze Stellarą. Tanar cały czas się starał podpływać bliżej i bliżej do lesistych stoków Hime.

Przed sobą, po swojej prawej, dostrzegał coś wyglądającego jak koniec wyspy. Uświadomił sobie, że jeśli go wyniesie dalej, to wszystko będzie stracone, bo sztorm pogna go tak daleko, że straci z oczu wyspę – a wtedy ani nie dotrze do Hime, ani nie wróci na Amiocap, bo w żaden sposób nie ustali kierunku, kiedy ląd zniknie mu z oczu w mglistej, wyginającej się ku górze dali.

Tanar, wyężdżając wszystkie siły i nieustannie ryzykując, że wywróci się dnem do góry, starał się płynąć ku wybrzeżu; i chociaż widział, że mu się to udaje, to wiedział, że już za późno, bo był już niemal na wysokości końca wyspy, lecz wciąż o sto jardów od brzegu. Mimo to nie tracił nadziei, a jeśli nawet i tracił, to nie przestawał walczyć o ratunek.

Widział, że mija wyspę, lecz jeszcze miał szansę, bo na zawietrznej zobaczył spokojną wodę – jeśli uda mu się tam dotrzeć, to będzie uratowany.

Sarianin, wyężdżając wszystkie siły, napał na wiosło. Wiatr nagle ustał i kanoe wyskoczyło na spokojną wodę na zawietrznej wyspy. Lecz Tanar nie zaprzestał wysiłków póki kanoe nie dotknęło dziobem piasków Hime.

Wtedy wyskoczył z łódki i wciągnął ją na brzeg. Wątpił, żeby jeszcze kiedyś było mu potrzebna, ale schował ją w pobliskich zaroślach i – samotny i bez broni – wyruszył stawić czoło niebezpieczeństwu nieznannej krainy; wyruszył na poszukiwanie Stellary (choć nawet jemu wydawało się to niemal beznadziejną sprawą).

Uznał, że najrozsądniej będzie wrócić brzegiem do miejsca, w którym wylądował Jude i potem znaleźć trop prowadzący

w głąb wyspy.

Tanar, będąc w obcym kraju (czyli z założenia wrogim) i nie mając broni, musiał poruszać się bardzo ostrożnie; mimo to stale przedkładał szybkość nad ostrożność. Spowalniały go naturalne przeszkody. Przegrodził mu drogę wielki klif, sterczący daleko w morze i dostał się na górę z wielką trudnością, na znaczną odległość wchodząc w głąb wyspy. Znalazł się na płaskowyżu, tu i tam porośniętym drzewami. Thagi pasły się spokojnie w słońcu lub drzemały w cieniu drzew.

Zrobiły się niespokojne, widząc przechodzącego pomiędzy nimi człowieka. Stary byk ryknął i uderzał kopytami w ziemię, a Tanar zmierzył wzrokiem odległość do najbliższego drzewa. Lecz szedł dalej, starając się omijać zwierzęta i mając wbrew wszystkiemu nadzieję, że uda mu się je minąć i już bardziej nie zdenerwować. Niestety, inne byki poszły za przykładem tamtego i ze dwadzieścia gór mięsa kierowało się powoli ku samotnemu człowiekowi, co i raz przystając, żeby uderzyć w ziemię rogiem lub kopytem; głośnym rykiem wyrażały swoje niezadowolenie.

Była jeszcze szansa, że minie je bezpiecznie. Dokładnie przed nim była pomiędzy nimi luka i Tanar przyspieszył; ale akurat w tej samej chwili jeden z byków postanowił go zaatakować i potem cała dwudziestka ruszyła na Sarianina jak gromada żelaznych lokomotyw, rozeźlonych jak szerszenie.

Pozostawało jedno – schronić się na najbliższym drzewie; i Tanar popędził ku niemu ile sił w nogach, zaś rozwścieczone byki gnały ze wszystkich stron, żeby mu odciąć drogę.

Tanar w ostatniej chwili podciągnął się na gałęzie, a byk przebiegł pod nim. Chwilę później ryczące stado zebrało się pod jego kryjówką; jedne zwierzęta poprzestały na ryku i uderzaniu kopytem w ziemię, ale inne oparły ciężkie łby o pień drzewa i starały się je zwalić. Na szczęście dla Sarianina był to młody dąb, który wytrzymał ich próby.

Thagi zapędziły go na drzewo i teraz nie zamierzały odejść. Przez jakiś czas kręciły się pod dębem, a potem kilka się

położyło, jakby chciały zapobiec ucieczce Tanara.

Dla osoby przyzwyczajonej do tego, że po dniu następuje zachód słońca i noc, sprawa wydawała by się prosta – wystarczyłoby poczekać na nadejście nocy. Lecz kiedy słońce nie zachodzi i nie ma nocy, a upływu czasu nie da się zmierzyć i kiedy nie wiadomo czy taka sytuacja trwa sekundy czy całe życie, to wymuszona zwłoka i bezczynność są nie do wytrzymania.

Jednak pomimo tego – a może właśnie dlatego – Sarianin filozoficznie podchodził do życia, co pozwalało mu ze stoickim spokojem przyjąć to, co go spotkało, a nawet wykorzystać wymuszoną zwłokę na zrobienie łuku, strzał i dzidy z materiału pozyskanego z drzewa, na którym siedział.

Drzewo dało mu wszystko, czego potrzebował, z wyjątkiem linki na cięciwę; odciął ją ze skórzanego pasa, podtrzymującego przepaskę biodrową – długi, elastyczny pasek, który żuł, póki całkiem nie nasączył śliną. Potem wygiął łuk i przymocował wilgotny rzemień do obu końców. Cięciwa schła, a Tanar zębami zaostrzył strzały.

Wysychający rzemień bardziej wyginał łuk i twardniał, aż wreszcie śpiewał pod najłżejszym dotknięciem.

Broń była gotowa; wielkie byki dalej trzymały wartę. Tanar bezsilnie tkwił na drzewie, a Jude prowadził Stellarę w głąb wyspy.

Lecz wszystko ma swój kres. Tanar, zniecierpliwiony zwłoką, obmyślił plan, jak się pozbyć tkwiących pod nim porywczych zwierząt. Wrzeszczał i rzucał w nie suchymi gałęziami; wszystkie poderwały się na nogi. Parę poszło się paść z resztą stada, ale reszta została i Tanar dalej był uwięziony.

Dokładnie pod nim stał wielki byk. Sarianin zaczął skakać po niewielkiej gałęzi – jej ulistniony czubek smagał powietrze – i jednocześnie rzucał w wielkie thagi kawałkami drewna. A potem nagle, ku zaskoczeniu tak człowieka jak i zwierząt gałąź się złamała i Tanar spadł na grzbiet byka. Natychmiast złapał się długiej sierści, a zwierz z rykiem zdumienia i lęku pognał przed siebie.

Instynkt kierował wystraszone zwierzę ku stadu. Kiedy reszta thagów zobaczyła byka z człowiekiem na grzbiecie, też się przeraziła i próbowała uciec przed towarzyszem, zaś on pędził, chcąc się znaleźć wśród nich.

Maruderzy, pasący się w sporej odległości od stada, ciągnęli teraz na jego tyły i Tanar nie mógł się ześliznąć na ziemię i uciec, bo by go zdeptali. Musiał tkwić na grzbiecie byka tak długo, jak się da.

Thag, przerażony, że nie może się pozbyć z grzbietu tego człowieka, gnał na oślep przed siebie i Tanar stwierdził, że znalazł się w samym środku stada, pędzącego płaskowyżem ku odległym lasom.

Sarianin wiedział, że w lesie niemal natychmiast zmiecie go z grzbietu byka jakaś nisko wisząca gałąź – i o ile to go nie zabije lub nie porani, to zdeptają go pędzące z tyłu thagi. Uciec nie mógł; mógł tylko czekać, jak się to skończy.

Kiedy biegnące na przedzie zwierzęta zbliżyły się do lasu, Tanar odzyskał nadzieję – drzewa rosły tak gęsto, że stado nie mogło wbiec pomiędzy nie z taką szybkością.

Thagi na przedzie dotarły na skraj lasu i zwolniły; te z tyłu napierały na nie, ale też musiały zwolnić. Niektóre usiłowały się wspiąć na grzbiety tych z przodu, lub były na nie wpychane. Lecz stado zwolniło i parło nieprzerwanie w las; kiedy byk, na którym jechał Tanar, dotarł na skraj mrocznych cieni, to nie biegł a szedł i Sarianin bez trudu dostał się na gałęzie.

Zgubił dzidę, ale zachował łuk i strzały, przytroczone do pleców. Kiedy stado przeszło pod nim i ostatnie zwierzęta zniknęły w mrocznych ostępach, odetchnął z ulgą i znowu zawrócił ku przeciwległemu krańcowi wyspy.

Thagi zaniósł go daleko w głąb wyspy i teraz szedł na ukos ku wybrzeżu, żeby skrócić drogę.

Jeszcze nie wyszedł z lasu, kiedy usłyszał przed sobą podekscytowane warczenie jakiegoś dzikiego zwierza. Wydało mu się, że rozpoznaje głos codona; nasadził strzałę na cięciwę i ostrożnie szedł naprzód. Wiatr wiał ku niemu i przyniósł

mu dowód, że się nie pomylił; przyniósł też inną znajomą woń – woń człowieka.

Tanar, wiedząc, że zwierz go nie zwietrzy, bo jest pod wiatr, musiał tylko cicho podchodzić; a niewiele zwierząt na Ziemi potrafi poruszać się ciszej niż pierwotny człowiek, kiedy tego chce; toteż Sarianin dotarł do zwierza zanim ten go wykrył.

Był to, jak się domyślił, potężny wilk; prehistoryczny olbrzymi odpowiednik naszego wilka.

Codon nie musiał tworzyć stad, bo rozmiarami, siłą, dzikością i odwagą dorównywał każdemu stworzeniu, na jakie zechciał zapolować; może z wyjątkiem mamuta i tylko na tego olbrzyma polował stadem.

Codon stał, warcząc, pod wielkim drzewem i od czasu do czasu skakał wysoko na pień, jakby chciał dosięgnąć czegoś ukrytego w listowiu.

Tanar podkradł się bliżej i dostrzegł chłopaka, siedzącego na niższych gałęziach, nad codonem. Nie było wątpliwości, że chłopak jest przerażony, ale Sarianina zdumiało, że częściej popatrywał z lękiem w górę drzewa niż w dół na codona. Domyślił się, że zagraża mu coś jeszcze.

Ocecił kłopotliwe położenie chłopaka oraz swoją prowizoryczną broń – strzały mogłyby jedynie rozwścieczyć bestię i zwrócić ją przeciwko niemu. Wątpił, żeby były wystarczająco mocne i twarde, żeby przeszyć serce codona, a tylko tak mógłby go powalić.

Przesunął się w inne miejsce, nie zwracając uwagi ani codona, ani chłopaka i znowu spojrzął w gałęzie drzewa, ponad młodziaka. Wtedy w pełni pojął beznadziejną sytuację chłopca: parę stóp nad nim tkwił łeb wielkiego węża, podpełzającego coraz bliżej; w szeroko rozwartej paszczy widać było straszliwe kły. Chętnie by go ocalił przynajmniej przed jednym z zagrażających mu zwierząt; liczył też, że wtedy chłopak zostałby jego przewodnikiem i pośrednikiem, gdyby spotkał mieszkańców wyspy.

Podkradł się na jakieś siedem kroków do codona i ukrył za niskim krzakiem. Gdyby chłopiec nie był tak zaaferowany

wężem i codonem, to by zauważył Sarianina; lecz jeszcze go nie dostrzegł.

Tanar nasadził strzałę na cięciwę, cztery inne wsunął pomiędzy palce lewej dłoni, podniósł się cicho i strzelił codonowi w grzbiet, pomiędzy łopatki.

Bestia zawyła z bólu i wściekłości i gwałtownie się odwróciła – tylko po to, żeby dostać drugą strzałę w pierś. Pałające gniewem oczy wbiły się w Sarianina i codon zaatakował, warcząc.

W takich przypadkach wszystko dzieje się szybciej niż opowiadanie o tym. Ranny wilk, atakujący przeciwnika, może przebyć te siedem kroków w niewiarygodnie krótkim czasie, a jednocześnie trzy kolejne strzały wbijają się głęboko w jego białą pierś i codon padnie martwy u stóp Sarianina.

Chłopak, uwolniony od codona, zeskoczył na ziemię i byłby uciekł bez podziękowania, gdyby Tanar nie wycelował w niego strzały i nie kazał mu się zatrzymać.

Wąż, widząc drugiego człowieka pewnie sobie uświadomił, że ma teraz niewielkie szanse; wahał się krótko, a potem zniknął w listowiu drzewa.

Tanar podszedł do trzęsącego się młodziaka.

– Kim jesteś? – zapytał Sarianin.

– Nazywam się Balal – odparł chłopak. – Jestem synem Scurva, starszego.

– Gdzie twoja wioska?

– Niedaleko.

– Zaprowadzisz mnie tam?

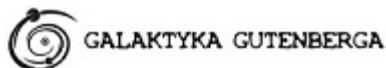
– Tak.

– Twój ojciec dobrze mnie przyjmie?

– Uratowałeś mi życie – powiedział Balal. – Dlatego dobrze cię potraktuje, chociaż przeważnie zabijamy obcych, zjawiających się w Garb.

– Prowadź.

11. GURA



Balal poprowadził Tanara przez las. Na koniec dotarli na skraj urwiska; Sarianin uznał, że to przeciwległa strona wzniesienia, które przegrodziło mu drogę plażą. Niedaleko brzegu urwiska stał kikut wielkiego drzewa, które najwyraźniej spłonęło od uderzenia błyskawicy. Mierzył jakieś dziesięć stóp, a ze zwęglonej powierzchni sterczały końcówki kilku ułamanych gałęzi.

– Za mną – powiedział Balal.

Skoczył na ogryzek gałęzi, wspiął się na szczyt pnia i opuścił do środka.

Tanar poszedł w jego ślady i znalazł otwór o średnicy jakichś trzech stóp, wiodący w głąb pnia martwego drzewa. W ścianach tego naturalnego szybu tkwiły mocne kołki, pełniące rolę szczebli drabiny.

Początkowy odcinek tego szybu oświetlało słońce, ale ich własne cienie przesłaniały wszystko, co leżało poniżej sześciu ośmiu stóp.

Tanar, nie mając pewności, że się go nie prowadzi w pułapkę, nie zamierzał pozwolić, żeby Balal znalazł się poza zasięgiem jego rąk. Pospiesznie wszedł w pusty pień i ruszył w dół za przewodnikiem. Stwierdził, że pusty pień prowadzi do szybu, wykopanego w ziemi i chwilę potem dotknął stopami dna ciemnego tunelu.

Balal poprowadził go tym tunelem. Dotarli do pieczary, słabo oświetlonej przez niewielki otwór, znajdujący się po drugiej stronie, tuż nad spągiem.

Chłopak przeczołgał się przez ten otwór, o średnicy jakichś dwóch stóp, za którym Tanar zobaczył światło dnia. Przeczolgał

się tuż za swoim przewodnikiem. Znalazł się na wąskim występie, wysoko na ścianie niemal pionowego klifu.

– To jest wioska Garb – oznajmił Balal.

– Nie widzę ani wioski ani żadnych ludzi – stwierdził Tanar.

– Ale są tam – rzekł Balal. – Idź za mną.

Poprowadził skalnym występem, nachylonym w dół i miejscami tak wąskim i stromym, że musieli przywierać do ściany klifu i powolutku przesuwając stopy. Potem skalny występ się skończył i zrobiło się na tyle szeroko, że Balal mógł się położyć, zsunąć, zawisnąć na chwilę na palcach i zeskoczyć.

Tanar wychylił się poza skraj i stwierdził, że chłopak wylądował na kolejnym skalnym gzymsie, jakieś dziesięć stóp niżej. Ten manewr wydał się ryzykowny nawet takiemu człowiekowi z gór jak on, ale nie było innej możliwości więc się położył, powoli zsunął z gzymsu, przez chwilę wisiał na palcach i skoczył.

Kiedy wylądował obok chłopaka chciał coś powiedzieć o niebezpiecznym zejściu do wioski Garb, ale się zorientował, że dla Balala była to rzecz najzwyczajniejsza w świecie, więc zamilczał; pojął, że dla takich mieszkańców urwisk jak chłopak, podobny wyczyn był czymś równie zwyczajnym i codziennym jak dla niego chodzenie po równym terenie.

Skorzystał z okazji i rozejrzał się wokół siebie; stwierdził z ulgą, że ta skalna półka była o wiele szersza i że otwierały się na nią wyloty kilku jaskiń. Miejscami – a zwłaszcza przed wylotami jaskiń – półka poszerzała się na sześć osiem stóp i tu Tanar po raz pierwszy zobaczył Himeańczyków.

– Czyż to nie wspaniała wioska? – zapytał Balal i nie czekając na odpowiedź wskazał w dół, poza brzeg półki. – Patrz!

Tanar usłuchał i zobaczył półkę za półką przecinającą ścianę potężnego urwiska, od szczytu do podstawy; na każdej półce byli mężczyźni, kobiety i dzieci.

– Chodź – powiedział Balal. – Zaprowadzę cię do ojca.

I poprowadził go półką.

Kiedy pierwsi napotkani mieszkańcy zobaczyli Tanara, poderwali się na nogi, mężczyźni chwycili za broń.

– Prowadzę go do mojego ojca, starszego – wyjaśnił Balal. – Nie atakujcie go.

I wojownicy, popatrując posepnie, pozwolili im przejść.

Zejście z półki na półkę ułatwiała kłoda z wbitymi kołkami. Kiedy się znaleźli mniej więcej w połowie odległości pomiędzy szczytem a podstawą Balal się zatrzymał przy wejściu do jaskini, przed którą siedzieli mężczyzna, kobieta i dwoje dzieci: dziewczynka plus minus w wieku Balala i o wiele młodszy chłopiec. Także i oni – jak inni mieszkańcy wioski – na widok Tanara poderwali się na nogi i chwycili za broń.

– Nie czyńcie mu krzywdy – powtórzył Balal. – Przyprowadziłem go do ciebie, Scurvie, mój ojciec, bo ocalił mi życie, zagrożone jednocześnie tak przez węża jak i wilka. Obiecałem mu, że przyjmiesz go i dobrze potraktujesz.

Scurv przyjrzał się podejrzliwie Tanarowi; jego ponura mina wcale nie złagodniała, kiedy usłyszał, że obcy ocalił życie jego synowi.

– Kim jesteś i co robisz w naszej krainie? – zapytał.

– Szukam człowieka zwanego Jude – odparł Tanar.

– Co o nim wiesz? – spytał Scurv. – Jest twoim przyjacielem?

W tonie jego głosu było coś, co ostrzegało, że lepiej nie nazywać Jude'a przyjacielem.

– Znam go – powiedział Sarianin. – Obaj byliśmy więzieni przez Coripisów na Amiocapie.

– Jesteś Amiocapianinem? – zapytał Scurv.

– Nie. Jestem Sarianinem z krainy na odległym kontynencie.

– To co robiłeś na Amiocapie?

– Zostałem porwany przez Korsarian. Okręt, którym wieźli mnie do swojej krainy, rozbił się na Amiocapie. Proszę cię jedynie o żywność i o to, żebyś mi wskazał, gdzie mogę znaleźć Jude'a.

– Nie wiem, gdzie możesz znaleźć Jude'a – oznajmił Scurv. – Jego ludzie i moi stale za sobą wojują.

– Wiesz, gdzie jest ich kraina czy wioska? – zapytał Tanar.

– Jasne, że wiem, ale nie mam pojęcia, czy Jude tam jest.

– Dasz mu jeść i będziesz go dobrze traktować, jak obiecałem?
– dopytywał się Balal.

– Tak – odpowiedział Scurv, ale kiedy to mówił jego rozbiegane oczy nie patrzyły ani na Balalę ani na Tanara.

Pośrodku półki, naprzeciwko wejścia do jaskini, niewielki ogień płonął pod glinianą misą, stojącą na trzech czterech małych kamieniach. Przycupnęła przy nim kobieta, która w młodości mogła być ładną dziewczyną, ale teraz twarz miała zgorzkniałą i pełną nienawiści; patrzyła gniewnie i ponuro w sagan i od czasu do czasu mieszała jego zawartość żebrem jakiegoś dużego zwierzęcia.

– Tanar jest głodny, Sloo – powiedział do niej Balal. – Kiedy jedzenie będzie gotowe?

– Pewnie mam za mało roboty z szykowaniem wam wszystkim skór i jedzenia, żebym jeszcze musiała gotować dla każdego wroga, jakiego zachce ci się sprowadzić do jaskini ojca?

– Pierwszy raz kogoś przyprowadziłem, matko – stwierdził Balal.

– I niech to będzie ostatni raz – burknęła kobieta.

– Zamknij, babo – uciszył ją Scurv – i pospiesz się z jedzeniem.

Kobieta skoczyła na równe nogi, uniosła żebro nad głowę.

– Nie mów mi, co mam robić, Scurv! – wrzasnęła. – I tak mam cię dość!

– Przywal mu, matko! – rozdarł się jedenastołatek, zrywając się i podskakując, radośnie podekscytowany.

Balal przeskoczył przez kuchenne ognisko i mocno zdzielił małego otwartą dłoń w twarz, posyłając go na ścianę klifu.

– Zamknij się, Dhung! – zawołał. – Bo cię zrzucę z półki!

Dziewczyna właśnie zmieniająca się w kobietę, ostatni członek tej rodziny, milczała opierając się o ścianę klifu; dużymi, ciemnymi oczami patrzyła na rozgrywającą się przed nią scenę. Kobieta nagle naskoczyła na nią:

– Może byś się tak ruszyła, Gura? Siedzisz sobie i pozwalasz, żeby mnie atakowali i nie kiwniesz palcem w mojej obronie.

– Przecież nikt cię nie atakował, matko – powiedziała z westchnieniem dziewczyna.

– Ale ja to zrobię! – ryknął Scurv, chwytając krótką pałkę, leżącą obok niego. – Rozwalę ci łeb, jeżeli się nie zamkniesz i nie pospieszysz z jedzeniem!

W tej samej chwili głośny wrzask przyciągnął ich uwagę ku innej rodzinie, siedzącej trochę dalej przed jaskinią. Mężczyzna, trzymając kobietę za włosy, tłukł ją kijem, a kilkoro dzieci rzucało odłamkami skały najpierw w rodziców, a potem w siebie nawzajem..

– Przywal jej jeszcze! – wrzasnął Scurv.

– Wydrap mu oczy! – rozdarła się Sloo.

I rodzina starszego na chwilę zapomniała o własnych niesnaskach, napawając się awanturą w tamtej rodzinie.

Tanar przyglądał się temu z zażenowaniem i zaskoczeniem. Nigdy nie widział czegoś takiego w wioskach Sarian; a ponieważ przybył tu z Amiocapu, wyspy miłości, więc kontrast był jeszcze ostrzejszy.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedział Balal; obserwował Sarianina i zauważył jego zaskoczenie i zniesmaczenie. – Jeśli dłużej u nas zostaniesz to się do tego przyzwyczaisz, bo tu zawsze tak jest. Chodź, zjemy, strawa gotowa.

I swoim kamiennym nożem wyłowił z garnka kawałek mięsa.

Tanar nie miał noża, toteż posłużył się jedną ze strzał – świetnie się do tego nadała. Potem reszta rodziny zebrała się wokół garnka, jakby nic się nie stało i wszyscy łączywie się rzucili na dymiącą potrawę.

W trakcie posiłku odzywali się tylko po to, żeby sobie naurągać, jeśli dwie osoby jednocześnie sięgnęły do garnka i sobie nawzajem przeszkodziły.

Kiedy opróżnili garnek, Scurv i Sloo zniknęli w mroku jaskini, żeby się przespać; Balal poszedł za nimi.

Gura, córka, wzięła garnek i zaczęła schodzić ku strumieniowi, żeby umyć naczynie i przynieść w nim wody.

Kiedy schodziła po rozchwierutanych drabinach i wąskich półkach, mały Dhung, jej brat, zabawiał się rzucając w nią

kamieniami.

– Przestań – nakazał Tanar. – Mógłbyś ją trafić.

– I właśnie o to mi chodzi – odparł mały łobuziak. – Po cóż innego rzucałbym w nią kamieniami? Żeby chybić?

Cisnął kolejnym kamieniem i Tanar złapał go za kark.

Dhung natychmiast wrzasnął tak, że pewnie usłyszano go aż na Amiocapie – ten wrzask wywabił z jaskini Sloo.

– Zabija mnie! – darł się Dhung, a jaskiniowa kobieta, słysząc to, spojrzała na Tanara jarzącymi się oczami, z twarzą wykrzywioną nienawiścią.

– Chwila – powiedział spokojnie Sarianin. – Nie krzywdzę dziecka. Mały rzucał w siostrę kamieniami i powstrzymałem go.

– Niby czemu? – zapytała Sloo. – To jego siostra, ma prawo w nią rzucać kamieniami jeśli chce.

– Mógłby ją trafić, a wtedy spadłaby i się zabiła.

– No i co z tego? To nie twoja sprawa – burknęła Sloo.

Chwyciła Dhunga za długie włosy, wytargała za uszy i zawlokła do jaskini. Tanar długo słyszał dobiegające stamtąd uderzenia i krzyki, zmieszane z przekleństwami Scurva i ostrymi słowami Sloo.

W końcu w jaskini zrobiło się cicho i do uszu zniesmaczonego Sarianina zaczęły docierać odgłosy rodzinnych awantur w innych częściach skalnej wioski.

Daleko w dole Tanar widział Gurę, myjącą gliniany garnek w strumieniu. Potem napełniła naczynie świeżą wodą i postawiła je sobie na głowie. Podziwiał, z jaką łatwością dźwigała ten ciężar i nie miał pojęcia, jak się wdrapie na niemal pionowe urwisko po tych rozchwierutanych drabinach. Obserwował ją z ciekawością i zobaczył, z jaką łatwością wspina się po najniższej drabinie, jakby nie dźwigała żadnego ciężaru. Wchodziła coraz wyżej, bez wysiłku utrzymując garnek w równowadze.

Przyglądając się jej zauważył mężczyznę, który też się wspinał, ale kilka półek wyżej niż dziewczyna. Osobnik szybko i bezszelestnie dotarł do półki, na której stał Tanar. Nie zwracając uwagi na Sarianina, ostrożnie podkradł się

do wejścia jaskini obok jaskini Scurva. Wyciągnął kamienny nóż zza biodrowej przepaski i wszedł do środka. Chwilę potem Tanar usłyszał krzyki i przekleństwa i z jaskini wytoczyli się dwaj mężczyźni, zwarci w śmiertelnym uścisku. Jednym z nich był osobnik, który dopiero co wszedł do jaskini. Drugi był młodszy, niższy i słabszy od przeciwnika. Zażarcie atakowali się kamiennymi nożami, ale ten pojedynek robił więcej hałasu niż szkody.

Z jaskini wybiegła kobieta. Zbrojna w kość z łapy thaga. Starła się nią unieszkodliwić starszego mężczyznę, wymierzając podstępne ciosy w głowę i tors. Atak do tego stopnia rozwścieczył mężczyznę, że podwoił wysiłki zamiast się poddać. Udało mu się chwycić przeciwnika za rękę z nożem i po chwili wbił mu własny nóż prosto w serce. Kobieta krzycząc z rozpaczony znowu uderzyła tego starszego w głowę, ale chybiła i połamała swój oręż o skalną półkę. Zwycięzca skoczył na równe nogi, chwycił ciało przeciwnika i cisnął je z urwiska; potem złapał kobietę za włosy i powłókł ją, krzyczącą i przeklinającą, rozglądając się za czymś, czym mógłby jej przyłożyć.

Tanar przyglądał się tej odrażającej scenie i nagle dotarło do niego, że ktoś koło niego stoi. Odwrócił się i zobaczył, że Gura wróciła. Stała prosta jak świeca, utrzymując w równowadze garnek na głowie.

– To okropne – powiedział Tanar, skinieniem głowy wskazując szarpiącą się parę.

Gura obojętnie wzruszyła ramionami.

– To nic takiego. Jej chłop wrócił niespodziewanie. I tyle.

– Chcesz powiedzieć, że ten osobnik jest jej małżonkiem, a tamten nie był? – zapytał Tanar.

– Otóż to – powiedziała Gura. – Ale wszyscy tak robią. Czego się spodziewasz, skoro jest tu tylko nienawiść.

Podeszła do jaskini ojca i postawiła garnek w cieniu, w wejściu. Potem usiadła i oparła się o ścianę klifu, nie poświęcając uwagi małżeńskim niesnaskom sąsiadów.

Tanar po raz pierwszy dokładnie przyjrzał się dziewczynie. Nie miała przebiegłej miny Jude'a i wszystkich innych Himean, jakich widział; nie szpeciły jej rozdrażnienie i złośliwość. Był w niej wrodzony smutek i Sarianin pomyślał, że pewnie tak wyglądała Sloo, kiedy była w wieku córki. Podszedł i usiadł obok niej.

– Czy twoi ludzie zawsze się tak kłócą? – zapytał.

– Zawsze.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Łączą się w pary na całe życie i chociaż tak mężczyźni jak i kobiety mogą wybierać swojego współmałżonka, to nigdy nie są z niego zadowoleni i bez przerwy się kłócą; zwłaszcza, że ani jedno ani drugie nie jest wierne. Czy w twojej krainie mężczyźni i kobiety też się tak kłócą?

– Nie. Nie kłócą się. Gdyby się kłócili, to by zostali wykluczeni z plemienia.

– A jeśli uznają, że już się nie lubią? – dopytywała się dziewczyna.

– To się rozstają. I jeżeli chcą, to znajdują innych współmałżonków.

– To się nie godzi. Zabilibyśmy każdego, kto by tak zrobił.

Tanar wzruszył ramionami i się roześmiał.

– Przynajmniej wszyscy jesteśmy szczęśliwi, czego wy o sobie nie możecie powiedzieć. W końcu szczęście jest najważniejsze.

Dziewczyna przez chwilę rozmyślała, rozważając nową dla niej ideę.

– Może i masz rację. Nic nie może być gorsze od naszego życia. Matka mi mówi, że w jej krainie było inaczej; ale teraz jest tak samo niedobra jak reszta.

– Twoja matka nie jest Himeanką?

– Nie, jest z Amiocapu. Ojciec ją porwał, kiedy była młoda.

– To wyjaśnia różnicę.

– Jaką różnicę? O czym ty mówisz?

– Nie jesteś taka jak inni, Guro. Ani nie wyglądasz jak oni, ani nie postępujesz jak oni. Ani ty, ani twój brat Balal.

– Nasza matka jest Amiocapianką. Może coś po niej odziedziczyliśmy. A co najważniejsze, jesteśmy młodzi i jeszcze nie mamy współmałżonków. Kiedy nadejdzie ten czas, upodobnimy się do innych, tak jak nasza matka.

– Wielu z waszych mężczyzn bierze sobie kobiety z Amiocapu?

– Wielu próbuje, ale niewielu się udaje, bo wojownicy z Amiocapu przepędzają ich lub zabijają. Mają na wybrzeżu Amiocapu miejsce, gdzie przybijają, ukryte w ciemnej grocie pod wysokim klifem; z dziesięciu himeańskich wojowników, którzy tam płyną, powraca zaledwie jeden, a i to nie zawsze z amiocapiańską kobietą. Na naszym wybrzeżu mieszka plemię, które się wzbogaciło na pływaniu na Amiocap i sprowadzanie stamtąd kanoje wojowników, co popłynęli po kobietę i zginęli z rąk tamtejszych wojowników.

Przez chwilę milczała, zamyślona. Potem powiedziała:

– Chciałabym popłynąć na Amiocap.

– Czemu? – zapytał Tanar.

– Może znalazłabym tam współmałżonka, z którym byłabym szczęśliwa.

Tanar ze smutkiem potrząsnął głową.

– To niemożliwe, Guro.

– Dlaczego? Nie jestem dość piękna dla amiocapiańskich wojowników?

– Jesteś bardzo piękna, ale gdybyś się znalazła na Amiocapie, to by cię zabili.

– Dlaczego?

– Bo choć twoja matka jest z Amiocapu, to ojciec nie – wyjaśnił Tanar.

– Takie u nich prawo? – zapytała ze smutkiem Gura.

– Tak.

– No cóż – westchnęła. – To muszę zostać tutaj i szukać współmałżonka, którego nauczę się nienawidzić i rodzić dzieci, co będą nienawidzić nas obydwój.

– To nie jest przyjemna perspektywa.

– A nie – odparła i po chwili dodała: – Chyba że...

– Chyba że co? – zapytał Sarianin.

– Nic – odrzekła Gura.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde zajęte własnymi myślami; Tanarowe myśli bez reszty wypełniała twarz i postać Stellary. Potem Gura spojrzała na niego.

– Co zrobisz jak znajdziesz Jude’a?

– Zabiję go.

– A potem?

– Nie wiem. Jeżeli znajdę tę, która moim zdaniem jest z Jude’em, to wrócimy na Amiocap.

– Czemu tu nie zostaniesz? Chciałabym, żebyś został.

Tanar się wzdrygnął.

– Wolałbym umrzeć.

– Nie mam ci tego za bardzo za złe, ale wierzę, że mógłbyś być szczęśliwy nawet na Hime.

– Niby jak?

Gura nie odpowiedziała i zobaczył, że jej oczy wypełniły się łzami. Potem pospiesznie wstała i weszła do jaskini.

Tanar pomyślał, Scurv nigdy się nie obudzi. Chciał z nim porozmawiać, poprosić o przewodnika do wioski Jude’a. Lecz z jaskini pierwsza wyszła Sloo. Popatrzyła na niego ponuro.

– Jeszcze tu jesteś?

– Czekam, żeby Scurv dał mi przewodnika do wioski Jude’a. Nie zostanę ani chwili dłużej niż to konieczne.

– To i tak będzie za długo – warknęła Sloo, zawróciła na pięcie i zniknęła w jaskini.

Wyszedł Balal, przecierając oczy.

– Kiedy Scurv wyśle mnie w drogę? – zapytał go Tanar.

– Nie wiem – odparł chłopak. – Scurv dopiero co się obudził. Pomów z nim o tym, kiedy wyjdzie. Wysłał mnie po skórę codona, którego zabiłeś. Wścieka się, że ją zostawiłem w lesie.

Balal odszedł, a Tanar długo siedział sam na sam z własnymi myślami.

Potem z jaskini wyszła Gura. Wyglądała na wystraszoną i podekscytowaną. Podeszła do Sarianina, uklękła, zbliżyła usta do jego ucha.

– Musisz natychmiast uciekać – wyszeptała. – Scurv cię zabije. To dlatego odesłał Balala.

– Czemu chce mnie zabić? Ocaliłem życie jego synowi i prosiłem tylko o to, żeby mnie skierował do wioski Jude’a.

– Myśli, że Sloo się w tobie zakochała – wyjaśniła Gura – bo kiedy się obudził nie było jej w jaskini. Była na skalnej półce, z tobą.

Tanar się roześmiał.

– Sloo bardzo wyraźnie dała mi do zrozumienia, że mnie nie lubi i że chce, żebym sobie poszedł.

– Wierzę ci, ale Scurv, podejrzliwy, przepełniony nienawiścią i mający nieczyste sumienie, widzi w Sloo samo zło; nie chce uznać, że się myli, więc nic go nie przekona. Może cię uratować tylko ucieczka.

– Dziękuję, Guro. Natychmiast odejdę.

– Nie, to nic nie da. Scurv zaraz wyjdzie. Rozminiecie się, pewnie zanim zdążysz zniknąć z zasięgu wzroku. Może w jednej chwili zebrać setkę wojowników i posłać w pościg za tobą. A ty nie masz odpowiedniej broni, żeby ruszyć na poszukiwanie Jude’a.

– Może masz lepszy plan.

– Mam. Posłuchaj! Widzisz, gdzie strumień wpływa do dżungli? – wskazała przez polanę u stóp klifu ku obrzeżu mrocznego lasu.

– Tak, widzę.

– Teraz zejść i schowam się w dużych drzewach obok strumienia. Kiedy Scurv wyjdzie, powiedz mu, że widziałeś tam jelenia i poproś, żeby ci pożyczył broń, żebyś mógł go ubić. Mięso jest zawsze pożądane, więc Scurv odłoży napaść na ciebie póki nie wrócisz ze zdobyczą; ale ty nie wrócisz. Kiedy wejdiesz do lasu, będę tam i pokieruję cię do wioski Jude’a.

– Czemu to robisz, Guro?

– Nie zwracaj sobie tym głowy. Po prostu zrób, jak mówię. Nie ma czasu do stracenia, bo Scurv lada moment może wyjść z jaskini – i bez dalszych wyjaśnień zaczęła schodzić po ścianie klifu.

Tanar patrzył, jak ze zręcznością i gracją kozicy dziewczyna – często nie korzystając z drabin – zeskakuje lekko z półki na półkę. Ani się obejrzał, jak dotarła do podstawy klifu i szła szybko ku lasowi. Ledwo zasłoniły ją liście drzew, a już Scurv wyszedł z jaskini. Tuż za nim szli Sloo i Dhung; Sarianin zauważył, że każde miało pałkę.

– Cieszę się, że wyszedłeś – powiedział Tanar, nie marnując czasu, bo czuł, że cała trójka zaraz zaatakuje.

– Niby czemu? – burknął Scurv.

– Właśnie widziałem na skraju lasu jelenia. Jeśli pozwolisz mi wziąć broń, to może uda mi się odwdzińczyć za gościnę przynosząc łup.

Scurv się zawahał. Jego ociężały umysł potrzebował czasu, żeby się dostosować do nowej sytuacji. Za to Sloo od razu dostrzegła okazję wykorzystania nieproszonego gościa i chciała odwlec jego zabójstwo do czasu aż wróci ze zdobyczą.

– Przynieś broń – poleciła Dhungowi. – Niech obcy upoluje jelenia.

Scurv podrapał się w głowę, wciąż w rozterce, lecz zanim się na coś zdecydował Dhung wrócił z kamiennym nożem i piką – rzucił nimi w Tanara, zamiast mu je podać; lecz Sarianin chwycił broń i nie czekając na pozwolenie zszedł po drabinie na niższą półkę, a stamtąd coraz niżej, aż do ziemi. Kilkoro mieszkańców rozpoznało w nim obcego i chciało mu przeszkodzić, ale Scurv, obserwujący go ze swojej skalnej półki, wrzaskliwie rozkazał, żeby mu dali spokój i Sarianin już szedł ku dżungli.

Ledwo wszedł w las zobaczył Gurę, siedzącą na gałęzi drzewa.

– W samą porę mnie ostrzegłaś, Guro, bo Scurv, Sloo i Dhung zaraz po tobie wyszli z jaskini, uzbrojeni i gotowi mnie zabić.

– Wiedziałam, że to zrobią i cieszę się, że się rozczarują; a zwłaszcza Dhung, ten mały potwór! Błagał, żeby mu pozwolili cię torturować.

– To niemożliwe, żeby był twoim bratem.

– Jest taki jak matka Scurva. Znałam ją, zanim ją zabito. Była najokropniejszą staruchą, a Dhung odziedziczył cały jej jad i ani kropli łagodnej krwi Amiocapian, płynącej w żyłach matki, chociaż tak ją odmieniło to paskudne życie.

– A teraz wskaż drogę do wioski Jude’a i odejdę. Nigdy ci się nie zdołam odpłacić, Guro, za twoją dobroć dla mnie; dobroć, płynącą z twojej amiocapiańskiej krwi. Już nigdy cię nie zobaczę, Guro, ale na zawsze zachowam w sercu twój obraz i twoją dobroć.

– Idę z tobą.

– Nie możesz.

– A jak inaczej mam cię zaprowadzić do wioski Jude’a?

– Nie musisz mnie prowadzić, po prostu powiedz, w której stronie leży, a ja już ją znajdę.

– Idę z tobą – powiedziała twardo. – W jaskini mojego ojca są tylko nienawiść i nieszczęście. Wolę być z tobą.

– Ale to niemożliwe, Guro.

– Jeśli teraz wrócę do jaskini Scurva, to będzie podejrzewać, że pomogłam ci uciec i wszyscy troje mnie pobiją. Chodź, nie możemy tu marnować czasu, bo jak szybko nie wrócisz, to Scurv zrobi się podejrzliwy i ruszy twoim śladem.

Zeskoczyła na ziemię i ruszyła w las.

– Niech będzie po twojemu, Guro, ale obawiam się, że pożałujesz swojej decyzji, że obydwójecie jej pożałujemy.

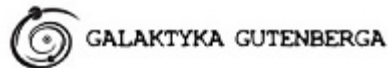
– Przynajmniej zaznam w życiu trochę szczęścia i chętnie za to umrę.

– Zaczekaj – powstrzymał ją Tanar. – W jakim kierunku leży wioska Jude’a? – dziewczyna wskazała. – Zamiast iść po ziemi, zostawiając trop, którym Scurv bez trudu pójdzie, wejdziemy na drzewa. Patrzyłem, jak schodzisz z klifu i wiem, że równie szybko będziesz się przemieszczać po gałęziach jak po ziemi.

– Nigdy tego nie robiłam, ale wszędzie za tobą pójdę.

Chociaż Tanar nie chciał, żeby dziewczyna mu towarzyszyła, to się przekonał, że jej obecność umila samotną podróż.

12. „NIENAWIDZĘ CIĘ”



Kompani Bohara Krwawego nie czekali na niego długo, kiedy nie wrócił z pościgu za Stellarą. Spiesznie skończyli roboty przy łodzi, załadowali żywność i wodę i wypłynęli z zatoki, nad którą zbudowali swój stateczek i ruszyli ku Korsarowi; nie tęsknili za Boharem, którego wszyscy z całego serca nienawidzili. Burza, która o mało nie wyniosła Tanara poza Hime, zepchnęła Korsarian w przeciwną stronę, zerwała im żagiel i na koniec cisnęła ich stateczek – teraz kompletny wrak – na skały na górnym krańcu Hime.

Utrata łódki, zapasów i jednego z kamratów (uderzył o skałę i utonął) wprawiła pozostałych Korsarian w jeszcze dzikszy nastrój niż zwykle; musieli też przejść lądem na przeciwległy brzeg wyspy, bo tam, gdzie się rozbili, nie było drewna nadającego się na łódź.

Musieli więc wkroczyć na pełne wrogów ziemie w poszukiwaniu żywności i materiału na nową łódź; a na dodatek proch im zamókł i w razie potrzeby musieliby się bronić nożami i kordami.

Większość z nich – wytrawni żeglarze – świetnie się orientowała gdzie są. A nawet wiele wiedziała o geografii Hime i o obyczajach jej mieszkańców, bo uczestniczyła w rabunkowych rajdach w głąb wyspy, kiedy to korsariańskie okręty wysadzały ich, żeby kradli skóry i futra (himeańskie kobiety były mistrzyniami w wyprawianiu i garbowaniu skór, które osiągały wysokie ceny w Korsarze).

Rada starszych żeglarzy zdecydowała, żeby ruszyć na przełaj ku przystani po drugiej stronie wyspy, gdzie drewno

z pobliskich lasów dostarczy materiału do budowy drugiej łodzi; a może i pojawią się korsariańscy rabusie.

Niezadowoleni żeglarze brnęli z trudem przez Hime, Jude prowadził oporną Stellarę ku swojej wiosce, a Gura prowadziła Tanara w tę samą stronę.

Jude musiał z daleka omijać nieprzyjazne wioski, a opór Stellary wcale nie zwiększał jego tempa – bez przerwy się ociągala i chociaż już nie musiał jej nieść, to uznał, że lepiej obwiązać jej szyję długim rzemieniem i prowadzić na takiej smyczy, żeby zapobiec nagłym i licznym próbom wyrwania się na wolność. Często stawała i nie chciała dalej iść, mówiąc, że jest zmęczona i twierdząc, że musi się położyć, żeby odpocząć; bo wiedziała, że Tanar ją odszuka, gdzie by Jude lub ktoś inny jej nie zabrał.

Oczami wyobraźni już go widziała na tropie, za nimi i miała nadzieję tak spowolnić Jude'a, żeby Sarianin ich dogonił zanim dotrą do wioski Himeanina, pod ochronę jego plemienia.

Gura była szczęśliwa. Jeszcze nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa; w zakończeniu tej podróży widziała kres swojego szczęścia i dlatego nie prowadziła Tanara prosto do Carn, wioski Jude'a, ale pod różnymi pretekstami zmieniała trasę, żeby go mieć dla siebie najdłużej jak się da. W jego towarzystwie doświadczyła łagodności i zrozumienia, jakich nigdy wcześniej nie zaznała. Czują do Tanara nie miłość, lecz coś co łatwo mogło się stać miłością, gdyby Sarianin się nią zainteresował, lecz jego uczucia do Stellary wykluczały taką możliwość. I chociaż lubił towarzystwo Gury, to gorąco pragnął iść tropem Jude'a, odebrać mu Stellarę i znowu mieć ją dla siebie.

Carn – w przeciwieństwie do Garb, wioski Scurva – nie jest rozlokowana na ścianie urwiska. Tworzą ją domy z kamienia i gliny, otacza wysoki mur. Stoi na szczycie wysokiej mesy, chronionym ze wszystkich stron przez strome klify; po jednej stronie ma lasy i wzgórze Hime, po drugiej rozległą przestrzeń Korsar Az, czyli Morza Korsarian.

Jude, wlokąc za sobą Stellarę, wspinał się stromymi klifami ku Carn. To była długa i mozolna wspinaczka i kiedy dotarli na szczyt Jude z ulgą się zatrzymał, żeby odpocząć. Musiał też obmyślić plan, bo w wiosce zostawił współmałżonkę i teraz się zastanawiał, jak się jej pozbyć; ale przyszło mu do głowy tylko jedno – zakraść się do wioski i zabić kobietę. Ale co w tym czasie zrobić ze Stellarą? Wtem wpadł mu do głowy dobry pomysł.

Wiedział o jaskini, znajdującej się tuż pod szczytem klifu, całkiem blisko i właśnie tam zabrał Stellarę; kiedy się znaleźli w jaskini, związał dziewczynie kostki i nadgarstki.

– Nie zostaniesz tu długo. Raz dwa wrócę i zaprowadzę cię do wioski Carn jako moją małżonkę. Nie bój się. Na mesie jest niewiele dzikich zwierząt i wrócę zanim cię któreś znajdzie.

– Nie spiesz się. Z radością powitam dzikie zwierzę, które tu przyjdzie przed tobą.

– Zmienisz zdanie, kiedy trochę pobędziesz kobietą Jude’a – oznajmił i pospieszył ku otoczonej murem wiosce Carn.

Stellara z trudem usiadła. Miała stąd dobry widok na tereny u podstawy klifu. Zobaczyła, że z lasu wychodzą mężczyzna i kobieta. Na chwilę serce w niej zamarło, bo w mężczyźnie natychmiast rozpoznała Tanara. Już miała go zawołać, kiedy pewna myśl odebrała jej mowę.

Kim była towarzysząca mu dziewczyna? Stellara widziała, jak blisko tamta szła obok niego, jak patrzyła mu w twarz; i chociaż była za daleko, żeby zobaczyć oczy dziewczyny, wyraz jej twarzy, to coś w pozie smukłego ciała zdradzało uwielbienie. Stellara odwróciła głowę, oparła ją o zimną ścianę jaskini i zalała się łzami.

Gura wskazała wysoką mesę.

– To tam, zaraz za krawędzią klifu, leży Carn, wioska, w której mieszka Jude. Ale jeśli tam wejdziemy, to cię zabiją i mnie może też, o ile kobiety najpierw dopadną mnie.

Tanar, badawczo wpatrzony w ziemię, zdawał się nie słyszeć słów Gury.

– Ktoś tędy niedawno szedł; mężczyzna i kobieta. Widzę ślady ich stóp. Trawa, którą zdeptali, wciąż powoli się podnosi. Mężczyzna i kobieta, czyli Jude i Stellara.

– Kim jest Stellara?

– Moją małżonką.

Na twarz Gury powrócił smutek, widoczny tam od dzieciństwa (ale zastąpiony promiennym szczęściem od kiedy opuściła wraz z Tanarem Garb), łzy napłynęły jej do oczu; stłumiła szloch, na co Sarianin nie zwrócił uwagi, z zapalem wypatrując śladów.

A w jaskini ponad nimi gorące łzy płynęły po nieszczęśliwej twarzy Stellary; lecz miłość znowu kazała jej spojrzeć na Tanara – akurat się odwrócił i pokazał Gurze wyraźny trop, którym szedł.

Sarianin dostrzegł rozpacz towarzyszącej i łzy w jej oczach.

– Gura! – wykrzyknął. – Co się stało? Czemu płaczesz?

Podszedł do niej i po przyjacielsku objął ramieniem; a Gura, poruszona jego życzliwością, wtuliła twarz w jego pierś i rozplakała się. To właśnie zobaczyła Stellara – scenę, którą jej zazdrość i miłość zrozumiały po swojemu – i w oczach Amiocapianki błysnęła zraniona duma i gniew.

– Czemu płaczesz, Guro? – zapytał Tanar.

– Nie pytaj – poprosiła dziewczyna. – To nic takiego. Może jestem zmęczona, może wystraszona. Ale nie czas na myśli o zmęczeniu czy lęku, bo Jude prowadzi twoją małżonkę ku wiosce Carn. Musimy się pospieszyć i uwolnić ją, zanim będzie za późno.

– Masz rację! – wykrzyknął Tanar. – Nie możemy zwlekać.

I pobiegł – a Gura za nim – ku podstawie klifu tropem Jude’a i Stellary, prowadzącym do niebezpiecznego szlaku na ścianie urwiska. Ze skraju dżungli, z której sami dopiero co wyszli, śledziły ich okrutne oczy.

Kiedy stromy szlak doprowadził ich na szczyt klifu to z nagiej skały nie mogli wyczytać, w którą stronę poszedł Jude; ale dwadzieścia jardów dalej, gdzie się zaczynał miękki grunt, Tanar znowu wypatrzył ślady mężczyzny i pokazał je Gurze.

- Są tu tylko ślady Jude’a.
- Może kobieta nie chciała dalej iść i musiał ją nieść – odpowiedziała Gura.
- Pewnie tak – orzekł Tanar i pospieszył wyraźnym tropem Himeańczyka.

Szli teraz dobrze widocznym szlakiem, biegnącym przez zarośla wyższe od człowieka, tak, że ani z prawa ani z lewa nic nie widzieli; kręty szlak był widoczny tylko na krótkim odcinku przed nimi i za nimi. Lecz Tanar nie zwolnił tempa; koniecznie chciał dogonić Himeańczyka zanim ten dotrze do wioski.

Jak tylko Tanar z Gurą dotarli na szczyt i zniknęli z oczu, z lasu wyszło osiemnastu kudłatych mężczyzn i ruszyli ich śladem ku podstawie klifu. Mieli bujne wąsy i kolorowe pasy oraz równie jaskrawe opaski na głowach. Za pasem każdego połyskiwały wielkie pistolety i noże, u biodra wisiał kord – los przywiódł tych ocalańców ze statku Cida do stóp klifu pod wioską Carn niemal w tej samej chwili co Tanara. Ze zdumieniem zmieszonym z podziwem rozpoznali Sarianina, będącego więźniem na ich statku; sądzili, że go zastrzelili na obrzeżu naturalnej studni na Amiocapie.

Korsarianie, z uporem właściwym ignorantom, postanowili schwytać Tanara. Dlatego zaczekali, aż Sarianin z Gurą znikną im z oczu na szczycie klifu i dopiero wtedy ruszyli w pościg.

Mury Carn leżą dość blisko obrzeża płaskowyżu, na którym wioskę zbudowano. W pozbawionym czasu Pellucidarze wydarzenia w rzeczywistości odległe od siebie wydają się następować jedno po drugim i dlatego nie wiadomo jak długo Jude był w Carn i czy tak jak zamierzał zdążył popełnić ten straszliwy czyn – lecz kiedy Tanar z Gurą dotarli na skraj zarośli i spojrzeli ku murom Carn, zobaczyli Jude’a wymykającego się z wioski. Gdyby widzieli jego twarz, dostrzegliby złośliwy triumfalny uśmiezek; gdyby wiedzieli po co tu przyszedł, mogliby odtworzyć krwawe sceny, które dopiero co się rozegrały w domu Himeańczyka. Ale Tanar zobaczył tylko, że Jude, którego szukał, idzie ku niemu; i że nie ma z nim Stellary.

Sarianin wciągnął Gurę pod osłonę rosnących wzdłuż szlaku zarośli. Jude się zbliżał, Tanar na niego czekał, a Korsarianie mozolnie włązili na klif. Stellara, chora z zazdrości i nieszczęśliwa, opierała się o zimną ścianę swojego więzienia – jaskini.

Jude, nieświadomy niebezpieczeństwa, spieszył tam, gdzie zostawił Stellare; kiedy znalazł się obok Tanara, Sarianin się na niego rzucił. Himeańczyk sięgnął po nóż, ale był bezradny – stalowe palce tak mocno zacisnęły się na jego przegubach, że krzyknął z bólu i upuścił broń, czując jak trzeszczą mu kości.

– Czego chcesz?! – wykrzyknął. – Czemu na mnie napadłeś?!

– Gdzie Stellara?

– Nie wiem. Nie widziałem jej.

– Kłamiesz. Szedłem waszymi śladami na szczyt klifu. Gdzie ona jest? – wyciągnął nóż. – Mów, bo zginiesz.

– Zostawiłem ją na skraju klifu, a sam poszedłem do Carn postarać się, żeby ją przyjaźnie przyjęto. Zrobiłem to dla jej bezpieczeństwa, Tanarze. Chciała wracać na Korsar, a jej tylko pomagałem.

– Znowu kłamiesz – stwierdził Sarianin. – Ale zaprowadź mnie do niej i poznajmy jej wersję tej historii.

Himeańczyk nie ustępował, póki czubek noża Tanara nie ukłuł do w żebra; wtedy się poddał.

– Darujesz mi życie, jak cię do niej zaprowadzę? Pozwolisz mi spokojnie wrócić do wioski?

– Niczego nie obiecuję, póki z jej ust nie usłyszę, jak ją traktowałeś.

– Nie doznała krzywdy. Przysięgam.

– To prowadź do niej – nalegał Tanar.

Himeańczyk z ponurą miną poprowadził ich ścieżką ku jaskini, gdzie zostawił Stellare. Na drugim skraju zarośli zatrzymało się osiemnastu Korsarian, którzy usłyszeli, że się zbliżają – nasłuchiwali, a potem cicho zniknęli w zaroślach.

Zobaczyli, jak z chaszczy wychodzą Jude, Gura i Tanar, ale nie zaatakowali; chcieli sprawdzić, po co tamci wrócili. Patrzyli, jak

znikają za skrajem klifu, blisko szlaku prowadzącego w dolinę. Potem wyszli z kryjówki i ostrożnie poszli za nimi.

Jude zaprowadził Tanara i Gurę do pieczary, w której leżała Stellara. Kiedy Tanar ją zobaczył – ukochane przeguby i kostki związane rzemieniami, twarz mokra od łez – skoczył ku niej i wziął ją w ramiona.

– Stellaro! – wykrzyknął. – Kochanie moje!

Lecz dziewczyna odwróciła od niego twarz.

– Nie dotykaj mnie! – zawołała. – Nienawidzę cię!

– Stellaro! – wykrzyknął ze zdumieniem. – Co się stało?

Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się za nimi ochrypły głos. Odwrócili się i spojrzeli w lufy pistoletów osiemnastu Korsarian.

– Poddaj się, Sarianinie! – zawołał ich szef.

Tanar, spoglądając w lufy jakichś trzydziestu sześciu wielkich pistoletów – zagrażających także życiu Stellary i Gury – nie miał innego wyjścia jak tylko się poddać.

– Co zamierzacie z nami zrobić, jeśli się poddamy? – zapytał.

– O tym zadecydujemy później – burknął szef Korsarian.

– Chcecie wrócić na Korsar? – spytał Tanar.

– A co ci do tego, Sarianinie? – zainteresował się Korsarianin.

– To znacząco wpłynie na decyzję czy się poddamy, czy nie – odparł Tanar. – Już próbowaliście mnie zabić i przekonaliście się, że trudno mnie uśmiercić. Wiem coś o waszej broni i prochu, wiem też, że z tak bliska zdołam zabić kilku z was zanim mnie zastrzelicie. Ale poddam się, jeśli szczerze i uczciwie odpowiesz na moje pytanie i jeśli twoja odpowiedź mnie zadowoli.

Kiedy Tanar wspomniał, że wie o ich prochu, Korsarianie natychmiast uznali, że wie, iż zamókł – a on jedynie zrobił aluzję do jego fatalnej jakości – toteż ich szef zdecydował, że lepiej grać na zwłokę (przynajmniej na razie).

– Wrócimy na Korsar, jak tylko zbudujemy łódź – powiedział.

– Chyba, że korsariański okręt wcześniej zakotwiczy w zatoce Carn.

– Dobrze – orzekł Sarianin. – Jeżeli obiecacie zwrócić córkę Cida, całą i zdrową, jej ludowi w Korsar to się poddam. Musicie też przyrzec, że nic złego nie spotka tej drugiej dziewczyny i że będzie mogła bezpiecznie udać się z wami na Korsar, albo jeżeli zechce zostać tutaj wśród swoich.

– A co z tamtym typem? – zapytał Korsarianin.

– Możecie go zabić, kiedy mnie zabijecie – odparł Tanar.

Stellara się wystraszyła, słysząc co powiedział i zrozumiała, że zazdrość nie może się równać z prawdziwą miłością.

– No dobra – powiedział Korsarianin. – Przyjmujemy te warunki. Kobiety mogą z nami wrócić na Korsar, a wy obaj umrzecie.

– O nie! – błagał Jude. – Nie chcę umierać. Jestem Himeañczykiem. Często tu przybywacie, żeby pohandlować. Oszczędźcie mnie, a ja się postaram, żebyście dostali więcej skór, niż będziecie mogli załadować na łódź, jak już ją zbudujecie..

Szef Korsarian roześmiał mu się w twarz.

– Nasza osiemnastka może zabrać z Carn co zechce. Nie jesteśmy takimi głupcami, żeby cię oszczędzić! Ostrzegłbyś swoich.

– To zabierzcie mnie jako więźnia – zaskomlą Jude.

– Żebyśmy cię musieli żywić i cały czas pilnować? Nie. Więcej jesteś dla nas wart umarły niż żywy.

Jude, mówiąc, przesunął się powoli ku wylotowi jaskini i stanął trochę za Stellara, jakby się chciał osłonić dziewczyną.

Tanar, z gestem obrzydzenia, popatrzył na Korsarian i powiedział, zniecierpliwiony:

– No dalej. Skoro targ dobity, to nie ma co dłużej gadać. Zabijcie nas i zabierzcie kobiety bezpiecznie na Korsar. Dałeś słowo.

Kiedy Sarianin skończył mówić, Jude zawrócił i zanim ktoś zdążył go zatrzymać, zniknął w głębi jaskini. Korsarianie natychmiast rzucili się w pościg; reszta niecierpliwie czekała na ich powrót z Jude'em. Ale wrócili z pustymi rękami.

– Uciekł nam – powiedział jeden z tych, co ścigali Himeañczyka. – Ta jaskinia to wylot długiego, ciemnego tunelu z wieloma odgałęzieniami. Nic nie widzieliśmy i baliśmy się, że się zgubimy, no to wróciliśmy. Nie ma co próbować go tam szukać, o ile się nie zna tuneli wydrążonych w klifie pod jaskinią. Lepiej od razu zabijmy tego tu, zanim i on ucieknie.

I wymierzył z pistoletu w Tanara, pewnie mając nadzieję, że proch wysechł w trakcie marszu z plaży po drugiej stronie wyspy.

– Stój! – zawołała Stellara i jednym skokiem znalazła się przed nim. – Jak wszyscy wiecie, jestem córką Cida. Jeśli bezpiecznie mnie do niego odstawicie, to was wynagrodzi; dopilnuję tego. Wiecie, że Cid wiózł tego człowieka na Korsar, ale pewnie nie macie pojęcia dlaczego.

– Nie, nie mamy – powiedział jeden z Korsarian, którzy będąc zwykłymi żeglarzami nie znali planów dowódcy.

– On wie, jak robić broń palną i proch o wiele lepsze od naszych. Cid wiózł go na Korsar, żeby nas tego nauczył. Jeśli go zabijecie, Cid się na was wścieknie, a dobrze znacie gniew Cida. Lecz jeżeli i jego odstawicie na Korsar, to nagroda będzie większa.

– Skąd mamy wiedzieć, czy Cid żyje? – zapytał jeden z Korsarian. – A jeśli nie żyje, to kto nam wypłaci nagrodę za powrót twój i tego człowieka?

– Cid jest lepszym żeglarzem niż Bohar Krwawy, wszyscy to wiecie. A jeżeli Bohar Krwawy bezpiecznie dopłynął do Amiocapu, to Cid bez wątpienia bezpiecznie dotarł na Korsar. A nawet jeżeli zginął, to i tak dostaniecie nagrodę za przewiezienie mnie na Korsar.

– Kto ją zapłaci? – zapytał jeden z żeglarzy.

– Bulf – odparła Stellara.

– Czemu Bulf miałby płacić nagrodę za twój powrót? – zapytał Korsarianin.

– Bo mam być jego kobietą. Tego chciał Cid i on.

Sarianin nie dał po sobie poznać, jak zaboląły go te słowa, które niby nóż zraniły mu serce. Po prostu stał

ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc przed siebie. Gura oczami wielkimi ze zdumienia popatrzyła najpierw na Stellara a potem na Tanara, bo przypomniała sobie jego słowa, że Stellara jest jego małżonką; kobieca intuicja podpowiadała jej, jak ten mężczyzna bardzo kocha tę kobietę. Była zdumiona i smutna, bo domyślała się, jaki ból sprawiły Sarianinowi słowa tamtej; podeszła do Tanara i w niemym wyrazie współczucia położyła mu dłoń na ramieniu.

Korsarianie omówili szeptem propozycję Stellary, a potem ich rzecznik powiedział:

– Ale jeśli Cid nie żyje, to nie będzie miał kto nas wynagrodzić za powrót Sarianina. Równie dobrze możemy go zabić, bo i tak będzie sporo gąb do wykarmienia podczas długiej podróży na Korsar.

– Nie wiecie, czy Cid nie żyje – przekonywała Stellara. – Lecz jeśli tak, to kto się lepiej nadaje na wodza Korsarian niż Bulf? A jeżeli został wodzem, to nagrodzi was za odwiezienie tego człowieka jak mu powiem, dlaczego znalazł się na Korsarze.

– Cóż, może i masz rację – Korsarianin podrapał się po głowie. – Może się dla nas okazać cenniejszy żywy niż martwy. Jak obieca, że nam pomoże przy budowie łodzi i nie spróbuje uciec, to go ze sobą weźmiemy. A co z tą dziewczyną?

– Zatrzymajmy ją póki nie będziemy gotowi odpłynąć – burknął jeden z pozostałych Korsarian. – A potem się ją wypuści.

– Jeżeli chcecie dostać jakąś nagrodę za mój powrót, to niczego takiego nie zrobicie – powiedziała twardo Stellara; a potem chłodno i wyniośle spytała Gurę: – Co chcesz zrobić?

– Idę tam, gdzie Tanar – odpowiedziała Gura.

Stellara zmrużyła oczy; na moment rozbłysły, a potem znowu patrzyły łagodnie, chociaż ze smutkiem.

– Cóż – powiedziała, odwracając się ze smutkiem – dziewczyna musi wrócić z nami na Korsar.

Żeglarze dość długo omawiali tę sprawę i większość była temu przeciwna; lecz kiedy Stellara nalegała i zapewniała ich

o jeszcze wyższej nagrodzie, zgodzili się wreszcie, chociaż bardzo zrzędzili.

Korsarianie przemaszerowali dumnie przez mesę, obok murów Carn, trzymając w rękach arkebuzy; dobrze wiedzieli, jak się ich bali Himeańczycy po wcześniejszych napadach. Jednak nie rabowali ani nie domagali się haraczu, bo wciąż się obawiali, że ich proch jest do niczego.

Dotarli na drugi skraj mesy i spojrzeli na zatokę Carn. Wrzasnęli z radości, bo w zatoce kotwiczył korsariański okręt. Nie wiedząc, kiedy podniesie kotwicę i odpłynie, rzucili się stromym szlakiem na plażę. Zdumieni mieszkańcy wioski przyglądali się im z murów, póki ostatni Korsarianin nie zniknął za obrzeżem klifu.

Podbiegając do linii wody próbowali wystrzelić z arkebuzów, żeby przyciągnąć uwagę tych ze statku. Parę ładunków zdążyło wyschnąć i kanonada wywołała oznaki życia na zakotwiczonym statku. Ci na brzegu zerwali pasy i chustki i machali nimi energicznie, prosząc o ratunek. Na ten widok ze statku spuszczoneo łódź.

Łódź zatrzymała się w odległości głosu od brzegu i oficer zawołał do tych na plaży:

– Kim jesteście?! Czego chcecie?!

– Jesteśmy częścią załogi Cida – odparł rzecznik żeglarzy. – Nasz okręt rozbił się na środku oceanu. Dotarliśmy na Amiocap, a potem na Hime, ale tu straciliśmy łódź, którą zbudowaliśmy.

Oficer, upewniwszy się, że mężczyźni są Korsarianami, kazał podpłynąć bliżej brzegu, a na koniec dobił do plaży blisko miejsca, gdzie czekała na nią cała grupa. Po powitaniach i okrzykach wziął ich na pokład i wkrótce potem Tanar z Pellucidaru znowu się znalazł na wojennym okręcie Korsarian.

Dowódca statku znał Stellarę; dokładnie ich wypytał, pochwalił jej plan i zgodził się zabrać Tanara i Gurę na Korsar.

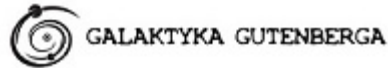
Po rozmowie z oficerem Tanar przez chwilę był sam ze Stellarą.

– Stellaro! Skąd ta zmiana?

Odwróciła się i spojrzała na niego chłodno.

– Na Amiocapie byłeś dość dobry, lecz na Korsarze będziesz tylko nagim dzikusem – potem odeszła bez dalszych wyjaśnień.

13. WIĘŹNIOWIE



Rejs na Korsar przebiegł spokojnie. Tanar nie widywał ani Stellary, ani Gury, bo chociaż nie trzymano go w ciemnej ładowni, to nie pozwolono wchodzić na wyższe pokłady. I chociaż często spoglądał na najwyższy pokład na rufie, to nigdy nie dostrzegł dziewcząt. Uznał, że Gurę trzymano w jednej z kajut i że Stellara rozmyślnie go unikała. Kiedy się zbliżyli do brzegów Korsaru zobaczył płaską krainę, wyginającą się ku górze w mglistej dali. Wydało mu się, że hen daleko dostrzega zarysy wzgórz, ale nie miał co do tego pewności. Widział uprawne pola, lasy i płynącą ku morzu rzekę – szeroką, wijącą się rzekę, nad którą, w pewnej odległości od oceanu, leżało miasto. Nie było tu portu, ale statek skierował się ku ujściu rzeki i popłynął nią ku miastu. Kiedy znaleźli się bliżej, Tanar się przekonał, że rozmiarami i okazałością budynków przewyższało wszystko, co dotąd widział na Pellucidarze, w tym nową stolicę skonfederowanych królestw Pellucidaru, zbudowaną przez imperatora Davida.

Większość budynków była biała, z czerwonymi dachami. Niektóre miały strzeliste minarety i kopuły w rozmaitych kolorach – błękitne, czerwone i złote; te ostatnie lśniły w słońcu niczym klejnoty w diademie imperatorowej Dian.

Miasto wzniesiono tam, gdzie rzeka się poszerzała; stała tam na kotwicy wielka flota okrętów wojennych i wiele mniejszych statków – łodzi rybackich i statków rzecznych, barek. Na nadbrzeżnej ulicy, przy której mieściły się sklepy, roilo się od ludzi.

Kiedy podpływali powitała ich armatnia salwa z pokładów kotwiczących wojennych statków; odwzajemnili salut. Potem

zakotwiczyli pośrodku rzeki, naprzeciwko miasta.

Od brzegu szybko nadpływały ku okrętowi niewielkie łódki. Tanar znalazł się pod strażą oficera i paru marynarzy. Dostarczono go na brzeg i poprowadzono ulicą; wzbudził znaczne zainteresowanie w tłumie, wśród którego szli, bo natychmiast rozpoznano w nim barbarzyńcę z jakiejś niecywilizowanej części Pellucidaru.

Schodząc z okrętu nie zobaczył ani Stellary, ani Gury i zastanawiał się, czy je kiedyś jeszcze ujrzy. Wciąż, jak podczas całego rejsu z Hime na Korsar, dręczyły go smutne myśli; uznał, że prawdziwą Stellarę poznał dopiero wtedy, kiedy się zdemaskowała na pokładzie okrętu na przystani Carn. Tak, był dobry na Amiocapie, ale w Korsarze był tylko nagim dzikusem i teraz to do niego dotarło: uświadomiła mu to pogarda i wyższość, z jaką mieszkańcy Korsaru na niego patrzyli czy z niego drwili.

Urażała dumę Sarianina myśl, że tak go zwiodła kobieta, której ofiarował całą swoją miłość. Ręczyłby życiem, że była najśłodsza, najczystsza, najlojalniejszą istotą, a okazała się próżna i nieszczerą, co dotknęło go do żywego; ulgę w cierpieniu przynosiło jedno – niezachwiana wiara w słodką i nieprzemijającą przyjaźń Gury.

Pogrążony w takich myślach wszedł do budynku na nabrzeżu, wyglądającego na strażnicę.

Przekazano go pełniącemu służbę oficerowi i po paru krótkich pytaniach dwóch żołnierzy zaprowadziło go do innego pomieszczenia. Tam otworzyli ciężką klapę w podłodze i kazali zejść po drabinie w mrok na dole.

Ledwo głowa Tanara znalazła się poniżej podłogi, a już zatrzaśnięto za nim klapę. Usłyszał zgrzyt ciężkiej zasuw, a potem kroki odchodzących żołnierzy.

Zszedł powoli jakieś dziesięć stóp i znalazł się na kamiennej podłodze. Oczy mu się przyzwyczaiły i przekonał się, że nie jest tu całkiem ciemno – światło dnia sączyło się z małego zakratowanego okna pod sufitem. Rozejrzał się – nikogo poza nim tu nie było. W ścianie naprzeciwko okna zobaczył przejście

i podszedł tam – prowadziło do wąskiego korytarza, biegnącego równolegle do dłuższej ściany pomieszczenia. Popatrzył w jedną i drugą stronę korytarza i dostrzegł słabe plamy światła, jakby po jednej jego stronie były inne otwarte drzwi.

Już miał iść się rozejrzeć, kiedy usłyszał, że coś sunie po podłodze korytarza. Popatrzył w lewo i zobaczył podkradające się ku niemu coś ciemnego. Miało ze stopę wysokości i ze trzy długości, ale w mroku korytarza było zbyt niewyraźne, żeby Tanar dostrzegł jakieś szczegóły. Zauważył tylko, że miało parę lśniących oczu, które w niego wlepiało. Wciąż się zbliżało, więc cofnął się do izby, z której wyszedł, bo wolał się spotkać ze stworem nie w mrocznym korytarzu, a w nieco jaśniejszym pomieszczeniu, na wypadek gdyby stwór miał go zaatakować.

Stwór nadszedł i stanął w drzwiach, wpatrywał się w Sarianina. W swoich rodzinnych stronach Tanar znał gatunki leśnych szczurów, które uważał za spore, ale nigdy nie przyszło mu na myśl, że szczur może osiągnąć rozmiary paskudztwa, wlepiającego weń paciorkowate, zuchwałe, błyszczące ślepia.

Kiedy go zabierano na okręt Korsarian odebrano mu broń, ale i tak nie bał się gryzonia, chociaż ten mógłby go zaatakować (w co wątpił). Jednak bojowa postawa szczura dała mu do myślenia i zastanawiał się, co by było, gdyby kilka jednocześnie go zaatakowało.

Szczur, wciąż przed nim stojąc, zapiszczał. Przez chwilę było cicho, a potem stwór znowu zapiszczał. Tanar usłyszał, jak z daleka odpowiada mu pisk, potem drugi. Zrobiły się głośniejsze, liczniejsze i Sarianin wiedział, że szczur z lochu Korsarian zwołuje kompanów na łowy i ucztę.

Rozejrzał się za jakąś bronią, ale nie było tu nic poza gołą podłogą i ścianami. Słyszał nadchodzącą gromadę szczurów, a ich zwiadowca, który go znalazł, stał w drzwiach i czekał.

Ale czemuż on, człowiek, miałby czekać? Jeśli ma umrzeć, to umrze w walce, a jeżeli zabierze się za szczury jeden po drugim, w miarę jak będą nadchodzić, to każe im drogo zapłacić za posiłek. I ze zwinnością tygrysa człowiek skoczył

na gryzonia; było to tak nieoczekiwane, że jedną ręką chwycił paskudztwo, zanim zdążyło uciec. Szczur, głośno piszcząc, chciał go ugryźć, ale Sarianin był za szybki i za silny. Parę razy potrząsnął zwierzakiem, skręcając mu kark, a potem rzucił nim w stronę nadciągającej gromady, którą już widział w mętym świetle korytarza. Stał pośrodku korytarza, czekając na nieunikniony los, lecz gotowy walczyć, póki go stwory nie powalą.

Kiedy tak czekał, usłyszał za sobą jakiś hałas i był przekonany, że to druga gromada zachodzi go od tyłu. Obejrzał się przez ramię – głębiej w korytarzu stał przed drzwiami jakiś człowiek.

– Chodź! – zawołał obcy. – Tu będziesz bezpieczny!

Tanar, nie marnując czasu, pognął ku niemu; a szczury biegły tuż za nim.

– Szybko! Do środka! – zawołał jego wybawca.

Chwycił Tanara za ramię i wciągnął do dużej izby, w której już było ze dwunastu lub więcej mężczyzn.

Gromada szczurów zatrzymała się w drzwiach, gniewnie łypiąc, ale żaden nie przekroczył progu.

To pomieszczenie oświetlały dwa spore okna, a nie jedno, jak tamtą izbę. W jaśniejszym świetle Sarianin mógł się przyjrzeć swojemu wybawcy. Był to miedzianoskóry olbrzym o delikatnych rysach. Kiedy bardziej odwrócił twarz ku oknom, Tanar krzyknął z zaskoczenia i radości.

– Ja! – zawołał.

Ale zanim Ja zdążył odpowiedzieć, z drugiego końca izby nadbiegł drugi mężczyzna.

– Tanar! – wykrzyknął ten drugi. – Tanar, syn Ghaka!

Sarianin gwałtownie się odwrócił i znalazł się twarzą w twarz z Davidem Innesem, imperatorem Pellucidaru.

– Ja z Anoroc i imperator! – zawołał Tanar. – Co się stało? Skąd się tu wzięliście?

– Dobrze, że tu byliśmy i usłyszałem piski szczurzej gromady – powiedział Ja. – Tamci – tu skinął głową ku pozostałym więźniom – mają za mało rozumu, żeby próbować ratować

nowych. Razem z Davidem staraliśmy się wbić im do pustych łbów, że im nas więcej, tym łatwiej się obronimy przed atakiem szczurów. Ale im wystarcza, że są bezpieczni i nie obchodzi ich, co się stanie z innymi biedakami, których tu wrzuca. Są zbyt głupi, żeby myśleć o przyszłości i zrozumieć, że jak niektórzy z nas umrą lub zostaną stąd zabrani, to może ich zostać za mało, żeby odpierać ataki głodnych zwierząt. Lecz powiedz nam, Tanarze, gdzie byłeś i jak się tu znalazłeś.

– To długa historia – odparł Sarianin. – Najpierw chciałbym usłyszeć opowieść mojego imperatora.

– W naszych przygodach nie ma nic ciekawego – powiedział David. – Lecz bardzo się nam może przydać to, czego się dowiedziałem od Korsarian o wielu sprawach, które mnie intrygowały. Kiedy zobaczyliśmy, że flota Korsarian odpływa z tobą i innymi naszymi ludźmi, uwięzionymi na okrętach, ogarnęła nas rozpacz. Staliśmy na brzegu wielkiego morza ponad Krainą Straszliwego Cienia i martwiliśmy się, że pewnie nigdy nie będziemy mogli was uwolnić. Wtedy postanowiłem podjąć ryzyko i dlatego znaleźliśmy się w lochu w stolicy Korsaru. Spośród tych, co chcieli mi towarzyszyć, wybrałem Ja i wzięliśmy ze sobą jako pilota korsariańskiego więźnia imieniem Fitt. Płynęliśmy jedną z porzuconych przez uciekających Korsarian łodzi i rejs przebiegał spokojnie póki nie dopadł nas najstraszliwszy sztorm, jaki w życiu widziałem.

– Z pewnością ten sam sztorm, co uszkodził wiozące nas statki Korsarian – powiedział Tanar.

– Bez wątplenia – potwierdził David – i za chwilę się tego dowiesz. Sztorm pozbawił nas masztu i takielunku; zostały nam tylko dwa wiosła. Jak może wiesz, są one tak ciężkie, że jednym porusza dwóch lub trzech mężczyzn, a ponieważ było nas tylko trzech, to mogliśmy jedynie powolutku wiosłować. Dwóch z nas poruszało wiosłami, a trzeci zmieniał któregoś z nas, potem ten następnego i tak kolejno co jakiś czas. Ale najpierw musieliśmy skrócić wiosła do takich rozmiarów, żeby każdym mógł poruszać jeden człowiek, za bardzo się nie męcząc. Fitt ustalił kurs; mój kompas wskazał, że niemal prosto na północ i tak,

niemal bez odchyień, płynęliśmy jak minął sztorm. Wiele razy jedliśmy i spaliśmy, zanim Fitt oznajmił, że jesteśmy w pobliżu wyspy Amiocap, w połowie drogi pomiędzy Korsarem a miejscem, z którego wypłynęliśmy. Wciąż mieliśmy wodę i prowiant, które by nam spokojnie wystarczyły na cały rejs gdybyśmy mieli żagiel, ale przy tak powolnym wiosłowaniu mógł nam zagrozić głód lub śmierć z pragnienia na długo przed dotarciem do Korsaru. Postanowiliśmy wylądować na Amiocapie i naprawić łódź, ale wcześniej zrównał się z nami statek Korsarian; ujęli nas, bo nie mogliśmy ani uciec, ani się bronić. Był to jeden z okrętów floty Cida i o ile wiemy, jedyny co przetrwał sztorm. Wkrótce po tym, jak nas schwytali, znaleźli łódź pełną rozbitków ze statku Cida, który był wśród nich. To od niego się dowiedzieliśmy, że ty i reszta więźniów z pewnością zginęliście wraz z jego statkiem, który tonął, kiedy on zszedł z pokładu. Ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem się, że Cid zostawił na pastwę losu własną córkę i sądzę, że ten tchórzliwy postępek mocno ciążył mu na sumieniu, bo był milkliwy i posepny, i unikał towarzystwa nawet własnych oficerów.

– Nie zginęła – odezwał się Tanar. – Uciekliśmy razem, jedyni ocaleni ze statku Cida, jak sądziliśmy. Potem złapali nas marynarze z innej szalupy, która też dotarła na Amiocap i z nimi wróciliśmy.

– Rozmawiając z Cidem, oficerami i marynarzami z okrętu Korsarian próbowałem wysondować co wiedzą o rozległości tego morza, znanego jako Korsar Az. Przy okazji się dowiedziałem, że mają kompasy i znakomicie się nimi posługują. Powiedzieli mi, że nigdy nie dopłynęli do zachodnich krańców Korsar Az, które ciągnie się w tamtą stronę przez niezliczone mile. Za to na wschód popłynęli wzdłuż wybrzeży z południa Korsaru i dotarli do brzegu, na którym wylądowali, żeby napaść na imperium Pellucidaru. To wskazuje, a właściwie dowodzi, że Korsar leży na tym samym wielkim kontynencie co imperium Pellucidaru; i jeżeli uciekniemy z więzienia, to będziemy mogli dotrzeć łądem do naszej krainy.

– Lecz jest jedno „ale” – odezwał się Ja. – Wiele razy jedliśmy i spaliśmy od kiedy nas tu wrzucili, a nie jesteśmy ani odrobinę bliżej ucieczki niż wtedy. Nawet nie wiemy, co nas czeka.

– Tamci więźniowie – podjął David – powiedzieli nam, że fakt, iż nas od razu nie zabito (jak to zwykle czynią Korsarianie z jeńcami wojennymi) wskazuje, że oszczędzili nas w jakimś celu. Ale nie mogę się domyślić w jakim.

– Ja mogę – powiedział Tanar. – Właściwie to jestem przekonany, że wiem.

– I cóż to takiego? – zapytał Ja.

– Chcą, żebyśmy ich nauczyli wytwarzać naszą broń palną i proch – odparł Sarianin. – Ale skąd, waszym zdaniem, wzięli swoje pistolety i proch?

– Albo te wielkie statki, którymi pływają – dodał Ja – i które są większe od naszych? Tego wszystkiego nie znano w Pellucidarze przed przybyciem Davida i Perry’ego, a wygląda na to, że Korsarianie od zawsze z tego korzystali.

– Mam pewien pomysł – powiedział David. – Ale jest tak szalony, że wahałem się go rozważyć, a co dopiero głośno o nim mówić.

– W czym rzecz? – zapytał Tanar.

– Podsunęły mi go rozmowy z Korsarianami – odrzekł imperator. – Wszyscy bez wyjątku zapewniali mnie, że ich przodkowie przybyli z innego świata: świata na górze, gdzie słońce stale nie stoi w zenicie, ale regularnie przecina niebo i przez połowę czasu zostawia świat w ciemności. Mówią, że część tego świata jest bardzo zimna i statki ich przodków, żeglarzy, uwięzły w zamrożonej wodzie; że ich kompasy wskazywały wszystkie kierunki i już nie mogli z nich korzystać i że kiedy wreszcie przedarli się przez lód wpłynęli do Pellucidaru, zamieszkanego tylko przez nagich dzikusów i dzikie bestie. Wzniesli tu swoje miasto i zbudowali okręty; ich społeczność co jakiś powiększała się o nowych żeglarzy ze świata, z którego sami pochodzą. Żenili się z tubylkami, które w tej części Pellucidaru miały ponoć bardzo niski status – David zamilkł.

– I o czym to świadczy? – zapytał Tanar.

– To świadczy – powiedział David, – że jeżeli ich legenda jest prawdziwa lub oparta na faktach, to ich przodkowie przybyli z tego samego zewnętrznego świata co Perry i ja. Ale którądy? To dopiero zagadka.

Trzech mężczyzn wiele razy o tym rozmawiało, siedząc w lochu, ale nigdy nie rozwikłało tej tajemnicy. Wiele razy przynoszono im jedzenie i kilka razy spali zanim przyszli korsariańscy żołnierze i zabrali ich z lochu.

Zaprowadzono ich do pałacu Cida; architektura budowli jeszcze pogłębiła tajemnicę pochodzenia tej dziwnej rasy, bo David Innes dopatrywał się tu wyraźnych wpływów Maurów.

W pałacu wprowadzono ich do obszernej komnaty, pełnej wąsatych Korsarian, wystrojonych w najbardziej jarmarczne stroje, znacznie przewyższające barwnością i ozdobnością stosunkowo proste ubiory, jakie nosili na statku. W końcu komnaty w stojącym na podwyższeniu ozdobnym, dużym krześle siedział mężczyzna. To był Cid. Kiedy David go zobaczył, nagle po raz pierwszy zrozumiał, co sugerował tytuł władcy Korsarian.

Wcześniej to imię było dla Davida wyłącznie imieniem. Nie brał pod uwagę, że to tytuł, nie widział w nim nic szczególnego. Lecz teraz, w połączeniu z mauretańskim stylem pałacu i rzeźbionym tronem, wywołało skojarzenia.

Cyd! Rodrigo Diaz de Bivar – El Campeador – bohater jedenastowiecznej Hiszpanii. Cóż to znaczyło? David pomyślał o statkach Korsarian – ich pstrokatej menażerii z arkebuzami i kordami – i przypomniał sobie porywające opowieści o piratach z południowej części Morza Karaibskiego, które czytywał jako chłopiec. Byłaby to jedynie przypadkowa zbieżność? Czy w wewnętrznym świecie mogła się pojawić nacja tak bardzo przypominająca siedemnastowiecznych bukanierów? Czy też ich przodkowie naprawdę dotarli tu z zewnętrznej skorupy? David Innes nie wiedział. Był naprawdę zaintrygowany. Ale zaprowadzono go do stóp tronu Cida i nie miał już czasu na dalsze domysły.

Okrutne, przebiegłe oczy Cida spojrzały na trzech więźniów.

– Imperator Pellucidaru! – powiedział z szyderczym uśmiechem. – Król Anoroc! Syn króla Sari! – zaśmiał się gromko; wyciągnął przed siebie dłoń z palcami wygiętymi jakby coś trzymały. – Imperator! Król! Księżę! – zadrwił ponownie. – A wszyscy jesteście w mocy Cida. Imperator, phi! To ja, Cid, jestem imperatorem Pellucidaru! Ty i twoje nagie dzikusy! – naskoczył na Davida. – Kim jesteś, żeby się nazwać imperatorem? Mógłbym was wszystkich zmiażdżyć – zacisnął dłoń w geście nieukrywanego okrucieństwa. – Ale tego nie zrobię. Cid jest wspaniałomyślny, a także umie się odwdzięczyć. Odzyskacie wolność za niską cenę, którą z łatwością zapłacicie – umilkł, jakby oczekiwał pytań, ale żaden się nie odezwał; nagle znowu naskoczył na Davida: – Skąd macie broń i proch? Kto je wam zrobił?

– Sami je zrobiliśmy – odparł David.

– Kto was tego nauczył? – dopytywał się Cid. – Nieważne. Wystarczy, że wiecie, a my się dowiemy od was. Odzyskacie wolność ucząc nas.

David potrafił wyprodukować proch; ale nie wiedział, czy byłby on lepszy od prochu Korsarian. Zostawił to Perry’emu i jego uczniom w imperium. Świetnie wiedział, że nie potrafi zbudować nowoczesnej strzelby, jak te z arsenałów w Sari, bo nie miał ani planów oprzyrządowania ani pieców do wytopu stali. Niemniej była to szansa odzyskania wolności, do ucieczki i nie mógł jej odrzucić przyznając, że nie mogą wyprodukować nowoczesnej broni palnej czy polepszyć jakość prochu Korsarian.

– I co ty na to? – spytał niecierpliwie Cid.

– Nie możemy wyprodukować prochu ani strzelb od posiłku do posiłku – odparł David – nie możemy też zrobić ich z niczego. Musimy mieć materiały, fabryki, wyszkolonych ludzi. Będziecie wiele razy spać zanim to zorganizujemy. Będziecie czekać?

– Ile razy będziemy spać zanim nauczycie naszych ludzi, jak się to robi? – zapytał Cid.

David wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Najpierw muszę znaleźć potrzebne materiały.
– Mamy je – stwierdził Cid. – Mamy żelazo i składniki do wyrobu prochu. Musicie je tylko połączyć lepiej niż my to potrafimy.

– Może i macie materiały, ale mogą nie być na tyle dobrej jakości, żeby z nich zrobić rzeczy, które by zadowolily poddanych Imperatora Pellucidaru. Może wasz nitryt jest gorszego sortu; w siarce są zanieczyszczenia; nawet węgiel drzewny może być źle przygotowany. A przy doborze materiałów i ich przetopieniu w stal, odpowiednią do produkcji broni dla Pellucidarczyków należy brać pod uwagę jeszcze ważniejsze kwestie.

– Nie będziesz musiał się spieszyć – oznajmił Cid; popatrzył na stojącego blisko niego mężczyznę. – Dopilnuj, żeby tym ludziom zawsze towarzyszył oficer. Wypełniając moje rozkazy mogą robić co chcą i chodzić gdzie chcą. Dajcie im robotników, jeśli sobie tego zażyczą, lecz nie pozwólcie im się obijać ani uciec, bo spotka was śmierć.

I tak się zakończyło ich spotkanie z Cidem Korsarianinem.

Tak się złożyło, że do pilnowania ich wyznaczono Fitta – chłopaka, którego David wybrał, żeby towarzyszył jemu i Ja w pościgu za korsariańską flotą. Fitt dobrze poznał Davida i Ja, a ponieważ dobrze go traktowali, to był przyjazny, chociaż – jak większość Korsarian – miał skłonność do dzikości i okrucieństwa.

Kiedy wychodzili z pałacu, w jednej z komnat przy korytarzu, którym szli, mignęła im dziewczyna. Fitt, napawając się swoim nowym statusem i czując się ważną osobą, prezentując różne cuda ignorantom i niewtajemniczonym, opowiadał o wartych uwagi rzeczach i ważnych osobach, które mijali. Skinął w stronę komnaty z dziewczyną, choć już tak daleko przeszli korytarzem, że jej nie widzieli.

– A to – powiedział – jest córka Cida.

Tanar się zatrzymał i zapytał Fitta:

– Mógłbym z nią porozmawiać?

– Ty! – wykrzyknął Fitt. – Ty rozmawiać z córką Cida!

– Znam ją – wyjaśnił Sarianin. – Zostaliśmy we dwoje na porzuconym okręcie, kiedy zdezerterowała załoga i oficerowie. Spytaj, czy zechce ze mną porozmawiać.

Fitt się wahał.

– Cidowi to mogłoby się nie spodobać – powiedział.

– Dał ci jedynie rozkaz towarzyszenia nam – odezwał się David. – Jak mamy wykonać naszą robotę, jeśli nie będziemy mogli rozmawiać z kim zechcemy? Nie zawiniśz, prowadząc nas do córki Cida. To nie będzie twoja wina, jeśli zechce porozmawiać z Tanarem.

– Pewnie masz rację – uznał Fitt. – Zapytam.

Stał w drzwiach komnaty, w której były Stellara i Gura; dopiero teraz zobaczył, że towarzyszy im mężczyzna. Tym mężczyzną był Bulf. Wszyscy troje spojrzeli na niego.

– Ktoś chce porozmawiać z córką Cida – powiedział do Stellary.

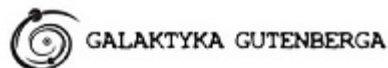
– Kto taki? – zapytał Bulf.

– Tanar, jeniec wojenny z Sari.

– Powiedz mu – poleciła Stellara – że córka Cida go sobie nie przypomina i nie może się zgodzić na rozmowę z nim.

Fitt odwrócił się i wyszedł z komnaty, a zazwyczaj smutne oczy Gury spojrzały na Stellarę z gniewnym zdumieniem.

14. DWA SŁOŃCA



David, Tanara i Ja zakwaterowano w koszarach w pałacowym murze. Natychmiast zaczęli wprowadzać w życie plan zaproponowany przez Davida, obejmujący nie tylko inspekcję korsariańskiej wytwórni prochu i arsenałów, w których produkowano ich broń palną, ale i oględziny pokładów saletry, złóż siarki, kopalń żelaza i pieców do wypalania węgla drzewnego. Te wyprawy w celu inspekcji źródeł materiałów i metod ich pozyskiwania nie wzbudzały podejrzeń Korsarian, chociaż miały zupełnie inny cel.

Po pierwsze David nie miał najmniejszego zamiaru uczyć Korsarian jak ulepszyć proch, bo wtedy staliby się jeszcze większym zagrożeniem dla pokoju imperium niż byli obecnie, kiedy to ich proch równie często wybuchał jak nie wybuchał. Jednakże te inspekcje, często w miejscach odległych od miasta Korsar, pozwalały odwlec naukę produkcji prochu; zaś David z towarzyszami starali się obmyślić plan ucieczki, mający choć niewielką szansę na sukces. Umożliwiały im też lepsze poznanie okolicznych terenów, rozmaitych szlaków oraz zaznajomienie się z obyczajami prymitywnych plemion, zajmujących się rolnictwem Korsaru, pracą w kopalniach, przy wypalaniu węgla drzewnego i na pokładach saletry.

Raz dwa dowiedzieli się, że wszyscy Korsarianie mieszkają w mieście Korsar, że jest ich jakieś pięćset tysięcy; a jako że całą robotę wykonywali niewolnicy, to każdy Korsarianin powyżej piętnastego roku życia mógł służyć w wojsku. Zaś ci pomiędzy dziesiątym a piętnastym rokiem życia właściwie też służyli, bo w tym okresie przechodzili szkolenie, ucząc się wszystkiego o żeglowaniu, piractwie i łupieżczych wyprawach. David szybko

się zorientował, że to nie liczebność a zjadłość czyniła z Korsarian takie zagrożenie dla pokoju Pellucidaru, lecz liczył, że pokona ich mając tyle samo statków i żołnierzy i cieszył się, że podjął się tego niebezpiecznego zadania, bo im dłużej w trójkę poznawali otoczenie Korsaru tym bardziej byli przekonani, że ucieczka jest możliwa.

Prymitywne dzikusy, którym Korsarianie odebrali krainę i z których zrobili niewolników, były tak mało inteligentne, że David był przekonany, iż Korsarianie (dziesięciokrotnie mniej od nich liczni) nigdy nie zrobią z nich żołnierzy. Ich wioski, jak poinformował go Korsarianin, sięgały daleko w głąb lądu, tam, gdzie nie dotarł żaden człowiek. Sami tubylcy opowiadali o zimnej krainie na północy, o jałowych, opustoszałych terenach, gdzie nie przeżyłby żaden człowiek; mówili o górach, lasach i równinach na wschodzie i południowym wschodzie, jak to określili „na wybrzeżach Motop Az” – płonącego morza z pellucidarskich legend, na którym unosi się kontynent Pellucidaru.

Wiara tubylców, że kontynent rozciąga się na południe i południowy wschód zgadzało się z przekonaniem Davida, że Korsar leży na tym samym kontynencie co Sari; dodatkowo przemawiało za tym to, że wszyscy trzej, jak tylko stanęli na brzegach Korsaru, natychmiast odzyskali zmysł orientacji (a raczej odzyskali go rodowici Pellucidarczycy – Tanar i Ja – bo David nie miał tego wrodzonego instynktu, bezbłędnie prowadzącego do domu). Obaj byli pewni, że gdyby od rodzinnych ziem dzielił ich wielki ocean, to nie wiedzieliby tak dokładnie, w którym kierunku leży Sari.

Coraz częściej podróżowali w rozmaite miejsca odległe od miasta Korsar, a Fitt robił się coraz mniej czujny, toteż od czasu do czasu bywali bez niego w jakimś dalekim miejscu.

Tanar, dotknięty tym, że Stellara wciąż go odtrąca, próbował sobie wmówić, że wcale jej nie kocha. Starał się uwierzyć, że jest okrutna, twarda i niewierna, ale tylko jeszcze bardziej się unieszczęśliwił. Ukrywał to przed towarzyszami i z zapalem planował z nimi ucieczkę. Serce mu pękało na myśl, że

na zawsze porzuci krainę ukochanej, chociaż raczej nie miał nadziei, że jeszcze kiedyś zobaczyłby Stellareę, gdyby został, bo w koszarach, gdzie mieszkał, plotkowano o zbliżających się zaślubinach jej i Bulfa.

Okno przyznanej mu kwatery wychodziło na fragment ogrodu Cida – pięknego zakątka, gdzie wzdłuż żwirowych alejek rosły drzewa, krzewy i kwiaty, a w słońcu lśniło małe jezioro i strumyczek.

Tanar rzadko bywał u siebie, a jeśli akurat był, to prawie nie zwracał uwagi na ogród za murem. Pewnego razu, po powrocie z inspekcji kopalni żelaza, został sam ze swoimi smutnymi myślami; usiadł na parapecie i patrzył na uroczy zakątek – zauważył dziewczynę, idącą jedną z alejek niemal tuż pod jego oknem. Patrzyła ku jego oknu i ich spojrzenia się spotkały. To była Gura.

Dotknęła palcem warg, nakazując mu milczenie i szybko podeszła najbliżej jak się dało do jego okna.

– Na drugim końcu waszych koszarów jest w murze ogrodu furka – szepnęła Gura na tyle głośno, żeby usłyszał. – Natychmiast tam przyjdź.

Tanar powstrzymał się od pytań. Mówiła stanowczo, a jej zachowanie świadczyło o zaniepokojeniu i naglącej sytuacji. Sarianin zszedł po schodach na parter, wyszedł z budynku i powoli ruszył ku jego drugiej stronie. Otaczali go Korsarianie, ale przywykli do jego widoku; szedł wolno i beztrąsko, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Zaraz za koszarami natrafił na niewielką, solidną drewnianą furkę w murze ogrodu; kiedy tam podeszedł, otwarła się gwałtownie i pospiesznie wszedł do ogrodu. Gura natychmiast zamknęła za nim furkę.

– Nareszcie mi się udało! – wykrzyknęła. – A już myślałam, że nic z tego. Tak bardzo się starałam z tobą zobaczyć od kiedy Fitt zabrał cię z pałacu Cida. Dowiedziałam się od jednego z niewolników, gdzie jest w koszarach twoja kwatera i jak tylko mogłam, szłam pod twoje okno. Wcześniej dwa razy cię widziałam, ale nie udało mi się przyciągnąć twojej uwagi, a jak się to wreszcie stało, to pewnie jest już za późno.

– Za późno! O czym mówisz? Na co za późno? – zapytał Tanar.
– Za późno, żeby ocalić Stellarę – powiedziała dziewczyna.
– Jest w niebezpieczeństwie? – dopytywał się Tanar.
– Zakończono przygotowania do jej ślubu z Bulfem. Nie może zbyt długo tego odwlekać.
– Czemu miałyby to odwlekać? – zapytał Sarianin. – Nie odpowiada jej człowiek, którego wybrała?
– Jak wszyscy mężczyźni jesteś tępakiem w sprawach kobiecego serca – stwierdziła Gura.
– Wiem, co mi powiedziała – rzekł Tanar.
– Jak mogłeś uwierzyć, że kocha innego po tym wszystkim, co razem przeszliście, po tym kim dla ciebie była?
– Chcesz mi powiedzieć, że nie kocha Bulfa?
– Jasne, że go nie kocha. To obrzydliwy brutal.
– I wciąż mnie kocha?
– Nigdy nikogo innego nie kochała.
– To czemu mnie tak potraktowała? Czemu powiedziała to, co powiedziała?
– Była zazdrosna.
– Zazdrosna! O kogo?!
– O mnie – Gura spuściła oczy.
Sarianin patrzył w osłupieniu na stojącą przed nim ciemnowłosą Himeankę. Widział smukłą postać, przygarbione ramiona, przygnębienie dziewczyny.
– Guro, czy kiedykolwiek mówiłem ci słowa miłości? Czy kiedykolwiek dałem Stellarze czy komu innemu powody do uwierzenia, że jej nie Kocham?
Potrząsnęła głową.
– Nie. I powiedziałam to Stellarze, kiedy się zorientowałam, co ona myśli. Powiedziałam, że mnie nie Kochasz i wreszcie uwierzyła i poprosiła mnie, żebym cię znalazła i przekazała ci, że wciąż cię kocha. Mam też wiadomość od siebie. Znam cię, Sarianinie. Wiem, że nie zamierzasz pozostać więźniem Korsarian. Wiem, że spróbujesz uciec i przyszłam cię błagać, żebyś zabrał ze sobą Stellarę, bo ona się zabije zanim zostanie kobietą Bulfa.

– Ucieczka – zamyślił się Tanar. – Jak można uciec z samego środka pałacu Cida?

– To zadanie dla mężczyzny – oznajmiła Gura. – Ty musisz znaleźć sposób.

– A ty? – zapytał Tanar. – Chcesz z nami uciec?

– Nie myśl o mnie. Jeśli ty i Stellara uciekniecie, to ja się nie liczę.

– Ależ liczysz się i jestem przekonany, że nie chcesz zostać w Korsarze.

– Nie, nie chcę zostać w Korsarze. A już zwłaszcza teraz, kiedy wpadłam w oko Cidowi.

– Chcesz wrócić na Hime?

– Po tym krótkim szczęściu, jakiego posmakowałam, nie mogłabym wrócić do awantur, nienawiści i nieustannego nieszczęścia życia w jaskini Scurva. A gdybym musiała w Hime wziąć sobie współmałżonka, to takie życie powtórzyłoby się w innej jaskini.

– To chodź z nami.

– O, gdybym tylko mogła!

– To postanowione. Idziesz z nami, a jak dotrzemy do Sari, to na pewno znajdziesz spokój i szczęście.

– To jak sen, z którego obudzę się w jaskini Scurva – powiedziała smutno.

– Sprawimy, że sen się spełni. A teraz obmyślmy, jak wydostać ciebie i Stellarę z pałacu Cida.

– To nie będzie łatwe.

– Nie, to najtrudniejsza część ucieczki – przyznał Tanar. – Ale trzeba to zrobić i wierzę, że im zuchwalszy będzie plan, tym większa szansa na sukces.

– I należy to zrobić od razu – powiedziała Gura, – bo przygotowania do ślubu skończone i Bulf się niecierpliwi.

Tanar przez chwilę stał zamyślony, starając się obmyślić plan choć odrobinę wykonalny.

– Mogłabyś zaraz przyprowadzić Stellarę do tej furtki?

– Jeśli jest sama, to tak.

– To idź po nią i czekajcie tu na mnie. Cicho zagwiżdżę. Jak usłyszycie ten sygnał to otwórz furtkę.

– Wrócę najszybciej jak się da – obiecała Gura.

Kiedy Tanar wrócił na podwórzec koszar, szybko zamknęła za nim furtkę.

Sarianin rozejrzał się i z zadowoleniem stwierdził, że najwyraźniej nikt nie zauważył, jak wychodzi z ogrodu. Zamiast wrócić drogą, którą tu przyszedł, zawrócił w przeciwnym kierunku i poszedł prosto do jednej z głównych bram pałacu. Miał po temu powód – chciał się przekonać, czy nie zatrzyma go straż przy głównej bramie.

Tanar nie zaczął się ubierać tak, jak jego porywacze i wciąż rzucał się w oczy przez swój skąpy przyodziewek i ozdoby barbarzyńskiego wojownika. Na pałacowym dziedzińcu i pobliskich ulicach Korsaru już do niego przywykli. Ale jeszcze nigdy nie przechodził sam przez pałacową bramę; i bez Fitta.

Zbliżając się do bramy ani nie przyspieszył, ani nie zwolnił, szedł swobodnie. Inni wchodzili i wychodzili; strażę staranniej sprawdzały tych pierwszych niż tych drugich. Tanar wkrótce się znalazł na ulicy przed pałacem Cida.

To już znany widok – wąska, zakurzona ulica z niewielkimi sklepami i halami targowymi po przeciwległej stronie, kroczący dumnie Korsarianie w jaskrawych chustach i pasach, niewolnicy dźwigający ciężary; do miasta wnoszono warzywa i łupy z polowań z głębi krainy, a ku interiorowi kierowano bele garbowanych skór, sól i inne towary, odpowiadające niewyszukanym gustom aborygenów. Niektóre bele skór były tak duże i ciężkie, że musiało je nieść czterech tragarzy; układano je na dwóch długich tykach, wspartych końcami o ramiona mężczyzn.

Szeregi niewolników niosły zaopatrzenie i amunicję na okręty, szykujące się do kolejnego wypadu; drudzy nieśli łupy z ładowni statku, który niedawno zakotwiczył na rzece przed miastem.

Panował zamęt, dodatkowo wzmagany okrzykami kupców, zachwalających towar i piskliwymi kłótniami potencjalnych

klientów.

Sarianin przeciskał się przez pstrokaty tłum ku kolejnej bramie na pałacowe tereny, blisko drugiego końca długich koszar. Tą bramą najczęściej przechodził, więc tylko rzucono na niego okiem; wszedł i natychmiast pospieszył do kwatery Davida. Zastał tak Davida jak i Ja i od razu przedstawił im plan, który szlifował od wyjścia z ogrodu Cida.

– A teraz – powiedział – zanim się zgodzicie na mój plan, wiedzcie, że nie oczekuję, że ze mną pójdziecie, jeżeli uważacie, że mam niewielkie szanse powodzenia. Mam obowiązek i chcę uratować Stellare i Gurę. Lecz nie mogę was prosić, żebyście zrezygnowali z własnych planów.

– Twój plan jest dobry – odparł David – a nawet gdyby nie był, to jest najlepszy ze wszystkich dotychczasowych. I nie ma mowy, żebyśmy opuścili ciebie, Stellare i Gurę. Idziemy z wami i wiem, że mówię tak za siebie jak i za Ja.

– Wiedziałem, że to powiesz – rzekł Sarianin. – A teraz zabierzmy się za wykonanie planu.

– Dobrze – powiedział David. – Ty kup co trzeba i wracaj do ogrodu, a my z Ja zrobimy swoje.

Od razu ruszyli ku pałacowej bramie na drugim końcu koszar i kiedy wychodzili, zatrzymał ich trzymający wartę Korsarianin.

– Gdzie teraz? – zapytał.

– Idziemy do miasta, kupić co trzeba na długą wyprawę w poszukiwaniu nowych złóż żelaza w głębi kraju, dalej niż kiedykolwiek byliśmy.

– A gdzie Fitt? – zapytał strażnik.

– Cid go wezwał i pod jego nieobecność robimy niezbędne przygotowania.

– W porządku – żołnierz był najwyraźniej zadowolony. – Możecie przejść.

– Wrócimy z tragarzami – powiedział David – po niektóre nasze rzeczy, a potem znowu wyjdziemy po resztę sprzętu. Uprowadzisz, że będziemy przechodzić, na wypadek, gdyby cię tu nie było?

– Będę tu – zapewnił żołnierz. – A co zabierzecie w głąb kraju?

– Sądzymy, że może będziemy musieli się udać nawet za najdalsze granice Korsaru, gdzie tubylcy niewiele lub w ogóle nic nie wiedzą o Cidzie i jego władzy, więc koniecznie powinniśmy zabrać zapasy i towary na wymianę, żebyśmy dostali od nich, co nam będzie potrzebne. Nasza wyprawa nie będzie tak liczna, żebyśmy mogli im to odebrać siłą.

– Rozumiem – powiedział żołnierz. – Ale to dziwne, że Cid, zamiast rozpaskudzać te dzikusy wymianą, nie wysłał muszkietów i pistoletów, żeby sobie wziąć co zechce.

– Tak, to też wydaje mi się dziwne – powiedział David i wszyscy trzej wyszli na ulicę Korsaru.

Za bramą David i Ja skręcili w prawo, ku targowi, a Tanar od razu przeciął ulicę i wszedł do jednego ze sklepów. Kupił dwa duże skórzane worki, z którymi zaraz wrócił na tereny pałacowe; podszedł do ogrodowej furtki i cicho zagwizdał, dając dziewczętom znak, że wrócił.

Furtka niemal od razu się otworzyła i Tanar szybko wszedł do ogrodu. Gura zamykała za nim furtkę, a Sarianin znalazł się twarzą w twarz ze Stellarą. Oczy miała pełne łez, usta jej drżały od tłumionych uczuć. Wziął ją w ramiona i przytulił.

Targ w Korsarze to duży, otwarty plac, gdzie tubylcy z interioru wymieniają płody rolne, surowe skóry i mięso upolowanych zwierząt na skromne produkty, które chcieli zabrać do domów.

Rolnicy przynieśli swoje warzywa w dużych koszach z trzciny powiązanej trawami. Te kosze mają zwykle jakieś cztery stopy w każdą stronę; dwaj mężczyźni niosą je na jednym drągu, jeśli są lekkie, albo na dwóch, jeżeli są wyładowane.

David i Ja podeszli do grupy mężczyzn z pustymi koszami, najwyraźniej szykujących się do wyjścia z targu. Wypyтали kilku z nich i znaleźli dwóch, wracających do tej samej wioski, leżącej dość daleko na północ od Korsar.

Fitt, na rozkaz Cida, dał im sporą sumę korsariańskich pieniędzy, żeby mogli kupować to, co im potrzebne do badań

i eksperymentów. Złote monety, o rozmaitych rozmiarach i ciężarze, miały z jednej strony podobiznę Cida (w każdym razie miała to być jego podobizna), a z drugiej – korsariański statek. Złote monety od tak dawna były w użyciu w Korsarze i na okolicznych terenach, że przyjmowali je tubylcy nawet z dalekich wiosek i plemion, toteż David bez trudu wynajął ośmiu tragarzy i dwa kosze, żeby zanieśli ekwipunek chociaż do ich wioski (prawdę mówiąc, David nie miał zamiaru korzystać z ich usług na aż tak długiej trasie).

David i Ja, dobiwszy targu z tubylcami, poprowadzili ich do pałacowej bramy, gdzie oficer skinieniem głowy pozwolił im przejść.

Kiedy szli wzdłuż koszar, bali się tylko tego, że Fitt mógł wrócić ze spotkania z Cidem. Gdyby tak było, gdyby ich zobaczył i wypytał, to wszystko byłoby stracone. Wstrzymywali oddech, zbliżając się do wejścia do swoich kwater, gdzie i Fitt miał swoją kwaterę. Ale go nie zauważyli, mijając wejście i pospieszyli do ogrodowej furtki. Tu się zatrzymali i polecili tragarzom ustawić kosze tuż przy furtce. David Innes zagwizdał. Furtka gwałtownie się otwarła; na polecenie Tanara ośmiu tragarzy weszło, podniosło dwa toboły, leżące tuż przy wejściu do ogrodu i umieściło je w koszach czekających przed murem. Zamknięto pokrywy. Niewolnicy podnieśli kosze i wszyscy zawrócili ku pałacowej bramie, przez którą dopiero co weszli.

I znowu Davida Innesa zmroził strach, że Fitt powrócił, ale minęli koszary i dotarli do bramy, nie widząc go. Przy bramie zatrzymał ich trzymający wartę Korsarianin.

– Nie zabrało wam to dużo czasu – powiedział. – Co macie w koszach? – i uniósł pokrywę jednego z nich.

– Tylko nasze prywatne rzeczy – odparł David. – Kiedy wrócimy, będziemy mieć cały ekwipunek. Może obejrzałbyś od razu wszystko?

Korsarianin, patrząc na leżący na dnie kosza skórzany worek, namyślał się przez chwilę, a potem powiedział:

– No dobrze, przejrzę wszystko razem – i opuścił pokrywę.

W trzech mężczyznach serca zamarły, ale głos Davida Innesa nie zdradził żadnych emocji.

– Kiedy wróci Fitt – powiedział do strażnika przy bramie – powiedz mu, że bardzo chciałbym się z nim zobaczyć i poproszę go, żeby poczekał w naszych kwaterach aż wrócimy.

Korsarianin kiwnął głową i gestem kazał im wyjść za bramę.

David skręcił w prawo i poprowadził wszystkich wąską uliczką ku targowi. Tam znienacka skręcił w lewo w kręty zaułek i zawrócił ku północy ulicą równoległą do tej, przy której stał pałac. Było tu mniej sklepów i mniejszy ruch i tragarze mogli przyspieszyć. Na koniec wyszli z miasta Korsar. A potem, grożąc lub obiecując dodatkowe sztuki złota, trzech mężczyźni nakłonili tragarzy do truchtu; biedacy zatrzymali się dopiero wtedy, kiedy opadli z sił. Ruszyli dalej po krótkim odpoczynku i posiłku; nie zwolnili tempa póki nie dotarli do pofałdowanych, lesistych ziem u stóp gór, daleko na północ od Korsar.

Tu, pod osłoną lasu, tragarze postawili kosze i padli na ziemię, żeby odpocząć, zaś Tanar i David odrzucili pokrywy, rozwiązali zaciskające worki rzemienie i ujawnili ich zawartość.

Stellarę i Gurę, na wpół uduszone i niemal całkiem odrętwiałe, wyjęto z koszy; tragarze osłupieli.

– Wiecie, kim jest ta kobieta? – zapytał ich Tanar.

– Nie – odrzekł jeden z nich.

– To Stellara, córka Cida – wyjaśnił Sarianin. – Pomogliście ją wykraść pałacu ojca. Wiecie, co będzie, jak was złapią?

Tragarze zatrzęśli się ze strachu.

– Nie wiedzieliśmy, że jest w koszu – powiedział któryś. – Nie mamy z tym nic wspólnego. To wy ją wykradliście.

– Czy Korsarianie wam uwierzą, jeśli nas złapią, kiedy opowiemy ile złota wam zapłaciliśmy? – zapytał Tanar. – Nie, nie uwierzą i nie muszę mówić, jaki los was czeka. Ale będziecie bezpieczni, jeśli zrobicie co każę.

– To znaczy? – zapytał jeden z tubylców.

– Weźcie swoje kosze i szybko wracajcie do wioski. Nie mówcie nikomu, póki życia, coście zrobili, nawet swoim

kobietom. Jeśli nie powiecie, to nikt się nie dowie, bo my będziemy milczeć.

– Nigdy nic nie powiemy! – wykrzyknęli chórem.

– Nawet o tym ze sobą nie rozmawiajcie – ostrzegł David – bo nawet drzewa mają uszy. A jeśli Korsarianie zjawią się w waszej wiosce i będą was wypytywać, to im powiedzcie, że widzieliście trzech mężczyzn i dwie kobiety idących ku wschodowi, tuż za granicami miasta Korsar. Powiedzcie, że byli za daleko, żebyście ich rozpoznali, ale mogła to być córka Cida z towarzyszką i trzech mężczyzn, którzy je uprowadzili.

– Zrobimy jak mówisz – odrzekli tragarze.

– Odejdźcie – nakazał David i ośmiu tragarzy pośpiesznie zabrało swoje kosze i zniknęło w lesie na północy.

Kiedy obie dziewczyny wypoczęły, ruszyli w dalszą drogę. Krótko szli na wschód, a potem znowu skręcili ku północy, bo Tanar idąc chciał zmylić Korsarianom tropy. Potem skręcając na wschód, daleko na północy terenów, które Korsarianie mogliby przeczesywać w ich poszukiwaniu; i znowu, po długim marszu zmieniają kierunek na południowy. Trasa kręta, ale chyba najbezpieczniejsza.

Las zmienił się w sosnowy i cedrowy; pojawiły się smagane wiatrem pustkowia, tu i tam porośnięte sękatymi, karłowatymi drzewami. Powietrze było chłodniejsze niż kiedykolwiek w ich rodzinnej krainie; kiedy wiał północny wiatr, kulili się wokół trzaskających ognisk. Zwierząt było tu mało i miały grube futra; w ogóle nie było śladu człowieka.

Pewnego razu zatrzymali się, żeby rozbić obóz i Tanar wskazał ziemię przed sobą.

– Spójrz! – zawołał do Davida. – Nie mam już u stóp cienia! – potem spojrzał w górę: – Słońce już nie stoi nad nami!

– Zauważyłem to – odparł David – i staram się zrozumieć, dlaczego tak jest. Może mi się to uda z pomocą legend Korsarian.

W miarę jak szli, ich cienie się wydłużały, a blask i żar słońca słabły – i wreszcie maszerowali w zawsze chłodnym półmroku.

Musieli zrobić sobie cieplejsze okrycia ze skór upolowanych zwierząt. Tanar i Ja chcieli zawrócić na południowy wschód, ku swojej krainie, bo tak im nakazywał instynkt orientacyjny, ale David poprosił, żeby mu jeszcze trochę towarzyszyli, bo obmyślił dziwną i wspaniałą teorię i chciał dotrzeć jeszcze dalej, żeby ją potwierdzić.

Spali przy trzaskających ogniskach i pewnego razu obudzili się pokryci lekkim kocem zimnej białej substancji – przeraziło to Pellucidarczyków, lecz David wiedział, że to śnieg. W powietrzu było pełno wirujących cząstek, wiatr kąsał odsłonięte fragmenty twarzy; teraz nosili futrzane czapki i kaptury, dłonie kryli w ciepłych jednopalczastych rękawicach.

– Nie możemy dalej iść w tym kierunku – odezwał się Ja – bo wszyscy zginiemy.

– Pewnie masz rację – zgodził się David. – Wszyscy czworo zawróćcie na południowy wschód, a ja pójdę jeszcze trochę dalej ku północy i dogonię was, jak się przekonam, że moja teoria jest prawdziwa.

– Nie! – wykrzyknął Tanar. – Powinniśmy trzymać się razem. Pójdziemy tam gdzie ty.

– Tak – poparł go Ja. – Nie opuścimy cię.

– No to jeszcze trochę na północ i zawrócę razem z wami – powiedział David.

I poszli po ziemi pokrytej śniegiem w gęstniejący mrok, który przepełniał Pellucidarczyków grozą. Po jakimś czasie wiatr się zmienił i wiał od południa, śnieg stopniał, powietrze znowu było ciepłe; jeszcze dalej półmrok powoli ustępował coraz mocniejszemu światłu, chociaż słońce Pellucidaru było ledwie widoczne za nimi.

– Nie mogę zrozumieć – odezwał się Ja. – Dlaczego znowu się robi jaśniej chociaż słońce zostaje coraz dalej za nami?

– Nie wiem – powiedział Tanar. – Zapytaj Davida.

– Mogę tylko zgadywać – stwierdził David. – Moje domysły wydają się tak niedorzeczne, że nie śmiem o nich mówić.

– Patrzcie! – zawołała Stellara. – Morze!

– Tak – powiedziała Gura. – Szare morze. Nie wygląda jak woda.

– A co to takiego?! – wykrzyknął Tanar. – Nad morzem jest wielki ogień!

– Morze nie wygina się w oddali w górę! – krzyknęła Stellara.
– W tej krainie wszystko jest nie tak i boję się.

David się zatrzymał i wpatrywał w ciemnoczerwony blask przed nimi. Zebrali się wokół Innesa i też patrzyli.

– Co to jest? – zapytał Ja.

– Jeśli jest Bóg w niebie to może być tylko jedno – odparł David. – Lecz wiem, że to niemożliwe. Sam ten pomysł jest śmieszny. To niemożliwe i dziwaczne.

– Ale co to może być? – zapytała Stellara.

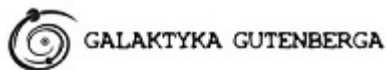
– Słońce – odparł David.

– Przecież słońca za nami prawie nie widać – przypomniała mu Gura.

– Nie mam na myśli słońca Pellucidaru – powiedział David. – Mówię o słońcu zewnętrznego świata, świata, z którego przybyłem.

Pellucidarczycy stali w trwożliwym milczeniu i patrzyli na skraj krwawoczerwonego dysku, zdającym się płynąć nad szarym oceanem. Po zaróżowionej powierzchni wody lśniąca czerwienią i złotem ścieżka wiodła od brzegu ku płomienistej kuli, tam, gdzie spotykały się ocean i niebo.

15. OBŁĄKANIE



– Nie możemy iść dalej – stwierdziła Stellara.

I rzeczywiście nie mogli, bo na wschód, zachód i północ rozciągał się wielki, posepny ocean, a wzdłuż brzegu, u ich stóp, ogromne kawały lodu unosiły się i opadały z łoskotem i trzaskiem, kołysane falami. David Innes, imperator Pellucidaru, długo stał, wpatrzony w bezkresny ocean.

– Co jest za nim? – mruknął sam do siebie, a potem się odwrócił, potrząsając głową. – Wracajmy do Sari.

Jego towarzysze odpowiedzieli radosnymi okrzykami. Uśmiechy zastąpiły zaniepokojenie, widoczne na ich ściągniętych twarzach od chwili, kiedy się zorientowali, że zostawili za sobą swoje ukochane południowe słońce.

Ze śmiechem i żartami witali czekającą ich długą, ciężką podróż.

Kiedy zawrócili od północnego morza, Gura odkryła na lewo od nich coś dziwnego.

– To wygląda jak jakaś dziwaczna tubylcza chata – powiedziała.

– Powinniśmy ją zbadać – uznał David i cała piątka podeszła do dziwaczego obiektu.

Był to duży, ciężki wiklinowy kosz, leżący do góry dnem na gołej ziemi. Wszędzie dokoła były resztki nadgniłych sznurów. Na prośbę Davida mężczyźni przewrócili kosz na bok. Pod nim znaleźli dobrze zachowane resztki impregnowanego olejem jedwabiu i sieć cienkich linek.

– Co to? – zapytała Stellara.

– Kosz i resztki powłoki balonu – wyjaśnił David.

– Co to jest balon i skąd się tu wziął? – spytała dziewczyna.

– Mogę wytłumaczyć, czym jest balon – powiedział David. – A gdyby moje domysły co do tego, jak się tu znalazł, były słuszne, to miałbym odpowiedź na tysiące pytań, od wieków zaprzatających ludzi z zewnętrznej skorupy.

Długo milczał, wpatrując się zniszczony kosz, obojętny na wszystko inne.

– Gdybym tylko wiedział. Gdybym tylko wiedział; ale jak inaczej się tu dostał? Czymże innym mógłby być ten czerwony dysk na horyzoncie, jak nie polarnym słońcem arktycznych regionów.

– O czym ty mówisz? – zapytała Gura.

– Biedacy – mruzczał David, najwyraźniej nieświadomy jej słów. – Nawet w najśmielszych snach nie marzyli o takim odkryciu, jakiego dokonali. Ciekaw jestem, czy zdążyli to sobie uświadomić.

Powoli zdjął futrzaną czapkę, skłonił głowę; jego towarzysze, nie pojmując dlaczego to robią, poszli za jego przykładem. Potem ruszyli w drogę, ale długo trwało, zanim David Innes otrząsnął się ze smutnych wspomnień o jednej z największych tragedii.

Tak bardzo się im spieszyło do powrotu do znanego im, ciepłego, ukochanego Pellucidaru, że parli na południe z rzadka i krótko odpoczywając; ulżyło im dopiero wtedy, kiedy cienie na nowo leżały tuż pod nimi.

Sari leży na południowym wschodzie, więc wracali z północy trochę inną drogą niż ta, którą szli z Korsaru. Pellucidarczycy nie znają takich wskazań kompasu jak północ czy południe; i nawet David Innes nie traktował ich tak jak w zewnętrznym świecie, a dopasowywał do pellucidarskich pojęć.

Ponieważ słońce zawsze stoi w zenicie, nie ma gwiazd i księżycy i planet, to Pellucidarczycy musieli wymyślić inną niż nasza metodę określania kierunków. Instynkt im mówi, w jakim kierunku leży ich kraina i każdy Pellucidarczyk wyznacza wszystkie kierunki od tej podstawy; zaś wszystkie inne wskazuje w prosty i niewymyślny sposób.

Załóżmy, że jesteście z Sari i idziecie od obwiedzonego lodem morza nad Korsarem do jakiegoś miejsca na Pellucidarze. Wyznaczylibyście kurs w taki oto sposób: ustawcie poziomo prawą dłoń z wyprostowanymi palcami, dokładnie przed sobą: mały palec wskazuje Sari (ten kierunek wytyczacie instynktownie), a kciuk wskazuje w lewo pod kątem prostym do linii wytyczonej przez mały palec. Teraz rozstawcie tak samo palce lewej dłoni i połóżcie ją nad prawą tak, żeby małe palce znalazły się nad sobą.

Przekonacie się, że palce i kciuki obu dłoni tworzą łuk 180 stopni.

Sari leży na południowy wschód od Korsar, a Kraina Straszliwego Cienia – na południe. Toteż Sarianin, ustalając kurs na Krainę Straszliwego Cienia, powiedziała, że podróżuje dwa lewe palce od Sari, bo środkowy lewy palec wskazywałby na południe, ku Krainie Straszliwego Cienia. Gdyby szedł w przeciwnym kierunku, czyli na północ, to po prostu dodałby „wstecz”, mówiąc, że podróżuje dwa lewe palce wstecz od Sari. W ten sposób z grubsza jest wyznaczony każdy punkt kompasu; taka dokładność wystarcza potrzebom prymitywnych Pellucidarczyków. To, że ktoś udając się w prawo od punktu wyjścia, określa kierunek wedle palców lewej ręki, może początkowo dezorientować – ale jest to doskonale zrozumiałe dla Pellucidarczyków, od wieków posługujących się tym systemem.

Kiedy dotarli do miejsca, gdzie miasto Korsar leży trzy prawe palce wstecz od Sari, tak naprawdę byli na wschód od tego miasta. Byli teraz w żyznej, podzwrotnikowej krainie, obfitującej w zwierzęta. Mężczyźni mieli pistolety, włócznie, łuki i strzały, noże; Stellara i Gura miały lekkie dzidy i noże. Często natykali się na jedno lub więcej dzikich zwierząt pierwotnych lasów, zielonych wzgórz czy falistych równin, przez które szli.

Dawno przestali się bać pościgu czy tego, że ich złapią Korsarianie. Chociaż szli obrzeżem ziem, do których Korsarianie rościli sobie prawo i raz czy dwa spotkali tubylców,

to nigdy nie widzieli nikogo z klasy panów – toteż po raz pierwszy od wpadnięcia w łapy wroga czuli się naprawdę wolni. I chociaż inne zagrażające im niebezpieczeństwa mogłyby przerazić kogoś z zewnętrznego świata, to im nie wydawały się aż tak groźne; życie nauczyło ich samowystarczalności i niezależności – i chociaż byli nieustannie czujni i ostrożni, to nie dręczył ich lęk przed ewentualnymi nieszczęściami. Byli gotowi stawić czoło zagrożeniu, gdyby się znienacka pojawiło; a kiedy się z nim rozprawili, to nie katowali się przewidywaniem kolejnego niebezpieczeństwa.

Ja i David chcieli jak najszybciej wrócić do swoich małżonek, ale Tanar i Stellara byli ogromnie szczęśliwi, że znowu są razem, a Gura się cieszyła, że jest w pobliżu Tanara. Czasem wspominała Balalę, brata, bo był dla niej miły, ale starała się zapomnieć o Scurvie, Sloo i Dhungu.

I tak sobie maszerowali, szczęśliwi i zadowoleni, kiedy jak grom z jasnego nieba spadło na nich nieszczęście.

Szli przez pasmo niskich, kamienistych wzgórz i schodzili wąską przełęczą na stronę Sari, kiedy skręcając za jedno z nich znaleźli się twarzą w twarz z dużą grupą, chyba setką, Korsarian. Dowódcy ujrzeli ich i od razu rozpoznali; ich triumfalny okrzyk podjęła reszta.

Idący przodem David zrozumiał, że opór byłby daremny i w jednej chwili obmyślił plan.

– Musimy się rozdzielić – powiedział. – Tanarze, Stellaro, pójdziecie razem. Ja, weź ze sobą Gurę, a ja pójdę w przeciwną stronę, bo nie mogą nas wszystkich schwytać. Co najmniej jeden powinien uciec i wrócić do Sari. Jeśli nie będę to ja, to niech ten, któremu się uda, zanieś wieści Ghakowi i Perry’emu. Niech powie Perry’emu, że odkryłem polarny otwór w zewnętrznej skorupie, prowadzący do Pellucidaru i że musi o tym poinformować, jeżeli nawiąże kontakt radiowy z zewnętrznym światem. Ghakowi niech przekaże, żeby posłał wojska na Korsar tak morzem jak i lądem. A teraz zegnajcie i każdy działa sam.

Zawrócili i uciekli przełęczą; byli zręczniejsi i sprawniejsi od Korsarian, więc szybko zostawili ich za sobą; słyszeli palbę muszkietów, kamienie i kawałki żelaza padały lub świstały wokół nich, ale napastnicy nikogo nie trafili.

Tanar i Stellara poszli stromym wąwozem, wiodącym w prawo i w górę; zaś niemal jednocześnie Ja i Gura skręcili w lewo wyschniętym korytem potoku; David wracał przełęczą.

Tanarowi i Stellarze tuż przed szczytem przegrodziło drogę strome urwisko; choć mierzyło nie więcej niż piętnaście stóp było nie do zdobycia; nie mogli też się wspiąć po stromych zboczach wąwozu. Kiedy tak stali w tym ślepym zaułku, tyłem do urwiska, odcięła im odwrót grupa dwudziestu lub trzydziestu Korsarian, mozolnie wspinających się wąwozem. Nie mieli się gdzie schować i zobaczył ich pierwszy wróg, który się znalazł w zasięgu wzroku. I tak, choć wolność była tuż tuż, znowu wpadli w łapy Korsarian. Tanar musiał się poddać nie stawiając oporu, bo nie ważył się narażać życia Stellary.

Wielu Korsarian chciało się natychmiast rozprawić z Sarianinem, ale dowodzący oficer im zabronił – Cid rozkazał, że każdy z uciekinierów, którego uda się złapać, ma być dostarczony żywcem.

– Co więcej – dodał – Bulfowi szczególnie zależy, żeby Stellara wróciła żywa.

Podczas długiego marszu do Korsaru Tanar i Stellara dowiedzieli się, że to była jedna z kilku grup, które Cid wysłał na poszukiwania, rozkazując, żeby nie wracać póki nie uratują jego córki i nie schwytają jej porywaczy. Nie ukrywano przed nimi, że Cid tylko dlatego kazał wziąć ich żywcem, bo razem z Bulfem chcieli im zadać śmierć współmierną do zbrodni.

W trakcie tego marszu Tanar i Stellara byli rozdzieleni, chociaż parę razy udało im się zamienić kilka słów.

– Mój biedny Sarianinie – powiedziała Stellara przy jednej z takich okazji. – Wolałabym, żebyś mnie nigdy nie spotkał, bo czeka cię tylko smutek, ból i śmierć.

– Mogę umrzeć nawet i jutro – Tanar na to – albo niech mnie bez przerwy torturują, bo szczęście jakie mi dałaś, Stellaro, nie

ma ceny.

– Ach, będą cię torturować i dlatego pęka mi serce! – wykrzyknęła dziewczyna. – Odbierz sobie życie, Tanarze! Nie pozwól, żeby cię dostali. Znam ich, znam ich metody i wolałabym cię własnoręcznie uśmiercić, zamiast patrzeć, jak wpadasz w ich łapy. Cid to bestia, a Bulf jest gorszy od Bohara Krwawego. Nigdy nie zostanę jego małżonką, możesz być tego pewny. A jeśli się zabijesz, to od razu pójdę za tobą. Jeżeli po tym życiu istnieje następne, jak nauczali przodkowie Korsarian, to znowu się spotkamy tam, gdzie jest spokój, piękno i miłość.

Sarianin potrząsnął głową.

– Znam to życie, a nie wiem jakie jest to inne. Będę się trzymać tego i ty też powinnaś, póki nie nasza dłoń nam go nie odbierze.

– Ale tak okropnie będą cię torturować – jęknęła.

– Żadna tortura nie zabije szczęścia naszej miłości, Stellaro.

Strażnicy ich rozdzielili i znowu z trudem szli niekończącą się trasą. Jak różniła się ta kraina, oglądana smutnymi, pełnymi rozpaczyci oczami od słonecznego raj, który widzieli, kiedy szli tędy wolni i zakochani.

Długa, straszna podróż wreszcie się skończyła – odpowiedni wstęp do okrutnego zakończenia, bo przy pałacowej bramie rozdzielono Stellarę i Tanara. Służące – a w zasadzie strażniczki – zaprowadziły ją do jej pokoi, a Tanara zaprowadzono od razu przed oblicze Cida.

Kiedy wszedł do komnaty, zobaczył gniewną twarz władcy Korsaru, przed którym, przy podwyższeniu, stał Bulf; Tanar widział go tylko raz, ale takiej twarzy nikt nigdy nie zapomni. Lecz bardziej od tych dwóch brutalni przeraził go widok Davida I, imperatora Pellucidaru, stojącego przed podwyższeniem, ku któremu go prowadzono. To było najgorsze ze wszystkiego.

Kiedy Sarianin znalazł się obok Davida, chciał coś do niego powiedzieć, ale korsariańscy strażnicy od razu go brutalnie uciszyli; już nigdy nie pozwolono im ze sobą rozmawiać.

Cid i Bulf łypali na nich gniewnie.

– Żadna kara nie jest zbyt okrutna dla was, którzy zawiedliście moje zaufanie i porwaliście moją córkę. Żadna śmierć nie jest tak okropna, żebyście umierając odkupili swój grzech. Nie jestem w stanie wymyślić jakim was poddać torturom, żeby wasza męka mnie zadowoliła. Muszę poszukać rady u innych – i powiódł pytającym wzrokiem po otaczających go oficerach.

– Daj mi tego tu! – ryknął Bulf, wskazując Tanara. – Obiecuję, że będziesz świadkiem takich tortur, jakich ludzkie oko jeszcze nie widziało, a ciało człowieka nigdy nie doświadczyło!

– Czy to spowoduje śmierć? – zapytał wysoki Korsarianin o wymizerowanej twarzy.

– Rozumie się – odparł Bulf – ale nie za szybko.

– Śmierć jest mile witana, bo wyzwala od tortur – ciągnął tamten. – Chciałbyś dać któremuś z nich możliwość cieszenia się śmiercią?

– A jest jeszcze coś innego? – zapytał Cid.

– Istnieje żywa śmierć gorsza od śmierci – wyjaśnił mizerota.

– Jeśli wymienisz torturę gorszą od tej, o której myślę – wykrzyknął Bulf – to z radością zrezygnuję z tego Sarianina!

– Wyjaśnij – rozkazał Cid.

– Już mówię. Ci ludzie są przyzwyczajeni do słońca, wolności, czystości, świeżego powietrza, towarzystwa. Pod pałacem są ciemne lochy, do których nigdy nie wpada nawet promyk słońca, których grube mury tłumią wszystkie dźwięki. Mieszkańcy tych okropnych miejsc z pewnością nie zastąpią ludzkiego towarzystwa; jedyne niebezpieczeństwo, jedyne słaby punkt mojego planu to to, że ich stała obecność może odebrać tym zbrodniarzom rozum; wtedy ich obecność straciłaby sens. Życie w przeraźliwej samotności, udręce, ciszy i mroku! Jaką śmierć, jaką torturę, jaką karę moglibyście zadać tym ludziom, które by dorównały okropnością tego, o czym mówię?

Zamilkł; pozostali przez jakiś czas w milczeniu rozmyślali nad jego propozycją. Ciszę przerwał Cid.

– Bulfie, uważam, że on ma rację, bo chociaż bardzo kocham życie, to wolałbym umrzeć niż zostać sam jeden w pałacowych

lochach.

Bulf powoli skinął głową.

– Niechętnie rezygnuję ze swojego planu, bo wolałbym osobiście torturować tego Sarianina. Ale – tu spojrział na mizerotę – masz rację. Wymieniłeś torturę o wiele gorszą od tych, które sam mógłbym wymyślić.

– Rozkazuję zamknąć ich na całe życie w pałacowych lochach – powiedział Cid.

W absolutnej ciszy, niezakłóconej przez żadnego z Korsarian, Tanarowi i Davidowi zawiązano oczy; Tanar poczuł, jak pozbawiają go ozdób wojownika i skąpego przyodziewku, zostawili mu tylko przepaskę biodrową. Potem energicznie go popychano i wleczono, to tu to tam. Po stłumionym echu poznawał, że idą wąskimi korytarzami; inny odgłos kroków strażników świadczył, że przechodzą przez obszerne pomieszczenia. Pędzono go w dół po kamiennych stopniach i innymi korytarzami, aż wreszcie poczuł, jak strażnicy chwytają go pod pachy i wpuszczają w jakiś otwór. Powietrze było wilgotne, cuchnęło pleśnią i stęchlizną i jeszcze czymś obrzydliwym, czego nie rozpoznawał. Potem go puścili i z niezbyt wysoka spadł na kamienne płyty, wilgotne i śliskie pod jego bosymi stopami. Usłyszał w górze jakiś odgłos – jakby po kamiennej podłodze przesuwano płytę, żeby zamknąć klapę, przez którą go tu wepchnięto. Tanar zerwał z oczu opaskę, ale równie dobrze mógł ją zostawić, bo się znalazł w kompletnej ciemności. Bacznie nasłuchiwał, ale nic nie usłyszał, nawet oddalających się kroków strażników. Mrok i cisza – wybrali najgorszą mękę, jaką mogli zadać Sarianinowi: cisza, ciemność, samotność.

Długo stał bez ruchu, a potem powolutku ruszył naprzód. Po czterech krokach dotknął ściany i wzdłuż niej zrobił dwa kroki do końca. Zawrócił i po sześciu krokach na przełaj dotknął przeciwległej ściany. Okrążył swój loch i przekonał się, że mierzy cztery na sześć kroków – może to i nie mało, jak na loch, lecz dla Tanara z Pellucidaru ciaśniejsze niż grób.

Starał się myśleć – wymyślić, czym się zająć, póki śmierć go nie wyzwoli. Śmierć! Może ją przyspieszyć? Ale jak? Popędzić z jednego końca lochu na drugi i walnąć głową w mur? A potem sobie przypomniał, co obiecał Stellarze, namawiającej go, żeby sobie odebrał życie: NIE UMRĘ Z WŁASNEJ RĘKI.

I znowu obszedł loch. Zastanawiał się, jak będą go żywić; bo wiedział, że będą to robić, aby żył jak najdłużej – tylko w ten sposób mogli go torturować. Pomyślał o jasnym słońcu, świecącym nad płaskowyżami Sari. O chłopakach i dziewczynach, wolnych i szczęśliwych. O Stellarze, gdzieś tam powyżej niego, tak bliskiej a zarazem tak dalekiej. Gdyby umarł, byłiby bliżej.

– Ale nie z własnej ręki – mruknął.

Próbował zaplanować przyszłość – pustą, mroczną, milczącą przyszłość – czekającą go wieczystą samotność; przekonał się, że nawet w całkowitej beznadziei jego niezłomny duch potrafił znaleźć iskierkę nadziei, bo bez względu na wszystko wybiegał myślą ku wolności; zrozumiał, że tylko śmierć mogłaby mu odebrać tę pociechę i na koniec ułożył plan.

Nie mógł bez przerwy myśleć o tym, co go otacza. O samotności, ciszy, ciemności. I musi być w dobrej formie, fizycznej i umysłowej, gotowy na chwilę, kiedy go uwolnią lub będzie mógł uciec. Postanowił więc chodzić i regularnie ćwiczyć ręce i pozostałe mięśnie, żeby być w dobrej formie – no i tak się zmęczyć, żeby móc spać ile się da; szykując się do snu, przywoływać wyłącznie miłe wspomnienia. Zaczął wcielać swój plan w życie i przekonał się, że wszystko jest tak, jak pragnął. Ćwiczył mięśnie póki nie padł ze zmęczenia, a potem – póki nie zasnął – wspominał miłe chwile. Od dzieciństwa był przyzwyczajony do sypiania na twardej ziemi, toteż kamienne płyty mu nie przeszkadzały i spał, śniąc o chwilach spędzonych ze Stellarą.

Ale przebudzenie! Powracającej z wolna towarzyszyło poczucie grozy, której powód powoli do niego docierał. Chłodne, śliskie ciało pełzło mu przez pierś. Instyktownie

chwycił je dłonią, żeby odrzucić na bok i palce zacisnęły się na łuskowatym stworze, który się wił i skręcał i szarpał.

Tanar zerwał się na nogi, oblany zimnym potem. Czuł, jak ze zgrozy jeżą mu się włosy na głowie. Cofnął się i natrafił stopą na kolejne z tych paskudztw. Pośliznął się i upadł – na oślizłe, zimne, wijące się stworzenia. Podniósł się i cofnął w przeciwny kąt lochu, ale całą podłogę pokrywały wijące się, łuskowate ciała. Ciszę zastąpiło pandemonium syków i odgłosów pełzania.

Długie ciała owinęły mu się wokół nóg i sunęły w górę, ku twarzy. Ledwo któreś zerwał z siebie i odrzucił na bok, a już zastępowało je inne.

To nie był koszmarny sen, jak początkowo miał nadzieję, ale straszliwa rzeczywistość. Te ohydne węże, wypełniające jego celę, były częścią udręki, lecz mogły udaremnić ich plany. Mogły go doprowadzić do obłądu. Już czuł, jak miesza mu się w głowie, a potem powstał w niej plan szaleńca. Ich własną bronią udaremni ich zamiary. Szybko pozbawi ich możliwości dalszego dręczenia go. Zaniósł się przenikliwym, ponurym śmiechem, zdarł z siebie węża i trzymał go przed sobą.

Gad wił się i szarpał, a Tanar z Pellucidaru powoli przesuwiał dłoń ku jego gardzieli. To nie był duży wąż z Pellucidaru; miał z pięć stóp długości i z sześć cali obwodu. Sarianin jedną dłonią chwycił gada jakąś stopę poniżej łba, a drugą uderzał w pysk; potem przysunął go sobie do piersi. Śmiał się i krzyczał, raz po raz uderzając węża i gad w końcu zaatakował, głęboko wbił mu zęby w pierś.

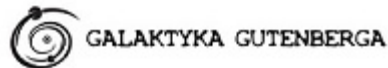
– Waszą własną bronią odebrałem wam zemstę! – wykrzyczał Tanar, a potem stracił przytomność.

Kto wie, jak długo tak leżał w mroku i ciszy podziemnego lochu w świecie nieznanym czasu. Ale wreszcie się poruszył, powoli otworzył oczy i kiedy odzyskał przytomność przesunął wokół ręką. Na kamiennych płytach niczego nie było. Usiadł. Żył i ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że po ukąszeniu węża nie czuje bólu, nie ma żadnego obrzmienia.

Wstał i ostrożnie obszedł loch. Wężę zniknęły. Sen przywrócił mu równowagę umysłu, lecz zadrżał, uświadamiając sobie, jak bliski był obłądu; uśmiechnął się z zawstydzeniem, dumając nad daremnością swojego niepotrzebnego lęku. Po raz pierwszy w życiu Tanar z Pellucidaru zrozumiał, co to lęk.

Kiedy tak chodził powoli po swoim lochu, natrafił stopą na coś leżącego w rogu na podłodze – coś, czego tam przed wężami nie było. Pochylił się i ostrożnie dotknął ręką – to była żelazna misa z ciężką pokrywą. Podniósł pokrywę. W środku była żywność; zjadł, nie pytając skąd i kiedy się tu wzięła.

16. MROK PO DRUGIEJ STRONIE



Trwał okropnie monotony pobyt w lochu. Tanar ćwiczył, jadł, spał. Dalej nie wiedział, jak i kiedy przynoszono mu jedzenie i po jakimś czasie przestał się tym przejmować. Węże zazwyczaj się zjawiały, kiedy spał, ale po tamtym pierwszym doświadczeniu już się ich nie bał. A po wielu odwiedzinach nie tylko go nie irytowały, ale zaczął wyczekiwać ich wizyt, przełamujących śmiertelną monotonię samotności. Przekonał się, że głaskanie i ciche słowa uspokajają to nieustanne wicie się. Po wielu takich odwiedzinach był przekonany, że jeden się oswoił.

Jasne, że w ciemności nie mógł odróżnić jednego węża od drugiego, ale jeden z nich zawsze go budził, delikatnie stukając łepkiem w pierś; a kiedy brał go w dłonie i głaskał, wąż nie próbował uciekać. I już nigdy – po tym początkowym ataku szaleństwa, kiedy to miał nadzieję, że są jadowite – żaden go nie ukąsił.

Długo trwało, zanim znalazł otwór, przez który gady dostawały się do jego lochu; ale w końcu, po długich poszukiwaniach, znalazł otwór o średnicy jakichś ośmiu cali, jakieś trzy stopy nad podłogą. Ścianki były wyslizgane po niezliczonych przejściach łuskowatych ciał. Wsunął dłoń do otworu i wyczuł, że ściana w tym miejscu ma ze stopę grubości; a kiedy wsunął przedramię, aż do łokcia, to za ścianą w żadnym kierunku niczego nie wyczuł. Może tam było inne pomieszczenie – inna cela, taka jak jego – a może głęboka studnia, pełna węży. Przychodziło mu na myśl wiele możliwości, tym bardziej go korciło rozwiązanie zagadki tajemniczej przestrzeni za jego celą. Jego umysł zajmował się

takimi zwyczajnymi sprawami, a samotność, ciemność i cisza nadawały im takie znaczenie, że wreszcie zmieniały się w obsesję. Kiedy nie spał, cały czas rozmyślał o tej dziurze w ścianie i o tym, co się kryje za nią w całkowitych ciemnościach, których nie mógł przeniknąć wzrokiem. Pytał węża, który mu się ocierał o pierś, lecz ten oczywiście nie odpowiadał; potem podszedł do sciany i zapytał otwór. Już miał się wściec, że otwór nie odpowiada, kiedy nagle się opamiętał; wzdrygnął się odszedł, bo dotarło do niego, że sam się doprowadza do obłądu, a przecież musiał pozostać panem swoich myśli.

Nie porzucił jednak domysłów; tyle, że teraz kierował się rozsądkiem i na koniec ułożył sprytny plan.

Kiedy zjadł przyniesioną mu żywność, wziął żelazną pokrywę garnka i rzucił nią o kamienne płyty podłogi; rozbiła się na kilka części. Jedna z nich była długa i cienka, z ostrym końcem – liczył na to, że wśród odłamków znajdzie właśnie coś takiego. Ten kawałek zatrzymał, a resztę wrzucił do garnka. Potem podszedł do otworu w ścianie i zaczął powoli drapać twardą zaprawę wokół otaczających dziurę kamieni.

Wiele razy jadł i spał, zanim udało mu się poluzować jeden z kamieni. I znowu wiele razy jadł i spał, zanim usunął drugi kamień.

Nie wiedział, jak długo tak się mozolił, ale czas mijał mu teraz szybciej, a umysł miał tak pochłonięty pracą, że był niemal szczęśliwy.

Nie zanedbywał ćwiczeń, ale rzadziej spał. Musiał przerywać robotę, kiedy zjawiały się węże, bo bez przerwy tam i z powrotem przepelzały przez otwór.

Żałował, że nie wie, jak przynoszą mu jedzenie i czy ci, którzy to robią, mogliby usłyszeć, jak skrobie zaprawę – ale skoro nigdy nie słyszał, jak pojawia się jedzenie, to liczył na to, że i tamci go nie usłyszą; no i był pewien, że go nie zobaczą.

I tak się bezustannie trudził, póki nie wydrapał otworu, w którym mógł się zmieścić. Wtedy długo przed nim siedział, czekając, upewniając się, że jest panem swojego umysłu –

bo czuł, że ta ciemność i samotność, w których tkwił niewiedomo jak długo oraz przygoda, która go czekała, znowu doprowadzają go na skraj obłądu. Chciał się upewnić, że ze spokojem i opanowaniem przyjmie to, co się znajduje po drugiej stronie ściany; bo musiał brać pod uwagę, że czeka go rozczarowanie, ponieważ od kiedy znalazł ten otwór, przez cały czas mozolnego drapania i rycia, towarzyszyła mu nadzieja na ucieczkę. I chociaż brał pod uwagę, że może się rozczarować, to wiedział, jak okrutny byłby to cios.

Delikatnie musnął palcami chropowate obrzeże poszerzonego otworu. Wsunął tam głowę i barki i sięgnął w mrok na długość ramienia – dłoń na nic nie natrafiła, oczy niczego nie wypatrzyły; cofnął się do swojego lochu, przeszedł na sam koniec, usiadł na podłodze, oparł się o ścianę i czekał: czekał, bo nie śmiał przejść przez otwór i przeżyć nowego rozczarowania.

Długo trwało, zanim wziął się w garść, a potem znowu czekał. Ale tym razem po świadomym namyśle.

Poczekaj, aż przyniosą mu jedzenie i zabiorą pusty garnek – gdyby nie wrócił do celi, później odkryją jego zniknięcie. Chociaż często podchodził do kąta, w którym zwykle stawiano jedzenie, to miał wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim znalazł tam garnek. A kiedy zjadł – druga wieczność, zanim garnek zabrano. Znowu przemierzył loch i stanął przed otworem, prowadzącym niewiedomo gdzie.

Tym razem się nie wahał. Był panem swoich myśli i nerwów.

Wsunął obie nogi w otwór tak głęboko, że znalazły się po drugiej stronie ściany. Potem przekręcił się na brzuch i zaczął się opuszczać – ostrożnie, bo nie wiedział, gdzie jest podłoga; ale natychmiast ją wyczuł, była na tym samym poziomie, co w jego lochu. Chwilę później stał prosto – może i nie był wolny, ale nie był już więźniem w swojej celi.

Ostrożnie wyczuwał drogę w ciemności, przesuwał się po parę cali. Przekonał się, że ta cela jest o wiele węższa od jego własnej, za to bardzo długa. Kiedy rozpostarł ręce na boki,

dotykał obu ścian i tak szedł, ostrożnie sprawdzając, co jest na podłodze zanim postawił stopę.

Zabrał ze sobą z celi żelazny odłamek z pokrywy garnka, którym wydrapał sobie tę drogę ku wolności. Dawało mu to jakieś takie poczucie bezpieczeństwa, bo nie był całkiem bezbronny.

Kiedy tak szedł, doszedł do wniosku, że jest w długim korytarzu. Stopa dotknęła czegoś szorstkiego dokładnie na środku korytarza. Cofnął ręce od ścian i wyciągnął przed siebie.

Dokładnie pośrodku tunelu tkwił cylinder pokryty czymś szorstkim; palce raz dwa podpowiedziały mu, że to pień drzewa, nadal miejscami pokryty korą.

Minął tę kolumnę – jak się domyślił, podpierającą słabszą część stropu – i po paru krokach natrafił na ścianę. Tunel nagle się skończył.

Serce w nim zamarło. Nadzieja, przedtem rosnąca z każdym krokiem, zmieniła się w rozpacz. Wciąż na nowo wodził palcami po zimnej ścianie, która zniszczyła jego nadzieje na wolność, ale nie wyczuł żadnego wgłębienia czy szczeliny. Powoli zawrócił ku swojej celi, mijając po drodze drewnianą kolumnę.

Idąc, zmobilizował wszystkie siły, zdecydowany nie pozwolić, żeby przygniotło go spodziewane przecież rozczarowanie. Wróci do swojej celi, ale nie przestanie korzystać z tunelu. Będzie wytchnieniem od monotonii jego własnych czterech ścian. Wydłuży trasę spacerów i koniec końców opłaci się wysiłek, jaki włożył w dotarcie tutaj.

Wrócił do celi i położył się spać, bo ostatnio odmawiał sobie snu, żeby nie przerywać pracy. Kiedy się obudził, węże już z nim były, a jego przyjaciel delikatnie stukał go w pierś; na nowo podjął monotonną egzystencję, urozmaiconą regularnymi wycieczkami do nowej przestrzeni. Ciemne wnętrze korytarza poznał równie dobrze jak własną celę, toteż prędko docierał od poszerzonego otworu do drewnianej kolumny w końcu tunelu, okrążył ją i szybkim krokiem wracał

– tak pewnie, jakby wyraźnie widział, bo tyle razy policzył kroki, że wiedział, kiedy dotarł z jednego końca na drugi.

Jadł, spadł, ćwiczył, bawił się ze swoim śliskim gadzikiem towarzyszem, chodził wąskim tunelem, który znalazł. A kiedy okrążał drewnianą kolumnę, często się zastanawiał, po co właściwie tu jest.

Pewnego razu położył się spać w swoim lochu myśląc o tym, a kiedy wąż delikatnie go obudził, Tanar tak nagle usiadł, że gad, sycząc, spadł na podłogę. Sarianin wyśnił pomysł – wspaniały pomysł; czemuż wcześniej o tym nie pomyślał?

Pospieszył do otworu, prowadzącego do korytarza. Przechodziły tamtędy węże, ale wymusił pierwszeństwo i głową naprzód spadł na warstwę syczących stworzeń. Wstał i prawie biegł korytarzem, póki nie dotknął szorstkiego pnia. Stał tu jakiś czas, drżąc jak liść; potem otoczył pień rękami i nogami i zaczął się powoli wspinać. Właśnie ten pomysł dręczył go od przebudzenia.

Wspinał się w ciemności, co jakiś czas się zatrzymując; macając rękami przekonał się, że pień drzewa tkwi pośrodku wąskiego okrągłego szybu. Wspinał się powoli i po jakichś trzydziestu stopach od podłogi tunelu uderzył głową w kamień. Wyciągnął rękę – pień był osadzony w stropie.

To nie mógł być koniec! Po co komu tunel i szyb, które nigdzie nie prowadzą? Macał dłonią we wszystkich kierunkach i znalazł otwór z boku tunelu, jakieś sześć stóp poniżej stropu. Wszedł w ten otwór i znalazł się w innym tunelu, węższym i niższym od tamtego. Nadal było ciemno, więc musiał się poruszać tak ostrożnie i powoli jak wtedy, kiedy po raz pierwszy badał tunel na dole.

Przeszedł niewielki odcinek, kiedy korytarz nagle skręcił w prawo i Tanar zobaczył przed sobą promyk światła!

Skazaniec wyrwany ze szponów śmierci nie cieszyłby się tak bardzo, jak Tanar z Pellucidaru uradował się tym cieniutkim promykiem dziennego światła, jakie ujrzał po całej wieczności. Świeciło słabo przez wąziutką szczelinę, ale było to światło, światło z niebios, którego już się nie spodziewał zobaczyć.

Zachwycony, poszedł powoli ku niemu, a kiedy tam dotarł, natrafił dłonią na blokujące mu drogę szorstkie, niemalowane deski. Światło przenikało przez szparę pomiędzy dwiema z tych desek.

Chociaż było tak słabe, raziło go w oczy, po tak długim przebywaniu w ciemności odzwyczajone od jakiegokolwiek światła. Odwrócił je, żeby prosto w nie nie świeciło i na koniec się do niego przyzwyczaił. Przekonał się, że nawet tak słabiutkie światło rozpraszało całkowitą ciemność korytarza i że wreszcie coś widzi. Widział kamienne ściany tunelu i deski, zagradzające mu drogę. Przyjrzał się im dokładniej – z jednej strony było coś przypominającego zasuwkę; zanim trafił na statek Korsarian nie miał pojęcia o czymś takim, bo w Sari nie było ani zamków, ani zasuwek.

Rozpoznał tę rzecz i pojął, że deski przed nim tworzą drzwi, prowadzące do światła i wolności. Ale co było bezpośrednio za nimi?

Przyłożył do nich ucho i nasłuchiwał, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Ostrożnie obejrzał zasuwę, sprawdził jak się nią posłużyć. Zebrał się w sobie i przesunął ją powoli po szorstkich deskach. Z wolna się uchyliły i przez tę szparę wlało się światło; Tanar zasłonił oczy i odwrócił się, wiedząc, że musi stopniowo i powoli przyzwyczaić się do tego blasku, bo inaczej oślepie.

Z zamkniętymi oczami nasłuchiwał przy szparze, ale nic nie usłyszał. Potem z największą ostrożnością zaczął przyzwyczajać oczy do światła, ale i tak długo potrwało, zanim mógł wytrzymać blask, wylewający się z nawet tak niewielkiej szczeliny.

Kiedy mógł bez bólu znieść światło, odrobinę szerzej otworzył drzwi i zajrzał. Za nimi było spore pomieszczenie; wiklinowe kosze, żelazne i gliniane pojemniki oraz zaszyte w skóry tobołki zagracały podłogę i piętrzyły się wysoko pod ścianami. Wszystko pokrywał kurz i pajęczyny, nie było śladu obecności człowieka.

Tanar jeszcze szerzej otworzył drzwi, wszedł z tunelu do pomieszczenia i rozejrzał się. Wszędzie leżały tobołki

i pakunki, części przyodziewku, a także okucia i sprzęt dla statków, bele skór i najrozmaitsza broń.

Pokrywająca wszystko gruba warstwa kurzu wskazywała, że ostatnio nikt tu nie zaglądał.

Przez chwilę stał z dłonią na otwartych drzwiach, a potem ruszył w głąb pomieszczenia; dłoń przez moment kleiła się do szorstkich desek. Spojrzał na palce, żeby poznać przyczynę i stwierdził, że były pokryte lepką smołą. To była lewa dłoń; spróbował zetrzeć smołę, ale się okazało, że to niemal niemożliwe.

Obszedł pomieszczenie, przyglądając się temu, co w nim było i wszystko, czego dotknął lewą dłonią przyklejało się do niej – to było irytujące, ale nieuniknione.

Przekonał się, że jest tu kilka okien na jednej ze ścian i drzwi w drugim końcu.

Miały podobną zasuwę jak te, przez które tu wszedł; należało ją otworzyć z zewnątrz kluczem, ale można też ją było odsunąć ręką od środka. To było proste zamknięcie i Tanar byłby za to wdzięczny losowi, gdyby wiedział, jakie skomplikowane mogą być zamki.

Odsunął rygiel i lekko uchylił drzwi – zobaczył długi korytarz; po jednej stronie były tu okna, po drugiej drzwi. Kiedy tak patrzył, z jednych wyszedł Korsarianin i poszedł w przeciwną od niego stronę, a chwilę po nim z innych wyszła kobieta; potem na drugim końcu korytarza zobaczył innych ludzi. Tanar z Pellucidaru szybko zamknął i zarygłował drzwi.

Nie było stąd jak uciec. Nawet w swojej ciemnej celi nie byłby lepiej odcięty od zewnętrznego świata jak w tym pomieszczeniu na końcu korytarza, którym wciąż chodzili Korsarianie – gładka twarz i nagie ciało natychmiast by go zdradziły i gdyby wyszedł z tego pomieszczenia od razu by go złapano. Ale Tanar z Pellucidaru łatwo nie rezygnował. Już i tak znalazł się bliżej wolności niż wcześniej marzył i nie tylko ta myśl dodała mu otuchy ale i światło, którego tak długo był pozbawiony. Czuł, jak pod dobroczynnym działaniem południowego słońca jego

duch i odwaga nabierają mocy i był gotowy stawić czoło wszystkiemu, co go mogło spotkać.

Wszedł w głąb pomieszczenia i dokładnie je obejrzał, szukając jakiejś innej drogi ucieczki. Podszedł do okien – wychodziły na ogród Cida, a w tej części ogrodu, blisko pałacu, było sporo ludzi. Drzewa zasłaniały mu tę część ogrodu, z której pomógł uciec Stellarze i Gurze, ale się domyślał, że było tam bardzo mało ludzi (albo nikogo) – tyle, że trudno byłoby tam dotrzeć z okna tego składu.

Po jego lewej, niemal po drugiej stronie ogrodu, drzewa rosły blisko siebie i chyba wzdłuż całego ogrodzenia. Gdyby były po jego stronie, to pewnie zdołałby uciec, przynajmniej do furtki w murze, blisko koszar; a tak nic mu nie dawały.

Wyglądało na to, że jedyną drogą ucieczki jest korytarz, na który wyjrzał. Nie mógł bez końca tkwić w tym pomieszczeniu, bez wody i pożywienia, coraz bardziej zagrożony tym, że się zorientują, iż go nie ma w lochu jak przestanie jeść, co mu przynoszą.

Tanar usiadł na beli skór i zaczął się zastanawiać nad swoim położeniem; rzuciły mu się w oczy rozrzucone po pomieszczeniu części ubrań. Zobaczył krótkie spodnie i koszule Korsarian, barwne pasy i chusty, buty z cholewami. Uśmiechając się lekko, wybrał to, co mu było potrzebne, otrzepał z kurzu i ubrał się na sposób Korsarian. Nie potrzebował lustra, żeby wiedzieć, że zdradzi go pozbawiona zarostu twarz.

Wybrał pistolety, kord i sztylet, ale nie mógł znaleźć ani prochu ani kul.

Tak wystrojony i uzbrojony przyjrzał się sobie najlepiej jak mógł bez lustra.

– Jeżeli będę zwrócony plecami do wszystkich Korsarian – mruknął – to powinienem bez trudu uciec, bo z tyłu wyglądam jak każdy z nich. Ale jeśli nie wyhoduję bujnego zarostu, to nikogo nie zwiode.

Kiedy tak siedział i myślał, nagle tuż za drzwiami magazynu rozległy się podniesione, gniewne głosy. Męski i kobiecy.

– Jeśli mnie nie zechcesz, to cię wezmę siłą – warknął mężczyzna.

Tanar nie zrozumiał odpowiedzi kobiety chociaż słyszał jej głos.

– A co mi tam Cid?! – krzyknął mężczyzna. – Mam w Korsarze taką władzę jak on. Gdybym chciał, mógłbym mu odebrać tron i sam zostać Cidem.

I znów Tanar usłyszał kobiecy głos.

– Jeśli nie zechcesz, to cię uduszę – zagroził mężczyzna. – Wejdźmy tam, będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Potem będziesz mogła wrzeszczeć tak głośno jak zechcesz, bo i tak nikt cię nie usłyszy.

Sarianin usłyszał, jak tamten wkłada klucz w zamek i schował się za stosem wiklinowych koszy.

– A jak już stąd wyjdiesz – ciągnął mężczyzna – to nie będziesz się miała o co wydzierać.

– Dopiero co ci powiedziałam – kobieta na to – że prędzej się zabiję niż połączę z tobą. A jak weźmiesz mnie siłą, to najpierw zabiję ciebie, a potem siebie.

Kiedy Tanar z Pellucidaru usłyszał ten głos, serce mocniej mu zabiło. Zacisnął dłoń na rękojeści kordelasa i kiedy Bulf szyderczym śmiechem zareagował na groźbę dziewczyny, wyskoczył z ukrycia; w jego prawej ręce lśniło nagie ostrze.

Bulf, słysząc za sobą jakiś dźwięk, gwałtownie się odwrócił i w pierwszej chwili nie rozpoznał Sarianina w korsariańskim przebraniu; lecz Stellara go poznała i krzyknęła z radosnego zdumienia.

– Tanar! – zawołała. – Mój Tanar!

Sarianin ruszył naprzód, a Bulf się cofnął, wyciągając broń. Tanar się zorientował, że tamten kieruje się ku drzwiom, prowadzącym na korytarz i ruszył na niego, chcąc go wciągnąć w pojedynek zanim zdąży uciec. Bulf musiał się zatrzymać i bronić.

– Ustąp, bo zginiesz! – zawołał Bulf.

Ale Tanar z Pellucidaru tylko mu się zaśmiał w twarz, wymierzając podstępny cios w głowę, który Bulf z trudem

sparował, a potem zaczęli walczyć jak dwie dzikie bestie.

Tanar pierwszy upuścił tamtemu krwi z lekkiej rany ramienia i typek zawołał o pomoc.

– Mówiłeś, że stąd nikt nie usłyszy wołania Stellary o pomoc – zadrwił Tanar. – Myślisz, że usłyszą twoje wrzaski?

– Wypuść mnie! – darł się Bulf. – Wypuść, a zwrócę ci wolność!

Ale Tanar zapędził go w kąt i odciął mu ucho.

– Ratunku! – zawył Korsarianin. – Ratunku! To ja, Bulf! Sarianin mnie morduje!

Tanar, lękając się, że te głośne wrzaski dotrą na korytarz i przyciągną uwagę, nasilił atak. Przedarł się przez gardę Korsarianina. Straszliwym ciosem rozpołowił wstrętny łeb Bulfa do nasady nosa i bydlak dławiąc się krwią padł na twarz.

A Tanar z Pellucidaru wziął Stellarę w ramiona.

– Dzięki Bogu – powiedział – że się tu znalazłem na czas.

– Pewnie sam Bóg cię przyprowadził do tego pokoju – oznajmiła dziewczyna. – Myślałam, że nie żyjesz. Powiedzieli mi, że nie żyjesz.

– Skłamáli – rzekł Tanar. – Wsadzili mnie do ciemnego lochu pod pałacem, gdzie miałem tkwić do końca życia.

– Cały czas byłeś tak blisko mnie – powiedziała dziewczyna. – A ja myślałam, że nie żyjesz.

– Długi czas myślałem, że spotkał mnie los gorszy od śmierci. Ciemność, samotność, cisza. Boże! To gorsze od śmierci.

– A przecież uciekłeś! – w głosie dziewczyny były respekt i podziw.

– To dzięki tobie uciekłem – powiedział Tanar. – Myśli o tobie chroniły mnie przed obłędem. Myśl i nadzieja kazały mi szukać drogi ucieczki. Po tym, przez co przeszedłem, do końca życia będę wierzył, że zawsze jest nadzieja.

Stellara potrząsnęła głową.

– Będziesz musiał mieć niezłomną nadzieję, kochany, bo przed tobą beznadziejne szukanie drogi ucieczki z pałacu Cida i miasta Korsar.

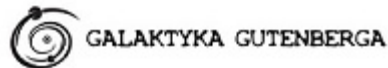
– Dotarłem aż tutaj – Tanar na to. – Już dokonałem niemożliwego. Czemu miałbym wątpić, że wbrew wszystkiemu zdobędę wolność dla ciebie i dla mnie?

– Nie przejdziesz wśród nich z tą gładką twarzą, Tanarze – powiedziała ze smutkiem dziewczyna. – Ach, gdybyś tak miał zarost Bulfa – tu spojrzała na zwłoki pokonanego.

Tanar też się odwrócił i popatrzył na leżącego w kałuży krwi Bulfa. A potem szybko spojrzał na Stellare.

– Czemu nie?! – zawołał. – Czemu nie?!

17. NA MORZE



– Co masz na myśli? – zapytała Stellara.

– Poczekaj, a się przekonasz – odparł Tanar.

Wyciągnął sztylet, pochylił się i odwrócił Bulfa na plecy. Potem ostrą jak brzytwa klingą zaczął odcinać krzaczastą czarną brodę martwego Korsarianina; Stellara patrzyła na to pytająco.

Tanar rozłożył na podłodze chustę Bulfa, położył na niej brodę i zawinął ją w tkaninę. Potem się wyprostował i dał znak Stellarze, żeby za nim poszła.

Podszedł do drzwi, prowadzących na korytarz, którym uciekł z lochu. Otworzył je, umazał palce smołą, sączącą się z desek, rozmazał ją też na dole twarzy i odwrócił się ku Stellarze.

– Przyłóż te włosy do mojej twarzy tak, by to wyglądało normalnie. Spędziłaś wśród nich całe życie, więc powinnaś wiedzieć jak wygląda korsariańska broda.

Stellara – chociaż ten pomysł wydawał się dość paskudny i nie miała ochoty dotykać włosów martwego człowieka – wzięła się w garść i zrobiła to, o co prosił Tanar. Sarianin, łatka po łatce, mazał twarz smołą a dziewczyna przyklejała do niej włosy, aż wreszcie widać było tylko oczy i nos Tanara. Resztkami brody Bulfa pogrubiała brwi Tanara, co zmieniło ich wyraz. Na koniec Sarianin pomazał sobie nos krwią Bulfa, bo wielu Korsarian ma duże, czerwone nosy. Potem Stellara się odsunęła i krytycznie mu się przyjrzała.

– Własna matka by cię nie poznała – stwierdziła.

– Myślisz, że ujdę za Korsarianina?

– Nikt niczego nie będzie podejrzewał, chyba że cię dokładnie przepytają, jak będziesz wychodzić z pałacu.

– Idziemy razem.

– Ale jak?

– Wymyśliłem coś jeszcze. Kiedy mieszkałem w koszarach zauważyłem, że marynarze idący ku rzece bez trudu wychodzą przez bramę. Prawdę mówiąc zawsze łatwiej wyjść z pałacu niż do niego wejść. Wiele razy słyszałem, że mówią tylko, iż wracają na okręty. Zrobimy to samo.

– Czy ja wyglądam jak korsariański marynarz? – zapytała Stellara.

– Będziesz, jak z tobą skończę.

– Co masz na myśli?

– Są tutaj korsariańskie przydzwiewki, wystarczy dla wielu. I na głowie Bulfa dalej jest mnóstwo włosów.

Wzdrygnęła się i cofnęła.

– Och, Tanarze! Nie mówisz serio.

– A jest inny sposób? Czy nasza wspólna ucieczka nie jest warta tej ceny?

– Masz rację. Zrobię to.

Kiedy Tanar skończył robotę, Stellara zmieniła się w brodatego Korsarianina; lecz przebranie, niestety, nie całkiem zakryło zarysy bioder i piersi.

– Obawiam się, że czegoś się domyślą – stwierdził Tanar. – Masz zbyt kobiece kształty, krótkie spodnie i koszula ich nie zamaskują.

– Chwila! – wykrzyknęła Stellara. – Czasem marynarze wyruszający w długi rejs noszą peleryny, w których śpią w zimne noce. Sprawdźmy, czy jakąś tu znajdziemy.

– Tak, widziałem je – powiedział Tanar. Przeszedł przez magazyn i wrócił z peleryną w szerokie pasy.

– Doda ci wzrostu.

Ale kiedy owinęli w nią Stellare, jej biodra nadal były zbyt widoczne.

– Rozbuduj mi ramiona – zaproponowała.

Sarianin szarfami i chustami wypchał ramiona tak, że peleryna wisiała równo i Stellara przypominała niskiego, przysadzistego chłopaka, a nie smukłą, krągłą dziewczynę.

– No to jesteśmy gotowi – stwierdził Tanar.

Stellara wskazała ciało Bulfa.

– Nie możemy go tak zostawić. Ktoś może tu wejść i je znaleźć. A wtedy aresztują i przepytają wszystkich w pałacu, a nawet w całym mieście.

Tanar rozejrzał się po pomieszczeniu, uniósł zwłoki Bulfa i zaciągnął w najdalszy kąt; potem całkiem je zasłonił, układając na nich bele skór i kosze. Ślady krwi na podłodze zakrył innymi belami i koszami. Wreszcie wszelkie ślady pojedynku zostały usunięte lub zakryte.

– Czas, żebyśmy wypróbowali nasze przebrania – oznajmił.

Podeszli do drzwi.

– Znasz najrzadziej wykorzystywane przejścia do ogrodu. Wyjdźmy z pałacu przez ogród, furtką, którą już raz uciekliśmy.

– Poprowadzę – powiedziała Stellara.

Tanar otworzył drzwi i wyszli na korytarz. Był pusty. Sarianin zamknął drzwi, a Stellara poprowadziła korytarzem.

Nie uszli zbyt daleko, kiedy usłyszeli z komnaty po lewej głos mężczyzny.

– Gdzie ona jest? – pytał.

– Nie wiem – odparł kobiecy głos. – Przed chwilą tu była. Razem z Bulfem.

– Natychmiast ich poszukaj – rozkazał srogo mężczyzna i wyszedł z komnaty wprost przed zbliżających się Stellare i Tanara.

To był Cid. W Stellarze zamarło serce, kiedy władca Korsaru spojrzał w twarz jej i Tanarowi.

– Kto wy? – zapytał Cid.

– Marynarze – pospiesznie odparł Sarianin, zanim dziewczyna zdążyła się odezwać.

– Co robicie w moim pałacu? – dopytywał się władca Korsaru.

– Kazano nam zanieść pakunki do magazynu – odpowiedział Sarianin – i teraz wracamy na nasz okręt.

– No to się pospieszcie. Nie podobacie mi się – warknął Cid i odmaszerował korytarzem.

Tanar zobaczył, że Stellara się chwieje; podszedł do niej i podtrzymał ją, ale raz dwa wzięła się w garść. Po chwili skręciła w prawo i wyprowadziła Sarianina do ogrodu.

– Boże! – wyszeptał, kiedy szli ramię w ramię alejką. – Skoro Cid cię nie poznał, to przebranie musi być idealne!

Stellara potrząsnęła głową, bo zszokowana po spotkaniu z Cidem, nie panowała jeszcze nad głosem tak, żeby móc się odezwać.

W ogrodzie, w pobliżu pałacu, było sporo mężczyzn i kobiet. Niektórzy pobieżnie się im przyglądali, ale minęli ich bez przeszkód i po chwili zwirowa alejka, którą szli, wiła się wśród gęstych krzewów, które ich zasłoniły. I oto byli już przy furtce w ogrodowym murze.

I znowu szczęście im sprzyjało: niezauważeni wyszli na podwórzec koszar.

Tanar postanowił wyjść przez główną bramę, bo tamtędy wchodziło i wychodziło najwięcej ludzi. Skręcił w prawo, przeszedł wzdłuż koszar, mijając wielu żołnierzy i ze Stellarą u boku zbliżył się do bramy.

Już prawie przeszli, kiedy zatrzymał ich wyglądający na niezbyt rozgarniętego korsariański żołnierz.

– Kim jesteście i w jakich sprawach wychodzicie z pałacu? – zapytał.

– Jesteśmy marynarzami – odparł Tanar. – Idziemy na nasz statek.

– Co robiliście w pałacu?

– Zanieśliśmy do magazynu Cida pakunki od kapitana okrętu – wyjaśnił Sarianin.

– Nie podobacie mi się – oznajmił żołnierz. – Nigdy wcześniej was nie widziałem.

– Byliśmy na długim rejsie – powiedział Tanar.

– Poczekajcie tu, aż wróci kapitan bramy – nakazał żołnierz. – Zechce was wypytać.

Sarianin podupadł na duchu.

– Jak się spóźnimy na okręt to nas ukażą – jęknął.

– Nie moja sprawa – żołnierz na to.

Stellara sięgnęła pod pelerynę i pod męskimi spodenkami, kryjącymi jej własny ubiór znalazła przywiązaną do pasa sakiewkę. Wyjęła z niej coś, co wsunęła Tanarowi w dłoń. Natychmiast zrozumiał – podszedł do żołnierza i wcisnął mu w rękę dwie sztuki złota.

– Dostaniemy za swoje, jak się spóźnimy – wyjaśnił.

Tamten poczuł w dłoni chłodne złoto.

– No dobra – burknął. – Zabierajcie się stąd i to szybko.

Tanar i Stellara, nie czekając na drugą zachętę, wmieszali się w tłum na korsariańskiej ulicy. Żadne się nie odzywało, a Stellara pewnie nawet nie oddychała póki nie zostawili daleko za sobą bramy pałacu.

– I gdzie teraz? – zapytała na koniec.

– Na morze – odrzekł Tanar.

– Na korsariańskim okręcie?

– W korsariańskiej łódce. Płyniemy na ryby.

Wzdłuż brzegu rzeki było zacumowanych wiele stateczków, lecz kiedy Tanar zobaczył, ilu ludzi się przy nich kręciło, zrozumiał, że próba skradzenia rybackiej łódki źle by się skończyła i powiedział o swoich wątpliwościach Stellarze.

– Nigdy by się nam to nie udało – powiedziała. – Kradzież łodzi jest uważana w Korsarze za najohydniejszą zbrodnię. Jeżeli na pokładzie nie ma właściciela, to możesz być pewien, że jego przyjaciele mają na nią oko, chociaż mało prawdopodobne, żeby ktoś spróbował ją ukraść, bo grozi za to śmierć.

Tanar potrzęsął głową.

– No to musimy zaryzykować przejście przez całe miasto Korsar i wydostanie się na okoliczne ziemie, bez dobrej wymówki, gdyby ktoś nas wypytywał.

– Możemy spróbować kupić łódź – odpowiedziała Stellara.

– Nie mam pieniędzy.

– Ale ja mam. Cid zawsze dbał, żebym miała sporo złota – znowu sięgnęła do sakiewki i wyjęła garść złotych monet. – Proszę, weź je. Jeśli nie wystarczy, poproś o więcej, ale myślę, że za połowę tej sumy możesz kupić łódź.

Tanar wypytał pierwszego napotkanego na brzegu rzeki człowieka i dowiedział się, że trochę dalej w dół nurtu jest na sprzedaż mała rybacka łódka. Wkrótce znaleźli jej właściciela i dobili targu.

Kiedy już płynęli w dół rzeki, Tanar nagle uznał, że ta ucieczka z Korsaru przebiega zbyt łatwo; że coś musi być nie tak – że albo śni, albo nieszczęście czyha tuż tuż.

Niósł ich ku morzu powolny nurt rzeki. Tanar pojedynczym zamocowanym na rufie wiosłem utrzymywał łódkę na kursie, bo nie chciał stawiać żagla na oczach korsariańskich marynarzy i rybaków. Zauważyliby od razu jego brak wprawy i nabrali podejrzeń.

Łódka powoli oddalała się od miasta i wojennych okrętów, zakotwiczonych pośrodku rzeki. Wtedy poczuł, że już można postawić żagiel i wykorzystać lądową bryzę.

Z pomocą Stellary rozwinął płótno; natychmiast wydał je wiatr i stateczek nabrał szybkości. Wtem usłyszeli za sobą krzyki i obejrzel się – pręły ku nim trzy łodzie.

Nad wodą niosły się rozkazy, żeby się zatrzymali.

Ścigające ich łodzie wypłynęły pod żaglami i już miały znaczną prędkość; wydawało się, że szybko dogonią stateczek. Lecz teraz ten ostatni nabrał szybkości i odległość pomiędzy nimi się nie zmieniała.

Wrzaski ścigających przyciągnęły uwagę marynarzy z pokładów zakotwiczonych okrętów i nagle kula uderzyła w wodę na prawo od dziobu.

Tanar potrząsnął głową.

– Za blisko. Lepiej zawrócę.

– Dlaczego?

– Zaryzykuję pojmanie, bo kiedy odkryją, że jesteś córką Cida, to nic złego cię nie spotka. Ale nie będę ryzykować, że trafi nas armatnia kula, bo wtedy byś zginęła.

– Nie zawracaj! – krzyknęła dziewczyna. – Wolę umrzeć z tobą niż żeby nas złapali. Wtedy by cię zabili i nie zależałoby mi na życiu. Płyn, Tanarze, może jeszcze bardziej ich

wyprzedzimy. W taką małą łódeczkę trudno trafić, a oni nie są za dobrzy w strzelaniu.

Znowu huknęło działo i tym razem kula przeleciała nad nimi i uderzyła w wodę tuż przed łódeczką.

– Coraz celniej – stwierdził Tanar.

Stellara przysunęła się do siedzącego przy sterze Sarianina.

– Obejmij mnie, Tanarze. Jeśli musimy umrzeć, to umrzyjmy razem.

Objął ją wolnym ramieniem i przytulił, a chwilę później od strony strzelającego do nich okrętu wojennego dała się słyszeć przerażająca eksplozja. Pospiesznie się odwrócili i zobaczyli, co się stało – wybuchło przeładowane działo.

– Przedobrzyli – orzekł Tanar.

Trochę potrwało, zanim padł następny strzał; ta kula spadła daleko za nimi. Lecz ścigające ich łodzie wciąż nie odpuszczały.

– Nie zbliżają się – powiedziała Stellara.

– Nie – przyznał Tanar. – A my się nie oddalamy.

– Myślę, że zwiększymy dystans na otwartym morzu. Nabierzemy więcej wiatru w żagiel, a ta łódka jest lżejsza i szybsza niż ich łodzie. Los się do nas uśmiechnął, prowadząc nas do tego stateczku, a nie do jakiegoś większego.

Zbliżali się do morza, a ścigający, najwyraźniej bojąc się tego o czym wspomniała Stellara, zaczęli do nich strzelać z arkebuzów i pistoletów. Od czasu do czasu jakiś pocisk dolatywał niebezpiecznie blisko, ale odległość była ciut za duża dla ich prymitywnej broni i marnego prochu.

Płynęli na otwarte Korsar Az, rozciągające się przed nimi i wyginające w górę w mglistej dali. Po lewej morze tworzyło wielką zatokę, a niemal dokładnie przed nimi, chociaż tak daleko, że ledwo widoczne, wyłaniały się niewyraźne zarysy przylądka. Właśnie tam Tanar kierował łódeczkę.

Pościg stał się twardym sprawdzianem wytrzymałości. Nie było wątpliwości, że Korsarianie nie odpuszczą, choćby ich mieli ścigać na przeciwległy brzeg Korsar Az; a Tanar, oczywiście, nie zamierzał się poddać.

Pruli wodę tak ścigający jak i ścigani. Przylądek z wolna rysował się coraz wyraźniej; po jakimś czasie na lewo od niego ukazał się wielki las – schodzący niemal do morza.

– Kierujesz się na ląd? – zapytała Stellara.

– Tak – odparł Sarianin. – Nie mamy ani żywności, ani wody; a nawet gdybyśmy mieli, to jestem zbyt marnym żeglarzem, żeby ryzykować w tym stateczku przeprawę przez Korsar Az.

– Ale na lądzie znajdą nasz trop – powiedziała dziewczyna.

– Zapominasz o drzewach, Stellaro – napomniał ją Tanar.

– A tak, drzewa! – wykrzyknęła. – Zapomniałam. Jak dotrzemy do drzew, będziemy bezpieczni.

Zbliżając się do wybrzeża u podstawy przylądka zobaczyli wielkie grzywacze, rozbijające się o skały, usłyszeli głośny huk morza.

– Żadna łódź tego nie przetrzyma – powiedziała Stellara.

Tanar przyjrzał się linii brzegowej jak daleko mógł sięgnąć okiem, a potem ze smutkiem spojrział na towarzyszkę.

– Beznadziejnie to wygląda – rzekł. – Gdybyśmy mieli czas, żeby poszukać, to pewnie byśmy znaleźli wygodne miejsce do lądowania. Ale w zasięgu wzroku jedno miejsce wydaje się równie dobre jak drugie.

– Albo równie złe – powiedziała Stellara.

– Nic na to nie poradzimy – stwierdził Sarianin. – Próba opłynięcia przylądka, żeby się wydostać na pełne morze, tak by nas spowolniła, że dogoniliby nas i złapali. Musimy albo zaryzykować w przyboju, albo zawrócić i się poddać.

Ścigający pojawili się za nimi i czekali, unosząc się i opadając na wielkich falach.

– Myślą, że nas dopadli – odezwała się Stellara. – Że zmienimy kurs i spróbujemy wokół przylądka uciec na pełne morze. Chcą nam przeciąć drogę.

Tanar celował dziobem łódeczki prosto w ląd. Za gniewnym przybojem widział piaszczystą plażę, ale przed nią była skalna bariera, o którą rozbijały się fale, wyrzucając pianę wysoko w powietrze.

– Spójrz! – zawołała Stellara, kiedy łódeczka pędziła ku spienionej wodzie. – Patrz! Tam! Przed nami! Może jednak jest przepust!

– Przyglądałem się temu miejscu – powiedział Tanar. – Nakierowałem łódeczkę dokładnie w ten punkt. Raz dwa się przekonamy, czy w skalnej ścianie jest wyłom; a jeżeli nie...

Sarianin obejrzał się ku łodziom Korsarian i zobaczył, że znowu ruszyli w pościg – dotarło do nich, że ścigani wołają w rozpaczę się rozbić o skały niż zawrócić na pełne morze, ryzykując schwytanie.

Cały żagiel łódeczki był rozwinięty; wydęte płótno napierało na linki aż śpiewały, a stateczek pędził prosto na skały.

Tanar i Stellara przysiedli na rufie; Sarianin opiekuńczo obejmował ją ramieniem. Z ponurą fascynacją patrzyli, jak dziób unosi się i opada, prąc ku – jak się wydawało – nieuniknionej katastrofie.

Dotarli! Morze uniosło ich wysoko i rzuciło ku skałom. Po prawej z piany sterczał poszarpany granitowy palec. Po lewej mignął śliski, wygładzony przez wodę, bok wielkiego głazu. Łódka zaskrzypiała dnem po podwodnej skale, prześliznęła się po niej i gnała ku piaszczystej plaży.

Tanar wyszarpnął sztylet i przeciął fał, luzując żagiel; kil łódeczki dotknął piachu. Sarianin porwał Stellarę na rękę, wskoczył do płytkiej wody i pospiesznie ruszył ku brzegowi.

Przystanęli i obejrzel się ku ścigającym ich Korsarianom. Ze zdziwieniem zobaczyli, że wszystkie trzy łodzie pędziły ku skalistemu wybrzeżu.

– Boją się bez nas wrócić – stwierdziła Stellara, – bo inaczej nigdy by tak nie ryzykowali.

– Czyli Cid musiał się domyślić, że to my, kiedy cię nie znaleziono – powiedział Tanar.

– Może się zorientowali, że cię nie ma w lochu. Ktoś połączył jedno z drugim i domyślił się, że byliśmy tymi dwoma żeglarzami, co chcieli przejść przez bramę i potem zapłacili złotem za łódeczkę – dodała Stellara.

– Jedna z nich leci na skały! – wykrzyknął Tanar, kiedy płynąca przodem łódź zniknęła w spienionej wodzie.

Drugą łódź spotkał ten sam los, co pierwszą; lecz trzecia przeszła przez ten sam wyłom, co łódeczka Tanara i Stellary. Uciekinierzy odwrócili się i pobiegli w stronę lasu.

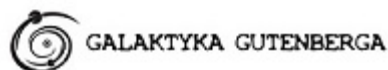
Za nimi, strzelając z pistoletów i arkebuzów, pędził tuzin Korsarian. Tanar i Stellara zniknęli w ciemnych mrokach pierwotnego lasu.

Opowieść o ich długiej i mozolnej przeprawie przez nieznaną ziemię do królestwa Sari byłaby ciekawa i porywająca, ale to już zupełnie inna historia.

Wystarczy powiedzieć, że dotarli do Sari na krótko przed zjawieniem się Ja i Gury (tych ostatnich spowolniły wydarzenia, przez które omal nie stracili życia).

Mieszkańcy Sari miło powitali Amiocapiańską małżonkę, z którą syn Ghaka wrócił do ojczyzny. Gurę też zaakceptowali, bo przyjaźniła się z Tanarem; młodzi mężczyźni zaakceptowali ją dla niej samej i wiele trofeów złożono przed chatą pięknej Himeanki. Lecz odmówiła im wszystkim, bo kryła w sercu sekretną miłość, o której nigdy nikomu nie powiedziała; chyba jedna Stellara to odgadła i pewnie dlatego Amiocapianka tak troszczyła się o Himeankę.

ZAKOŃCZENIE



W miarę jak Perry zbliżał się do końca opowieści o Tanarze z Pellucidaru, odbiór się coraz bardziej pogarszał i wreszcie głos zupełnie zanikł i Jason Gridley już nic nie słyszał. Odwrócił się ku mnie.

– Wydaje mi się, że Perry chciał jeszcze coś powiedzieć. Próbował nam coś przekazać. O coś poprosić.

– Jasonie – powiedziałem z wyrzutem – czyż mi nie mówiłeś, że ta historia o wewnętrznym świecie jest po prostu śmieszna. Że nie może istnieć miejsce zamieszkane przez dziwaczne gady i ludzi z epoki kamiennej? Nie upierałeś się, że nie ma żadnego imperatora Pellucidaru?

– Hmm, hmm – on na to. – Przepraszam. To już historia. Pytanie, co możemy zrobić.

– W jakiej sprawie? – zainteresowałem się.

– Nie dotarło do ciebie, że David Innes jest więźniem w ciemnym lochu pod pałacem Cida Korsaru? – zapytał (nie podejrzewałem, że Jason Gridley potrafi się aż tak ekscytować).

– No i? – ja na to. – Przykro mi, rzecz jasna. Ale jak u licha moglibyśmy mu pomóc?

– Możemy wiele zrobić – rzekł stanowczo Jason Gridley.

Muszę przyznać, że kiedy tak na niego patrzyłem, bałem się o stan jego umysłu, bo najwyraźniej działał pod wpływem ogromnych emocji.

– Pomyśl tylko! – wykrzyknął. – Pomyśl o tym biedaku tkwiącym w absolutnej ciemności, ciszy, samotności! I z tymi węzami! Boże! – wzdrygnął się. – Węże pełzające po nim, owijające mu się wokół rąk, nóg, ciała; pełzające po twarzy kiedy śpi. I nic, co by przerwało monotonię! Ani ludzkiego

głosu, ani śpiewu ptaka, ani promienia słońca. Trzeba coś zrobić. Trzeba go uratować.

– Ale kto ma to zrobić? – zapytałem.

– Ja! – odrzekł Jason Gridley.